

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

POLEMIKI

Nr 2(43) Zielona Góra 2013 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754



Eseje

Wiersze

Proza

Szkice krytyczne

Sztuka



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego ■

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne Pro Libris nr 2(43) – 2013

Prace plastyczne wykorzystane w numerze
Małgorzata Bukowicz

© Copyright by
Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida, Zielona Góra 2013

Redaktor naczelny
Andrzej Buck

Redaktor graficzny
Magdalena Gryska

Sekretarz redakcji
Ewa Mielczarek

Korekta
Joanna Wawryk

Stale współpracuje
Małgorzata Mikołajczak

Fotografie:
Archiwum WiMBP im. C. Norwida, Bartosz Czerniawski, Dariusz Pawlicki, Mirosława Szott, Janusz Życzkowski

Wydawca
Pro Libris – wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. C. Norwida w Zielonej Górze

Skład komputerowy
Firma Reklamowa GRAF MEDIA, tel. 68 451 72 78

Druk i oprawa
TOTEM Inowrocław

Nakład – 350 egz.

ISSN 1642-5995

Nr indeksu 370754

Adres redakcji:
WiMBP im. C. Norwida, al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris)
tel. 603 610 906, 68 45 32 637, e-mail: prolibris@wimbp.zgora.pl
www.wimbp.zgora.pl, www.prolibris.net.pl

Pro Libris

Od redakcji

Na początku roku otrzymaliśmy od dra Roberta Rudiaka obszerny tekst o stanie literatury lubuskiej. Już wtedy autor podkreślał, że liczy na szeroki odzew środowiska na przedstawioną w nim diagnozę. I rzeczywiście, lawinowo odezwali się przedstawiciele środowiska literackiego, prezentując częstokroć odmienne zdanie niż sprawca całego zamieszania. Zapraszamy Państwa do zapoznania się z tym materiałem, który zaważył na pierwszej części kwartalnika. To zapewne nie ostatnie wypowiedzi w tej materii; uzyskaliśmy zapewnienia od dalszych autorów o przygotowywaniu dla nas tekstów o kondycji środowiska literatów lubuskich. Najciekawsze wypowiedzi będziemy zamieszczać w kolejnych numerach.

Zachęcamy także do zgłębienia poezji twórców bądź to towarzyszących nam od lat (Mieczysław J. Warszawski, Czesław Markiewicz, Karol Graczyk), bądź też całkiem nowo pozyskanych (Paulina Krzyżaniak). Prezentowany od trzech lat cykl ZBLIŻENIA, któremu patronuje prof. UZ. Małgorzata Mikołajczak, jest coraz bardziej rozbudowany. Tym razem w jego ramach zamieściliśmy interesujące teksty Mirosławy Szott (o poezji Doroty Grzesiak), Mariki Sobczak (o twórczości Krzysztofa Fedorowicza) i wspomnianego powyżej Roberta Rudiaka (o dwudziestoletniej historii Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy na Ziemi Lubuskiej). Spośród tekstów prozatorskich zamieściliśmy opowiadania Moniki Widły, Marcina Radwańskiego, Czesława Sobkowiaka, a także obszerne fragmenty powieści wspomnieniowej Romana Garbowskiego. Przemysław Grzesiński prezentuje się tym razem w numerze jako autor utworu wyróżnionego w konkursie dramaturgicznym zorganizowanym przez Teatr im. Ludwika Solskiego w Tarnowie w 2012 r.

W zapoczątkowanym niedawno cyklu EKSLIBRIS W PRO LIBRIS publikujemy cztery znaki graficzne

Agaty Buchalik-Drzyzgi opatrzone gawędami tej znakomitej artystki.

Oprawę graficzną numeru zapewniła nam Małgorzata Bukowicz, świetna rzeźbiarka, ceramik i witrażystka. W cyklu SYLWETKI opisujemy jej drogę twórczą i najważniejsze realizacje.

Całość numeru zamykają omówienia najnowszych książek wydawanych w kraju i w naszym regionie.



Spis treści

Małgorzata Stachowiak-Schreyner , Afirmacja zdychania	6
Beata Patrycja Klary , Pan tu androny opowiada – a ja sobie z tego nic nie robię!	9
Czesław Sobkowiak , Odpowiedź	10
Jakub Rawski , Czy kres literatury lubuskiej? Kilka refleksji w pełni subiektywnych	13
Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk , Replika	15
Janusz Koniusz , Diagnozy, ale bez prognoz	16
Czesław Markiewicz , Wiersze [Hybryda I, Hybryda II, Hybryda III]	19
Przemysław Grzesiński , Sąd Brandstaettera	22
Mieczysław J. Warszawski , Wiersze [Nic ponad, Posażność, Jutrzenność, 12 sierpnia 2011, Niedopałek]	31
Czesław Sobkowiak , Człowiek z Kargowej	36
Karol Graczyk , Wiersze [Terminalni, Guerilla Warfare, Apteka party level hard, Zimne drzewa, Krótka historia czasów]	42
Monika Widła , Oniryczny	47
Paulina Krzyżaniak , Wiersze [Fashion Love Show, Sen popołudnia letniego, zupełnie bezsensownego]	49
Roman Garbowski , Gniazdo sikorek (fragment wspomnień)	51
Jacek Żeromski , Wiersze [*** Szary kwiat poblądł..., Czerwona kula, Garście szlachetnych kamyków zza oka, Niezwykły świat z tyłu głowy]	58
Marcin Radwański , Nasz Disneyland	62
Renata A. Thiele , Cadillac King – Polish abroad? [wersja niemiecka]	66

ZBLIŻENIA

Robert Rudiak , Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy na Ziemi Lubuskiej w latach 1961-1981 (część I)	72
Marika Sobczak , Poetycka topografia Krzysztofa Fedorowicza	82
Mirosława Szott , Między wonią kwiatów a tonią dźwięków. <i>Homo floricus</i> w wierszach Doroty Grzesiak	86

EXLIBRIS W PRO LIBRIS

Agata Buchalik-Drzyzga przedstawia... ..	90
---	----

SYLWETKI

Małgorzata Bukowicz	92
Agnieszka Kurgan , Małgorzata Bukowicz i jej sztuka	93

VARIA

Joanna Wawryk , Materialne wpływy Orientu w polskiej kulturze	95
<i>Budować piętrowo</i> . Z Przemysławem Grześnińskim rozmawia Janusz Łastowiecki	102
Joanna Kapica-Curzytek , Algebra przyjaźni	105
Dariusz Pawlicki , O drwach i ogniu	107
Andrzej Buck , II edycja Kozzi Gangsta Film – retrospekcja / Kozzi Gangsta Film II im Rückblick	111

RECENZJE I OMÓWIENIA

Poetyckie ukorzenianie doświadczeń	
Ireneusz Szafranek, <i>Ukorzenieć ponadczasowe</i> (Robert Rudiak)	118
Kryształ i otoczek	
Adam Bolesław Wierzbicki, <i>Po przejściach</i> (Czesław Markiewicz)	120
Solilokwium	
Adam Bolesław Wierzbicki, <i>Po przejściach</i> (Bogdan Nowicki)	122
O najpiękniejszym okresie trwania	
Jerzy Szewczyk, <i>Przeszłość karmi się pamięcią</i> (Czesław Strawa)	123
Liryczno-fotograficzna opowieść o Płocku	
Maciej Woźniak, Cezary Dzięcielski, <i>Ulica szczupacza. Wiślane pieśni o Płocku</i> (Robert Rudiak)	126
Tylko życie, więcej nic	
Gerda Weissmann-Klein, <i>All But My Life. A Memoir</i> (Joanna Kapica-Curzytek)	127
Nur das Leben, sonst nichts	
Gerda Weissmann-Klein, <i>All But My Life. A Memoir</i> (Joanna Kapica-Curzytek)	131
Deklaracja niezgody	
Beata Patrycja Klary, <i>De-klaracje</i> (Patryk Chrzan)	134
Metafizyczne i religijne wiersze Marka Czuku	
Marek Czuku, <i>Nietrwąta kompozycja. Wiersze metafizyczne i religijne</i> (Kinga Mazur)	136
Słowem i obrazem	
Maciej Woźniak, Cezary Dzięcielski, <i>Ulica szczupacza. Wiślane pieśni o Płocku</i> (Kinga Mazur)	137

KSIĄŻKI NADESŁANE	139
--------------------------------	-----

AUTORZY NUMERU	140
-----------------------------	-----

Afirmacja zdychania

Tym tytułem, będącym cytatem z poezji łodziana Piotra Macierzyńskiego, chcę zacząć odpowiedź na „artykuł” Roberta Rudiaka *Stan lubuskiej literatury w pierwszej dekadzie XXI wieku, czyli diagnozy i prognozy* nie bez powodu, a do samego Macierzyńskiego jeszcze wrócić, by przedstawić punkt widzenia płynącego „obok nurtu”, a jednak od lat przyglądając mu się bacznie i z perspektywy wychowawcy młodych twórców kultury. Dla odmiany ja sarkazmu sobie nie odmówię, choć realizm postaram się zachować jak największy, nie pomijając bliskiego mi tematu dialogu kultury wysokiej i niskiej.

Kim jest twórca literatury regionalnej? To taki niedzisiejszy człowiek, którego wielkość mierzy się przynależnością do związków twórczych, do których mało kto chce należeć, i które nie są już dla prawie nikogo prestiżowe, oraz ilością niezwykle niskonakładowych dzieł, których choćby ze względu na ową niskonakładowość prawie nikt nie czyta. A jednak parnas literatów lubuskich, których zresztą pan Rudiak wymienia dziesiątkami, jest tak gęsty, że młody człowiek nie będzie próbował się przez niego przebijać, choćby przez grzeczność.

Przynależność do związków twórczych dla młodych ludzi jest bez znaczenia. Kiedy chcą poczuć „stado”, logują się na forum poetyckim. Zresztą wbrew pozorom, młodzi twórcy dużo czytają i wiedzą, doskonale więc zdają sobie sprawę, że nie ma mowy o elitarności i to, co od dziesięcioleci podaje się za kawior, jest zwykłym bigosem. Jeśli na przykład ZLP firmuje swoim logo wtórność wtórności, jaką są przerażające „kryształowe myśli” Anny Marii Szewczuk, to o żadnej elicie, ba!, żadnej nawet kontroli

tęgo, co się wydaje, nie ma tam mowy. Dziwne, że jeszcze nikt nie wpadł na stworzenie Lubuskiego Forum Poetyckiego – średnia wieku naszych pisarzy gwałtownie by spadła. ZLP i SPP stały się swoistymi, literackimi Uniwersytetami Trzeciego Wieku, choć w innych regionach działają przy ich oddziałach koła młodych. Pytanie: czy w Zielonej Górze lub Gorzowie ktokolwiek takie koła próbował w ostatnim dziesięcioleciu stworzyć? Czy ktokolwiek z członków rzeczonych szacownych organizacji podjął wysiłek poprowadzenia raz do roku literackich warsztatów dla młodzieży? W końcu członków jest tylu, że młodych zajmowałoby się częściej niż raz w miesiącu. To wśród nich znaleźliby się przyszli członkowie, zapewniający organizacjom coś więcej niż stan spoczynku. Przy okazji warto chyba sprostować, że kondycja Gorzowskiego RSTK jest zupełnie niezła, zwłaszcza że zaliczeni przez pana Rudiaka do literackiej młodzieży, Karol Graczyk i Beata Patrycja Klary, są jego członkami.

Około roku 2000 taką próbę dialogu z młodzieżą podjęło zielonogórskie Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, tworząc Uniwersytet Poezji – idea szczytna, młodych mnóstwo. I ja tam byłam, jako „zielona”, obiecująca dwudziestoparolatka, zaproszona przez Katarzynę Jarosz-Rabiej. Młodych niestety co spotkanie ubywało, bo nie mieli prawa głosu, nie czytali swoich tekstów, nie mogli słuchać rad starszych kolegów po piórze, słuchali za to wykładów będących entuzjastycznymi peanami na wzajemną cześć członków i przyjaciół Stowarzyszenia. Na ostatnich wykładach nie ostał się prawie nikt z młodych. I nikt z funkcjonowania projektu,

który był wielką szansą stworzenia grupy młodych literatów lubuskich, nie wyniósł nic dobrego, no może tylko ja – mojego prywatnego męża. Ale jednak to jest jedyna droga, wychodzenie do młodych i ich szukanie – sami nie przyjdą. Chyba że na to, co ich naprawdę interesuje. Na ostatnim spotkaniu autorskim kontrowersyjnego Piotra Macierzyńskiego w Nowej Soli młodych było w bród, średnią wieku chyba najbardziej zawyżał Edward Gramont. Ale to jest kolejna zupełnie zarośnięta ścieżka – nie zaprasza się na spotkania autorskie twórców, którzy interesują młodych, są w głównym nurcie tego, co się dzieje w polskiej najnowszej literaturze – choćby: Macierzyński, Roszkowski, Podlipiak, Rytelewska – to nie są twórcy, którzy kosztują tysiące. A zresztą niech będzie górna półka – Kochany Pro Librisie, zaprosicie na spotkanie autorskie Podsiadłę, Świetlickiego – i wtedy zobaczymy, jaka będzie średnia wieku na sali.

Czas Uniwersytetu Poezji kojarzy mi się jeszcze z jednym, co może zobrazować i dzisiejszą sytuację, kiedy właśnie w roku 2000 z tomikiem złożonym wyłącznie z tekstów nagradzanych wcześniej na ogólnopolskich konkursach literackich zapukałam w sprawie ich wydania do biblioteki wojewódzkiej – tomik dostał do recenzowania Czesław Sobkowiak – recenzował bardzo dobrze i usłyszałam, że owszem mogą wydać, jeśli znajdę sobie na to wydanie pieniądze. I pamiętam swoją panikę – panikę bezrobotnej absolwentki studiów wyższych – znaczy: „jak mam znaleźć, skąd, samemu za własny tomik zapłacić, to po co wy mi potrzebni jesteście, to głupie”, i poszłam, a tomik wyszedł pięć lat później jako grand prix w konkursie literackim na drugim końcu Polski, za to tu dostał wyróżnienie wśród najlepszych debiutów Lubuskiego Wawrzynu. Wtedy, już w Sulechowie, prowadziłam warsztaty literackie dla młodzieży, co robię do dziś, może żeby oszczędzić kilku zdolnym młodym ludziom przerabiania mojej ścieżki. Kilkoro z nich to autorzy radiowych książek poetyckich, kilkoro – laureaci ogólnopolskich konkursów literackich. Najstarsi sami prowadzą literackie i recytatorskie warsztaty dla młodszych. Tak że zapewniam pana, Panie Robercie, że młodych nie brakuje, trzeba im tylko poświęcić trochę czasu. Wystarczy sięgnąć choćby po twórczość młodych grup

literackich, prowadzonych przez Ewę Andrzejewską w Domu Harcerza. Oczywiście że nie funkcjonują oni jak historyczne grupy literackie, nie mają manifestów itp., ale to jest pokolenie nowych czasów żyjące w świecie globalnej sieci. Literaturę uprawiają na swój własny sposób, czerpią garściami z sieci krajowych konkursów literackich, bo to jedyna strefa, gdzie za swoją twórczość są gratyfikowani pieniędznie. I mają rację: człowiek utalentowany ma prawo zarabiać na tym, co robi dobrze. Zresztą w szarej strefie konkursowej, strefie „literackiej prostytucji”, jak ją nazwała nobliwa lubuska autorka kilkunastu tomów poezji, funkcjonują od lat tacy autorzy jak: Czesław Markiewicz, Katarzyna Zychła, Bolek Wierzbicki, Karol Graczyk, Beata Patrycja Klary i ja sama. Z tej prozaicznej przyczyny, że kultura jak Pan Bóg zakłada, że jej dzieci jak ptaki niebieskie same się wyżywią, a jednak świat uparcie domaga się za wszystko pieniędzy. Tylko za regionalną, niszową literaturę jakoś niewielu chce płacić. Dlatego przed Katarzyną Zychłą z powodzeniem wydającą książki „ogólnopolskie” dla dorosłych i dzieci w wydawnictwie Skrzat chylę czoła.

Ubywa lubuskich wydawnictw. Pamiętam ostatnie numery „Lubuskiego Nadodrza” – pisane przez autorów absolutnie z pominięciem istnienia czytelnika, „sobie i wierszówce” doskonale niestrawne. Karol Graczyk tworzy pismo internetowe „PKP-zin”, które ma jedną zaletę, jasny przekaz skierowany do odbiorcy – prezentujemy sztukę. To jest droga na przyszłość. Pismo internetowe, „E-sencja” dociera w jednej chwili do czterdziestu tysięcy abonentów, kto w takim nakładzie wyda tomik poezji? Ubywa lokalnych książek. Może to i lepiej, dotacje samorządowe na wydawnictwa od lat funkcjonują jak Fundacja Mam Marzenie – nikt nie weryfikuje, czy dofinansowana książka to dzieło, czy zapiski emerytowanego grafomana. Tu właśnie leży problem. Nad wydawnictwami bardzo niskiej jakości dla najbliższej rodziny i znajomych, które własnym sumptem – bardzo proszę, ale za społeczne pieniądze – może niekoniecznie. Problemem jest to, że w organizacjach otrzymujących dotacje średnia wieku to wiek emerytalny. Czy konieczna jest produkcja corocznie nowego tomu poezji przez wiekowych posiadaczy

lubuskiego parnasu przez zasiedzenie? Niekonieczna – wszak nie wydaje się regionalnej literatury dla pieniędzy, więc stanowczo lepiej postawić na jakość niż ilość. Montaigne stworzył jedno a wielkie dzieło. Nie zgadzam się jednak z pana Rudiaka teorią o spadku potencji twórczej z wiekiem, wszak Wiesław Myśliwski wydał wybitny *Traktat o łuskaniu fasoli*, mając 74 lata, a *I jak woda płynie*, genialna proza Marguerite Yourcenar ukazała się, gdy autorka miała 79 lat. Chodzi po prostu o zdrową równowagę w kulturze. Koło historii i tak się po nas przetoczy

i będzie na nim siedział nastolatek ze smartfonem, ale nie przetoczy się donikąd. Kultura i sztuka to nie stado gęsi, nie ulega migracji czy wymarciu; nie ma sensu mierzyć jej przy pomocy narzędzi statystycznych, ona wyłącznie ewaluuje. Zmiany są nieuniknione, a ich kierunek wprowadzie od nas również, ale nie wyłącznie zależy. Ja jestem spokojna. Może ubywa lubuskich twórców i publikacji, coś widocznie nie potrzeba w tym momencie ich tak wielu. Prawo sytego świata konsumpcji. Twórcy się pojawiają, gdy będą potrzebni.



Pan tu androny opowiada – a ja sobie z tego nic nie robię!

Świat XXI wieku to globalna wioska. Dla jednych trudna do pojęcia, dla innych – oczywista. Dla artystów słowa, którzy nie dzielą się na tych z Pcimia czy Mościczek – naturalnym środowiskiem życia jest cała Polska (dla tłumaczonych – również kraje danych języków). Poruszona sprawa literatów obszaru lubuskiego bardzo mnie rozbawiła. Widzę, że autor artykułu młodziutkich poetów nie chciał wymienić (bo to dopiero załóżki) – ale na brak młodych narzekać potrafił. Błędne koło.

Jestem gorzowianką. Może w Gorzowie jest inaczej niż w innych miastach/wsiach Lubuskiego – ale tu młodzi poeci mają się dobrze. Nie będę ich nazwisk podawała – wystarczy choćby zajrzeć do rubryki debiuty w „Pegazie Lubuskim”. Przeczytać dokładnie i zapamiętać na przyszłość.

Wartość literatury nie leży w wieku jej autorów. Gdyby tak było – musielibyśmy chociażby odrzu-

cić twórczość Umberto Eco, który zaczął przygodę z literaturą, przeżywszy pół wieku!!! Choćby ten przykład pokazuje, że wszelkie statystyki wiekowe sensu nie mają. Jako czynnie biorąca udział w wydarzeniach literackich – zaręczyć mogę, że zarówno warsztaty z młodzieżą są prowadzone, jak i lekcje poetyckie się odbywają, młodzi są drukowani. Do tego wiele poetyckich/literackich światów przeniosło się do obiegu internetowego. Szkoły literackie/kursy kreatywnego pisanie – to wszystko odbywa się często wirtualnie. Niemniej jednak – pracuję z młodzieżą w szkołach, na festiwalach literackich oraz prywatnych konsultacjach. Literacka wioska ma wielu mieszkańców. Jest mi w niej dobrze, a niszowość naszej twórczości, swoista elitarność bardzo mnie cieszy. Natomiast wiek to nie stan metryki a stan ducha. I tego przekonania życzę każdemu malkontentowi.

Odpowiedź

Przyznam, że z mieszanymi uczuciami przeczytałem tekst Roberta Rudiaka o słabnącej kondycji lubuskiego środowiska literackiego. Bo czemu niby ma służyć? Diagnoza ogólna może i nie jest pozbawiona jakichś racji, można z wieloma konstatacjami się zgodzić, ale to raczej każdy z nas widzi. Rzeczywistość okołoliteracka się zmienia i na nowo trzeba na nią reagować, sobie z nią radzić. Jeśli powstanie wielkie dzieło, to mimo trudności na pewno zostanie wydane. Ale czy takowe powstanie, to już inna rzecz. Oczywiście instytucje powołane do określonej roli nie zawsze należycie ją pełnią, z jakichś powodów. Pisarz może się temu dziwić i nad tym ubolewać, bo jego sytuacja ulega pogorszeniu. A poza tym jesteśmy dość głęboką prowincją, przeciętnością, i ta dyskusja to trochę jak mieszanie w szklance herbaty, a od tego jak wiadomo herbata słodka się nie robi. Więc i te wyliczenia liczbowe nie robią najlepszego wrażenia. Już lepiej poczytać paszkwilancki *Mój alfabet* Zenona Łukasiewicza, który obnaża niektóre przyczyny lokalnej mizarii. W numerologii wyliczenia są podstawą, w pisaniu o literaturze mogą dać fałszywy obraz. No bo co ma tu do rzeczy np. wiek pisarza? Czy gdyby młodzi się pojawili tłumnie, to znaczyłoby, że jest dobrze? Że będą programy, ruchy pokoleniowe? Już ten czas za nami. Nic by nie znaczyło, poza tym, że są następcy, którzy podejmą próbę literacką, a ta niekoniecznie musi wnieść coś nowego, poza faktem socjologicznym, statystycznym, poza zaistnieniem kilku nowych nazwisk. O socjologię w literaturze jednak nie chodzi. Takie stawianie na młodych samo w sobie nie jest złe,

trzeba dawać szansę, promować, stosować na początek kryteria ulgowe, ale to jeszcze nie załatwia sprawy żywotności literackiego środowiska. I nie może być argumentem przeciw „starym”. Zresztą młodzi pojawiają się. Odpowiem Rudiakowi. Przez wiele lat Wydawnictwo „And” drukowało niemal wyłącznie młodych, debutantów, często autorów wyszukanych najpierw przez Czesława Markiewicza, systematycznie promującego swoje literackie znaleziska i wynalazki, w „Radiowych Książkach Poetyckich”, o których, jak słyszałem, głoszone same superlatywy. No i co, gdzie są dzisiaj ci twórcy? Poeci. Pojawili się, czy poszli dalej? Może jedno, dwa nazwiska dałoby się przywołać. I pewnie będą przywołane. Po innych śladu nie ma. Oczywiście nie zarzucam niczego Markiewiczowi, robił, co mógł, nadal robi, a poetyckie audycje radiowe są jak najbardziej potrzebne. Dalej. Jaki wysiłek i obfity dorobek edytorski jest udziałem Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów, z którego też w zasadzie nic nie wynika dla żywotności, bo są to publikacje w ograniczonym stopniu spełniające wymogi literackie. Czasami dwa, trzy wiersze daje się zaakceptować. Bywa, że więcej, lecz bardzo rzadko. Generalnie nikt z tego grona nie traktuje literackiego zajęcia poważnie. Na ogół jest to uprawianie raczej literackiego hobby, powielanie jakichś utartych już wzorów. Jest ilość, nie ma jakości. Tak się manifestuje pewna normalność, że są różne poziomy i różne kategorie twórczości, np. ostatnio popularne zrobiło się malowanie, wszędzie to widać. Cóż więcej. Na usprawiedliwienie tego stanu rzeczy dodam od razu, że tak jest w całej Polsce.

Wszyscy piszą (dzieci, młodzież szkolna, emeryci, renciści, policjanci, więźniowie) i jakimś sposobem wydają swoje zbiorki w oparciu o lokalne i prywatne wsparcia finansowe. Dla kilku odbiorców. Wszędzie są tego typu piszący. Czy to pisarze? Oczywiście nikomu nie można zabronić pisania i wydawania. Gdzieś musi znajdować upust wrazliwość, sentymentalizm, nadmiar wolnego czasu i potrzeba towarzyskich kontaktów. Wypicia kawy, zjedzenia ciasteczka, zapłacenia składek członkowskich. Przed laty, pamiętam to, ambicją Joli Pytel (obnosiła się z tym) było powołaniem przez siebie Stowarzyszeniem zagrozić miejscowemu ZLP, zdominować, zmarginalizować oddział literatów. Poza tym odżegnująca się onegdaj od ZLP Pytel, dzisiaj jest jego zasłużoną członkinią, niepomna swoich buńczucznych deklaracji. I nie mam o to pretensji. Niech jest. Bo przynajmniej w oddziale jakichś kryteriów kwalifikujących jeszcze się przestrzega. Ale w czym rzecz. W łatwości zaistnienia. Z miesiąca na miesiąc, a to nie służy poziomowi wypowiedzanego słowa. To służy zawłaszczaniu publiki czytelniczej i skromniutkich finansów publicznych na potrzeby amatorów. Nie starcza już dla innych, no bo: „już wydaliśmy w tym roku na takie a takie tytuły”. Generalnie nie martwiłbym się zaniechaniem lub nieistnieniem młodego pokolenia. Przyjdzie czas i młodzi się pojawią. Moim zdaniem w naszym środowisku, czy raczej regionie, fakt poważnego wieku sporej grupy pisarzy może jeszcze nie przesądza, że lada moment powstaną wybitne dzieła, ale na pewno ci wiekowi autorzy coś gwarantują – są w stanie napisać utwory dojrzalsze, bogatsze w refleksje, wyposażone w konsekwencję artystyczną. I to bym jednak cenił, a nie postponował takowych doświadczonych osób. Nie można ciągle zachwycać się pierwocinami debiutantów. Przynajmniej tyle. Robert Rudiak przyjął dość wygodną dla siebie pozycję diagnostyka, który za nic nie odpowiada, a przecież działając w miejscowym Zarządzie przynajmniej za funkcjonowanie literackie jakoś jest odpowiedzialny. Dobrze posługiwać się liczbami, to bezpieczne, wygodne, niby-obiektywne. Chętnie jednak bym przeczytał, że ma pretensje o to i o to, wyliczając, co trzeba

i kogo trzeba, że coś chciał wraz z kolegami, ale nie udało się. Niczego takiego w tym obszernym tekście nie ma. A kiepsko chyba jest rzeczywiście z powodów nie tylko braku natarcia młodych, ale i zwyczajnej pauperyzacji. Nie można liczyć np. na należyte pieniądze w dorocznej nagrodzie za najlepszą książkę (myślę o Wawrzynie), która ambicjonalnie by motywowała do pracy, bo czymże jest wysokość takowej w wysokości średniej miesięcznej płacy? Gorzów jakby wyżej swoich twórców wyceniał. Niczego miejscowa nagroda w życiu pisarza w zasadzie nie załatwia, poza jednodniową satysfakcją. I krótkim odnotowaniem w prasie. Jeśli w ogóle. Czynniki finansowe nie motywują, gdy idzie o samo wydawanie książek. Weszły ograniczenia. Dotacji nie ma. W gazecie nikt o miejscowej książce nie napisze. Więc w szerszym wymiarze nikt o pisarzu nic nie wie nawet w regionie. Na jakich więc liczyć czytelników. Biblioteki powiatowe kiedyś zapraszały na spotkania, dzisiaj się skończyło. I nie zawsze chodzi o brak kilku złotych dla autora, tylko po prostu nie chce się (poza wyjątkami) ponad etatowy zakres obowiązków cokolwiek robić. A poza tym może nie jest aż tak źle? Dzisiaj właśnie oglądałem (nie czytałem dokładnie) zbiorek pewnej poetki, bogato kolorowymi ilustracjami zdobiony, którego wydanie kosztowało, bagatela, 4 tysiące złotych. Pieniądze się jednak gdzieś znalazły. Ale poważnie. Szkoda, że nie pokaże pisarza żaden reportaż zdjęciowy, telewizyjny, prasowy, a przecież można by było. Wędkarzy zaś się ceni, bo taaaką rybę ktoś złowił i można ją sфотографować. Nie ma też na miejscu wartościującej krytyki literackiej, bo komu to potrzebne, choć sporo osób z miejscowej polonistyki recenzje pisze. Pisze, a potem zarzuca to zajęcie, po skończonych studiach. Nie zawsze oczywiście da się znaleźć rzetelne, mądre recenzje, do których można byłoby się jakoś odnieść. Na to potrzeba recenzującemu odwagi i wiedzy. A to już wyższy kurs jazdy. Po co w takiej sytuacji pisać? – słyszę tu i ówdzie. Odnoszę wrażenie, że nie stwarza się należyście przychylnego dla pisarza klimatu. O taki klimat, przyjazny twórcom, upominał się swojego czasu mocno Zdzisław Morawski, co było ważne. Dzisiaj, czy

kwestia mniej istotna? Nie stosuje się kryteriów. Zastępowane są prywatą. Interesami. Naiwnością jest wierzyć, że zapanuje należyty ład. Jeszcze nie tak dawno były spotkania autorskie z symbolicznymi choćby honorariami. Teraz są gratisowe. Podobno nie można płacić. Czy aby na pewno? Po dziesiętkach lat pracy na własny rachunek, po napisaniu kilkunastu książek najlepiej, by autor jeszcze wszystko sam sobie pozafatwiał. Ale idąc do apteki po lekarstwa lub po chleb do sklepu, nie może sprzedawczyni powiedzieć, że należy się gratisowo. Apelować w tej sytuacji o poczucie lo-

kalnego patriotyzmu byłoby na miejscu, nie od wczoraj tu powstają książki, ukształtowała się tradycja, ale ktoś musi mieć przynajmniej dobrą wolę i to szanować. Wtedy może i literackie sprawy wyglądałyby inaczej. A wyglądałyby inaczej i nie musiałby Rudiak przeprowadzać takiego remanentu, również wtedy, gdyby przynajmniej od czasu do czasu dochodziło do otwartego sporu o wartości, o światopogląd, o zasady. Dzieła, w co wierzę, właśnie w takich warunkach mają większą szansę powstawać. W końcu przydałoby się spełnienie, a nie jedynie debiutancka zapowiedź.



Czy kres literatury lubuskiej?

Kilka refleksji w pełni subiektywnych

Czasy, w których obecnie żyjemy (szumnie nazywane postmodernizmem), mają tę cechę, że – pisząc za Zygmuntem Baumanem – są płynne (płynna nowoczesność). Być może z tego powodu wielu intelektualistów od czasu do czasu głosi „koniec”, „kres” tudzież „zierzch” różnego rodzaju obszarów kultury: literatury, filmu, feminizmu, chrześcijaństwa itd. Dla przypomnienia, najsyntynniejszy po 1989 roku ogłoszony „koniec” był „końcem historii”, który prorokował Francis Fukuyama, twierdząc, że po upadku bloku wschodniego na świecie zapanuje „liberalna demokracja”. Jak widać po czasach obecnych (*Anno Domini* 2013), hipoteza amerykańskiego ekonomisty uległa mocnemu przeterminowaniu. Dążąc jednak do środowiska regionalnego – lubuskiego, wyraźnie widać pojawiające się hipotezy głoszące kres literatury lubuskiej. Jednym z argumentów na tę diagnozę jest „rosnąca skala wieku aktywnych literacko pisarzy”.

Dywagowanie nad tym, ilu pisarzy tworzących na terenie województwa lubuskiego dawno przekroczyło już Conradową „smugę cienia”, a ilu nie, analizowanie tego, jak wyglądają statystyki członkostwa w ZLP i wyciąganie z tego średniej, do żadnych merytorycznych wniosków nie prowadzi, ponieważ literatura nie ma ani wieku, ani płci, ani orientacji, ani poglądów politycznych. Literatura jest

literaturą – broni się sama. Niestety trzeba czasami takie komunały przypominać. Za właściwy debiut wybitnego portugalskiego noblisty José Saramago uważa się powieść *O malarstwie i kaligrafii*, która ukazała się w 1977 roku, kiedy pisarz miał 55 lat (o wydanej w 1947 *Terra de Pecado* sam nie chciał pamiętać, a coś dopiero czytelnicy i krytycy). Ten przykład sam w sobie dostarcza dowodu, że wiek nie gra roli w uprawianiu literatury, a nawet późny debiut może doprowadzić do noblowskiego lauru.

Pewien swoisty, charakterystyczny podział wiekowy, pokoleniowy zawsze był obecny w świecie literackim. Na przykład w okresie PRL-u, na przełomie lat 60. i 70. była grupa starszych pisarzy, nestorów polskiej literatury, takich jak: Jarosław Iwaszkiewicz, Jerzy Andrzejewski, Jerzy Putrament; grupa stosunków średnich wiekowo literatów: Wisława Szymborska*, Tadeusz Różewicz, Roman Bratny i młodych: Stanisław Grochowiak, Rafał Wojaczek, Ernest Bryll itd. Wiek zwyczajnie nie gra roli, różnice wiekowe zamazują się w ogólnym krajobrazie literackim.

Niewątpliwie dobrze byłoby, gdyby „lubuskość” była rozpoznawalna we współczesnej literaturze tak jak „gdańskość”, która jest dostrzegalna za sprawą takich nazwisk jak Paweł Huelle czy Stefan Chwin. Być może trzeba po prostu poczekać na lubuskiego

* *Nota bene* o przyszłej noblistce Iwaszkiewicz pisał: „Tyle pięknych poetek, Szymborska, Achmadulina, / Zbierają się, jak do gry w domino, / I każda wpłaca się do puli na / Zielonym stole – aż przeminą...” – J. Iwaszkiewicz, *Młodość*, [w:] *idem, Muzyka wieczorem*, Warszawa 1980, s. 33.

Huelle czy Chwina, ale i tak na chwilę obecną nie jest źle, nie jest tragicznie. Wystarczy przywołać takie nazwiska jak Janusz Koniusz, Krzysztof Federowicz, Beata Patrycja Klary, Krzysztof Koziołek, a jeżeli jeszcze będzie się pamiętać, że z Lubuskim była związana Bronisława Wajs „Papusza”, Zygmunt Trziszka, Jan Kurowicki oraz Andrzej K. Waśkiewicz, okazuje się, że pejzaż lubuskiego środowiska literackiego nie rysuje się wcale w tak czarnych barwach, jak niektórzy chcieliby widzieć.

Na „ożywienie” lubuskiego środowiska literackiego dobrze wpływa organizowany od trzech lat konkurs Debiut Poetycki Pro Libris, cieszący się zainteresowaniem głównie wśród młodych piszących. W III edycji laureatem został Konrad Krakowiak, który obecnie para się dziennikarstwem telewizyjnym w Warszawie. Dla przypomnienia laureatem Lubuskiego Wawrzynu Literackiego w 2010 roku był Konrad Wojtyła mieszkający aktualnie w Szczecinie.

Tym samym okazuje się, że lubuskość nie ogranicza się wyłącznie do Zielonej Góry, Gorzowa, Kargowej i Lubska.

Warto również pamiętać, że zdrowa sytuacja jest wtedy, kiedy istnieje więcej czytelników niż piszących, dlatego może dobrze się dzieje, że na lubuskim rynku coraz rzadziej wychodzą nowe pozycje młodych lub średnich wiekowo autorów. Nie o ilość, ale jakość przecież chodzi. Tym bardziej że produkcja literatury (makulatury) stała się plagą czasów obecnych. Każdy, kto pisze wiersze, przy zbieraniu funduszy może opublikować sumptem własnym lub przy pomocy sponsorów książkę poetycką, której wartość literacka zazwyczaj jest równa zeru.

Czy zatem literaturze lubuskiej można stawiać jakiegokolwiek przyszłościowe diagnozy? Czy w ogóle literaturze można postawić diagnozę na przyszłość? Nie. Humanistyczne nie jest ścisłe. Nie można wyobraźni podstawiać pod wzory i statystyki.



Replika

Tekst p. Roberta Rudiaka, prawdopodobnie skrupulatny i szczegółowy, nijak ma się jednak do rzeczywistości. Przede wszystkim dlatego, że rzeczywistość nie mieści się (na szczęście!) w słupkach statystyk i tabelkach zestawień. Żadne wnioski wynikające z tych wyliczeń nie odpowiadają na pytania i tezy stawiane przez p. Roberta Rudiaka. Bo jakie znaczenie ma liczba członków z Związku, wiek i „moment wejścia” w świat literatury, dla talentu, aktywności i zaangażowania?

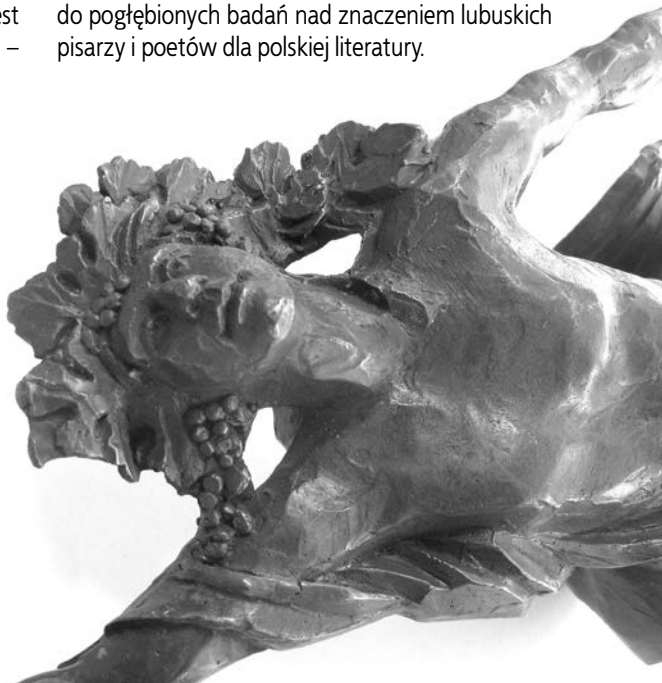
Tym bardziej że nie do końca jasne jest dla mnie, czy p. Robert Rudiak podejmuje próbę diagnozy sytuacji w lubuskich – zielonogórskim i gorzowskim – oddziałach Związku Literatów Polskich, czy stanu lubuskiego środowiska literackiego.

Jeśli chodzi o ZLP, przynależność do niego nie jest już tak atrakcyjna i istotna jak przed laty. Literaci –

nie tylko młodzi – nie potrzebują Związku, by pisać, drukować, wydawać swoją twórczość, dyskutować (na internetowych forach poetyckich, festiwalach literackich oraz na łamach pism). Związek – mam takie wrażenie – musi na nowo zdefiniować swoje miejsce i rolę oraz formułę funkcjonowania, inaczej stanie się reliktem przeszłości.

Przyglądając się lubuskim ludziom pióra, warto – miast statystyk – zastanowić się nad tym, czy w ogóle tworzą oni jakieś środowisko literackie; czy budują tożsamość kulturową miejsca, w którym żyją; czy ich twórczość ma znaczenie dla literatury ogólnopolskiej.

Z przyjemnością przeczytam taką diagnozę naszego środowiska autorstwa p. Roberta Rudiaka. Jestem przekonana, że będzie ona przyczynkiem do pogłębionych badań nad znaczeniem lubuskich pisarzy i poetów dla polskiej literatury.



Diagnozy, ale bez prognoz

Do napisania tych słów zainspirował mnie szkic Roberta Rudiaka zamieszczony w poprzednim numerze „Pro Libris”. Autor postawił sobie bardzo ambitne zadanie. Ukazać kondycję środowisk literackich w województwie lubuskim, rangę ich twórczości, jej perspektywy w dość długim, bo kilkudziesięcioletnim, okresie. Jest to zatem tekst z pogranicza lubuskiej (jeśli taka istnieje) historii literatury, socjologii, no i najbardziej dyskusyjnej – futurologii. A więc diagnozy i prognozy. Na marginesie, Rudiak dotknął kilku ważkich problemów natury ogólniejszej.

Książka, w co dziś nikt nie wątpi, ma potężną konkurencję, więc, niestety, jej czytelnictwo spada. Edytorsko najczęściej na dobrym poziomie jest przede wszystkim droga. Nawet podręczniki szkolne są u nas relatywnie droższe niż np. w Niemczech. Kto ma pieniądze, ten się raczej o książkę nie upomina. Ceni inne dobra. Wielu czytelników, których na książkę po prostu nie stać, na szczęście korzysta z bibliotek, które znowu stają się także miejscem spotkań towarzyskich. Z książką konkuruje telewizja z setkami różnorodnych programów. Prasa adresowana do różnego odbiorcy. Wybór ogromny. No i potężny internet z ogromnymi możliwościami popularyzowania literatury. Trzeba jednak mieć nadzieję, że żywot książki papierowej nie zakończy się w naszym wieku.

Literatura lubuska, powracam do szkicu Rudiaka, to niezbyt udany, ale innego nikomu nie udało się wymyślić, synonim twórczości autorów zamieszkałych na Środkowym Nadodrzu, albo swego czasu z tym regionem ściśle związanych. Nie ma literatury lubuskiej, krakowskiej, warszawskiej. Literatura polska

jest, jak wiadomo, jedna. Dobra lub zła, jeżeli w przypadku złej w ogóle można mówić o literaturze. I nie ma znaczenia, gdzie powstała lub powstaje. Wiele wybitnych dzieł napisano poza granicami Polski, żeby tu przywołać arcyważny dorobek literacki Wielkiej Emigracji. W naszych czasach także tak się dzieło. Wystarczy przypomnieć dzieła Miłosza, Gombrowicza, Herlinga-Grudzińskiego czy Mrożka. Kto pisze po polsku, gdziekolwiek by mieszkał, współtworzy literaturę polską. Także czytelnikowi jest obojętne, gdzie napisano daną rzecz. W Warszawie, Gorzowie czy w Zielonej Górze. Oczywiście, jako długoletni mieszkaniec Zielonej Góry, miałbym satysfakcję, aby w regionie lubuskim powstawały same arcydzieła literackie. Ale marzy mi się również pierwszoligowa siatkówka, piłkarska ekstraklasa, których prawdopodobnie w najbliższych latach nie będzie i z tej przyczyny nic się złego nie stanie.

Jeżeli iść tropem rozważań Rudiaka o regionalnych korzeniach literatury polskiej, to warto wiedzieć, że z naszego województwa wywodzi się urodzona i ucząca się w Sulechowie wybitna pisarka Olga Tokarczuk. A sławna dziś Papusza swoje wiersze napisała w Żaganiu i Gorzowie Wlkp. Ale ten fakt zwykle pomija się w entuzjastycznych recenzjach fabularnego filmu o Papuszy. Nie mam wątpliwości, że po latach o naszym środowisku zaświadczać będzie owe kilkanaście wierszy – pieśni tej cygańskiej, romskiej poetki, które polszczyźnie przyswoił Jerzy Ficowski. Wierszy, za które Papusza tak wiele zapłaciła.

Z lubuskim środowiskiem związani byli nieżyjący już prozaik Zygmunt Trziszka oraz Andrzej K. Waś-

kiewicz – poeta, krytyk literacki, eseista, redaktor „Nadodrza”. To pisarze znaczący nie tylko w swoim pokoleniu.

Rudiak z matematyczną dokładnością obliczył średnią wieku lubuskich autorów. Jest ona wysoka, co – mówię przede wszystkim o sobie – tzw. seniorów wpędza w melancholię i przygnębienie. Zastanówmy się jednak, czy wiek twórców, nie tylko pisarzy, ale wszystkich, ma jakieś znaczenie. Jedni swoje najlepsze utwory napisali w młodości. Drudzy w wieku dojrzałym. A jeszcze inni w późnej starości – Staff na przykład, czy twórczy do ostatnich dni swego długiego życia Jarosław Iwaszkiewicz. Oni byli jak wino. Fenomeni. A tacy trafiają się rzadko.

Nie mam wątpliwości, że Sobkowiak, Warszawski, Kurzawa, Markiewicz, Werstler czy Jolanta Pytel swoje najlepsze wiersze napisali po pięćdziesiątce. I z pewnością nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa. A prozaik Alfred Siatecki literacko się rozpsał, kiedy przeszedł na dziennikarską emeryturę.

Zwykle najbardziej aktywne jest pokolenie średnie. W naszym regionie reprezentowane przez Krzysztofa Fedorowicza, Jacka Katarzyńskiego i Roberta Rudiaka z Zielonej Góry, Beatę Patrycję Klary z Gorzowa Wlkp. czy Adama Bolesława Wierzbickiego spod Lubka, od którego niedawno otrzymałem tomik bardzo udanych wierszy. To jedynie niektóre nazwiska. Ich lista jest dłuższa, podaje ją Rudiak. O najmłodszych nie piszę, bo to temat na pracę magisterską.

Dobrym pomysłem jest coroczne ogłaszanie przez zielonogórską bibliotekę wojewódzką i wydawnictwo Pro Libris konkursu na książkowy debiut poetycki autorów związanych z województwem. Proponowałbym konkurs ten powiększyć o debiut prozatorski (zbiór opowiadań, powieść, szkice literackie). I marzą mi się nagrody dla laureatów przynajmniej tak wysokie, jakie przysnaje się na Festiwalu Piosenki Rosyjskiej w Zielonej Górze.

Jeżeli literaturę traktujemy serio, a nie jako jedynie zabawę w towarzyskim gronie, na przysłówkowych imieninach cici, to podlega ona tylko jednemu wysokiemu kryterium... Nie stosuje się taryfy ulgowej wobec autora tylko dlatego, że mieszka on w małej miejscinie. Albo że jest bardzo stary. Czasem wybacza

się młodziutkiemu debiutantowi, bo trzeba mu dać nieco czasu, aby się rozwinął. Nagromadził doświadczeń, nabrał wiedzy. Stąd twierdzenie, że o randze autora decyduje jego druga książka.

Rudiak, do czego ma takie prawo, twierdzi, że „na pogorszenie stanu naszej literatury wpływa, niestety, szybko rosnąca skala wieku aktywnych literacko pisarzy oraz coraz mniejsza liczba ukazujących się książek lubuskich autorów, jak też coraz niższy ich walor artystyczny”. Jest to teza bardzo dyskusyjna, o czym częściowo napisałem wyżej. Czy mamy regres w twórczości literackiej w regionie? Mam co do tego wątpliwości. Może na starość mój krytycyzm po prostu stępieł. Jeżeli starzy, o których pisze Rudiak, naturalną koleją losu nieco spaspowali, to wciąż przecież pojawiają się nowi autorzy, jak chociażby wspomniana Beata Patrycja Klary, laureaci konkursów na książkowy debiut poetycki czy Krzysztof Koziołek, najmłodszy wiekiem i stażem członek ZLP w Zielonej Górze.

Pisanie a przynależność do organizacji literackich, co tak akcentuje autor szkicu, to dwie odrębne kwestie. Pisarzem można być, nie należąc do żadnego stowarzyszenia. Albo nie być, należąc do kilku. „Młodych nie ma w organizacjach pisarskich z dwóch praktycznie powodów – stwierdza Rudiak i tu należy się z nim zgodzić – [...] Wolą z jednej strony pozostać niezależni, a z drugiej doskonale wiedzą, że tak naprawdę, przynależność nie daje żadnych korzyści materialnych, poza iluzoryczną, niestety, nobilitacją społeczną”. Dodałbym jeszcze trzeci powód. Niektórzy organizatorzy nieprzeliczonych dziś konkursów literackich zastrzegają, że nie mogą w nich uczestniczyć członkowie związków twórczych. Więc nie warto tracić okazji do zarobienia kilku złotych.

Rudiak zauważa, że „wiele obiecujących poetyckich efemeryd” zadowolilo się wydaniem jednej, rzadziej dwu książek, i zamikło. To jest w tym środowisku normalne i chyba odwieczne. Gdzieś czytałem, że co piąty debiutujący jako poeta czy prozaik w prasie lub radiu wydaje samodzielną książkę. Ma to aspekt nie tylko materialny związany ze zdobyciem funduszy, z pozyskaniem sponsorów, ale także, może nawet większy, psychologiczny. Młody człowiek czeka na swój debiut, jak na coś

niesamowicie ważnego w swoim życiu. Książka się ukazała i nic. Nic się na tym świecie nie stało. Nic się nie zmieniło. A przecież wydajemy nie tylko, by zaspokoić swoją literacką próżność, ale z nadzieją, że to, co piszemy, ma jakąś duchową, estetyczną, powiedziałbym, wręcz energetyczną wartość. Że po przeczytaniu tej książki ludzie staną się zwyczajnie lepsi. A świat złagodnieje.

Najciekawsze w szkicu Rudiaka wydały mi się jego refleksje na temat zaniku dotychczasowych form życia literackiego w regionie, które przynosiły niezbędny ferment. Podnosiły temperaturę. Przyhamowały swoją działalność już i tak nieliczne, miniaturowe oficyny wydawnicze poza rozwijającym się, profesjonalnym wydawnictwem Pro Libris. Nie organizuje się spotkań literackich na żadnej z czterech naszych wyższych uczelni, w szkołach, bardzo rzadko lubuskiego literata zapraszają biblioteki. Z bibliotek powiatowych, miejskich i gminnych jedynie Biblioteka im. Eugeniusza Paukszy w Kargowej od lat współdziała z naszym środowiskiem. Nawet Biblioteka Miejska w Żarach, niestety, z braku funduszy w tym roku nie zorganizowała tradycyjnych majowych spotkań literackich. I to co zauważa Rudiak – bardzo mało młodzieży na imprezach literackich. Niemal zanikł tradycyjny studencki ruch literacko-artystyczny. W jego miejsce, co można uznać za światło w tym tunelu, za novum ostatnich lat, na Uniwersytecie Zielonogórskim grono studentek i studentów, kierowane przez prof. Małgorzatę Miłkojczak, zajmuje się historią i problematyką literatury lubuskiej. Ocenia ją i upowszechnia poprzez wydawnictwa, wystąpienia na sesjach naukowych czy poprzez pisanie prac magisterskich. Taka działalność nawet w większych niż nasz ośrodkach nie zawsze jest praktykowana...

„Czy zatem nadchodzi kres twórczości literackiej w wykonaniu lubuskich pisarzy – zapytuje Robert Rudiak – Pewnie jakiś zmierzch napływa”. Jest to teza również bardzo ryzykowna. W twórczości, nie tylko literackiej, każdej, liczy się tylko i wyłącznie jakość. Tutaj ilość nie przechodzi w jakość, chyba że w tej ilości pojawi się wielki talent. A wielki talent to prawdziwa rzadkość i na jego pojawienie się nie mamy żadnego wpływu. Kto nie posiada autentycznego talentu literackiego, nie zostanie wybitnym pisarzem. Instytuty, szkoły pisarskie, warsztaty literackie uczą co najwyżej techniki, obróbki tekstu, który trzeba samemu w samotności napisać. Wyrzucić z siebie. Tu nikt nikomu, tak jak w wierszu Leśmiana, nie pomoże. Rudiak z pewnością ma rację, że w naszym komercyjnym społeczeństwie, gdzie główną wartością jest pieniądź, młodzi nie chcą podejmować trudu, który rzadko kończy się sukcesem. Ale należy wierzyć, że może nawet jutro także w naszym regionie pojawi się wysokiego lotu pisarski talent. I napisze te kilka stron, które pozostaną w literaturze.

Czas jest okrutny, bo bez naszej woli i przyzwolenia szybko upływa. Jest okrutny nie tylko dla nas, ludzi, ale również wobec naszych prac. Twórczość literacka starzeje się szczególnie szybko. Wiele książek jeszcze niedawno nagradzanych, tłumaczonych, dziś już nie jest do czytania. To literacka archeologia. Papierowy kurz. Biblioteki to także ogromne magazyny makulatury. Nie wstydzmy się do tego przyznać. Czesław Miłosz twierdził, że na pięciuset piszących w historii literatury zdoła się zapisać jeden. Sądzę, że i tak był bardzo wyrozumiały. Życie, i dlatego jest ono takie potężne, nie znosi próżni. Na miejsce jednych pisarzy natychmiast przychodzą inni, młodzi. Trudno sobie wyobrazić, żeby pisarstwo kiedykolwiek zanikło. Także to uprawiane w regionie lubuskim.



Hybryda I

Wspólne jest chyba tylko wielkie zdziwienie: jeszcze istnieje świat, i ja jeszcze istnieję.

Andrzej Krzysztof Waśkiewicz (1941-2012)

nawet najoszczędniejszy peiper czy inny z paradygmatu pan tadeusz nie mógł
wymyślić dla mnie krótszej historii najpierw rozżarzone miasto potem nieswoje
winnice na końcu moreny na trzy albo w triadzie kolorów bzu forsycji magnolii
coś się jednak urodziło z *gorzkich źródeł* i z *widma* bo sięgałem po elementarze
światła omijając co do słowa przemeblowane mównice gdy inni w pozorach
trwania pochodu zadzierzgał *wspólnotę* błyskawicznych idei ja wybrałem
dłuższy kalendarz taki który mogłem przemilczeć we własnym języku

zostały miękkie *modele* słów twarde kamienie *formuły* porzucone na pastwę
losu który dla mnie znaczy tyle co zdanie którego nikt nie starał się zrozumieć
nawet jeśli wierzył w istnienie najrozumniejszego z nie moich boga

zwracam się do was pozostali w gadaniu czytajcie mnie w pozycji zbliżonej
do pionu nie chowajcie głowy między wierszami nawet jeśli tam ujrzycie *ruiny*
rosnące z ruin co nie kolą w oczy jak wszechobecna nieobecność słowa

szukałem pokoju choćby w *mirbad* w hotelu z wyobraźni jakbym wzniecał ogień
dzieciństwa obracał w pogorzelisko co udało się z takim trudem zbudować
życie w rysach albo zwykły życiorys mężczyzny męża ojca przyjaciela
bo nie odchodzę bo tylko idę w odwrotnym kierunku tam gdzie zaczynają się
najważniejsze drogi dukty bez drogowskazów zegarki bez dni i godzin
mowa nienazwana w jakimkolwiek imieniu

Hybryda II

Znikomy stoję w cieniu w anemii małego drzewa

Roman Śliwonik (1930-2012)

jeśli to była a była to jesień wszedł do lasu albo las przyszedł do niego w końcu to już bez znaczenia leśmian szekspir lub grochowiak wszystkich nie lubił albo lubił tak samo przerażały nawet grzyby bo nie miały żywych kształtów choć najbardziej wkurzające było a było jak jasna cholera że po raz pierwszy jednak w życiu nie sam lecz ktoś zdjął mu okulary jakby bez nich miał zobaczyć światło z którym brał się na rękę i na papierze i to że nie mógł powiedzieć *odpierdol się* śmierci

tylko jesienią w mieście wystarczy odsunąć firanki żeby coś zobaczyć choćby jedno marne drzewo chyba że ten wredny *pulsujący punkt* zrobił go w konia ze skrzydłami albo strzelił mu gola inny drzew oprawca salwując również w tę samą stronę on już wyłącznie szeptem potrafi jakby gongiem milczenia wyłudzić lub wezwać z pamięci to jedno ocezurowanie *oto nadeszła pora odchodzenia przyjaciół* a przecież słyszać gdzieś spod horyzontu bicie dzwonów jak w pysk zakłócających staccato wiolonczeli jaka szkoda że nie sygnaturki poza tym żaden ze zgrzybiałych kształtów kobiecych bioder nie przypomina ani ich rozchełstań

to była jesień bo zobaczył że w lesie jest naprawdę ciemno lub ciemniej niż zwykle gdy resztki świata i światła jakby w różu nieśmiertelnych okularów i jakby więcej drzew zdrewniałych i wszystkie nagle bez liści i bez otwartych okien w mieście jeśli to była jesień to była to ta właściwa pora rozwiązywania sznurówek kiedy grzyby kwiaty i kobiety oddają wilgoć ziemi a jesień tak samo jak ludzie i słowa nie ma już znaczenia bo to wszystko na końcu lepiej wygląda na papierze

jesień trzeba tak czy owak przeżyć lub przeżyć na co on ma dajmy na to już i tylko już swój czas i swoją nieograniczoną ilość okien drzew i tym podobnych tropów i najwspanialszych trupów bez kolejki obchodząc kolejne głupie w życiu urodziny

Hybryda III

Jesteś jak sakralny głód spokrewniony ze śmiercią

Tomasz Pułka (1988-2012)

godzina na którą czekasz stoi za rogiem ścina białko na rondzie hałasy
przy krawężniku kupa dźwięków ludzie grzebiący w krajobrazie
drzenie much nadlatujących w samo południe gruz zasypujący oczy
zostają nieużywane imiesłowy skurczony w literę s dwudziestokilkulatek
osobno mięso osobno linijki na wersy zabrakło czasu skoro powiedziało się
już *a* więc pora relaksu jak śmierć na zawołanie wypadkowa przecinających
się wilgoci bez krwi i łez bo nikt nie strzela a on cały podziurawiony

wybór między zdeflorowaną ścieżką a zdeptaną drogą nieoświetlona istota
choćby zapachu macierzanki ścinanie trawy z wyszukaną wieloznacznością
zapętlanie desygnatów kubka agrałki oraz kobiet wsobnie niezbędnych
w miłości stołu do krzesła z chromymi nogami

można więc z niczego ledwie a mocno napinając słowa w *bani z poezją*
przedłużyć łaknienie pośpiesznym odejściem w niewątpliwą ciemność
balans dystansu w chędożeniu świata zrównać z doświadczonymi światłem
i krzyżek tu wstawić czy wbić scyzoryk pytańnika

powody marnieją jakby zabliźniały się przyczyny koronowanie przypadków
oswaja raczkowanie śmierci short message story jako fizjologia wiersza

Sąd Brandstaettera

Postacie:

Roman Brandstaetter
Oficer
Poncjusz Piłat
Marysia
Paweł
Rysiu
Tomek
Regina Brandstaetter
Kobieta

Scena 1 *Pokój, Wilno, 1940.*

Oficer

Siadajcie.

Roman Brandstaetter

Dziękuję. Postoję.

Oficer

To nie była prośba.

Roman Brandstaetter

Nie?

Oficer

Raczej zwrot grzecznościowy.

Roman Brandstaetter

Rozumiem.

Oficer

Nie wydaje nam się.

Roman Brandstaetter

Sądziłem, że to nie jest przesłuchanie.

Oficer

Nie jest.

Roman Brandstaetter

Więc dlaczego muszę usiąść?

Oficer

Bo my o to grzecznie prosimy, a wy jesteście dobrze wychowani?

Roman Brandstaetter

I tu nie było znaku zapytania na końcu zdania?

Więc... więc o czym chcieliście ze mną rozmawiać?

Oficer

A o czym można rozmawiać z pisarzem.

Roman Brandstaetter

Jestem literatem. Wolę to określenie. Tylko... nie wiem, dlaczego oficer NKWD chce rozmawiać o literaturze.

Oficer

Zabawni jesteście. Nikt nie powiedział, że chcemy rozmawiać o literaturze. Powiedzieliśmy tylko „o czym można rozmawiać z pisarzem”. Bez znaku zapytania.

Scena 2 *Cela. Wilno, 1940.*

Roman Brandstaetter

Zimno tu.

Poncjusz Piłat

Można się przyzwyczaić.

Roman Brandstaetter

Długo tu pana trzymają?

Poncjusz Piłat

Oni? Nie.

Roman Brandstaetter

Wie pan, jaki dziś dzień?

Poncjusz Piłat

Ciągle wydaje mi się, że kwiecień,
panie Romanie.

Roman Brandstaetter

My się znamy?

Poncjusz Piłat

Pan mnie tak.

Roman Brandstaetter

Przepraszam, jak brzmi pana godność?

Poncjusz Piłat

Gratuluje małżeństwa.

Roman Brandstaetter

Dziękuję. Skąd pan wie? Pan z nimi...?

Poncjusz Piłat

Nie.

Roman Brandstaetter

Naprawdę tu zimno.

Poncjusz Piłat

Idzie się przyzwyczaić.

Roman Brandstaetter

Tak, mówił pan.

Poncjusz Piłat

Pan też.

Roman Brandstaetter

Słusznie. Sądzi pan...

Poncjusz Piłat

(*śmiech*)

Roman Brandstaetter

Sądzi pan, że długo tu będę mnie trzymać? Dla-
czego pan się śmieje.

Poncjusz Piłat

Ja już nikogo nie sądzę.

Roman Brandstaetter

Był pan sędzią przed...

Poncjusz Piłat

Prokuratorem. Wie pan, co się tam
wyprawia?

Roman Brandstaetter

Domyślam się.

Poncjusz Piłat

Domyślać się a wiedzieć to dwie różne sprawy.
W i e m coś o tym.

Roman Brandstaetter

O Armii Czerwonej?

Poncjusz Piłat

O każdej armii. Tej też. Muszę już iść.

Roman Brandstaetter

Te drzwi... Są otwarte?

Poncjusz Piłat

Do zobaczenia, panie Romanie.

Scena 3 *Tarnów, współcześnie
lub czas przemieszany.*

Paweł

Ty szukasz!

Rysiu

Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć... dziesięć! Zamudla-
ny!

Marysia

Jeden, dwa, trzy.

Tomek

Jeden, dwa, trzy.

Paweł

Daj się napić.

Tomek

W co się teraz pobawimy?

Rysiu

W deportację!

Tomek

Nie, w deportację już się bawiliśmy.

Paweł

Pobawmy się we Wiosnę.

Tomek

Tak, we Wiosnę, we Wiosnę!

Marysia

Nie, ja nie chcę.

Tomek

No to bawmy się bez niej! Dziewczyny są
do luzu!

Rysiu

Bez niej to już nie będzie taka zabawa.

Tomek

Kto najbliższej splunie, ten Austriak!

Marysia

Ja też chcę pluć.

Paweł

Ty będziesz szlachcianką.

Marysia

To nie fair, oszukujesz. Też chcę pluć. Nie będę szlachcianką. Nie chcę, nie chcę.

Rysiu

Już się zachowuje jak szlachcianka.

Tomek

Dziewczyna nie może być żołnierzem.

Marysia

Właśnie, że może! Może! Jeśli splunę najdalej! Emilia Plater była żołnierzem!

Rysiu

Hrabianka – szlachcianka, hrabianka – szlachcianka!

Tomek

Plujemy!

Paweł

Ja! Ja jestem Jakubem Szelą! I cała Galicja spłynie we krwi. Austriaku, przyglądaj się i wejdź na sam koniec! Tomku, do mnie, bracie mój.

Marysia

Nie, nie!

Tomek

Psie dusze!!

Niech jegomość się nie gniewa, ale takim w gorącości, żebym, psiakrew, potłukł kości nawet rodzonemu bratu!

Paweł

Kuba Szela twarda sztuka, za swe krzywdy pomsty szukał. Pierwszy panom się zbuntował i dużo ich wymordował. Bo mu nadto dokuczili i ciężko nieraz skrzywdzili...

Marysia

Pomocy!

Scena 4 *Pokój.*

Regina Brandstaetter

Kochanie...

Roman Brandstaetter

Miałem... koszmar.

Regina Brandstaetter

To tylko sen. Już dobrze.

Roman Brandstaetter

Tak. Zostań tutaj.

Regina Brandstaetter

Zrobię ci lepiej herbaty...

Roman Brandstaetter

Przynieś mi moją fajkę.

Regina Brandstaetter

Co ci się śniło?

Roman Brandstaetter

Nie jestem pewien.

Nie jestem pewien.

Regina Brandstaetter

Masz gościa.

Roman Brandstaetter

O tej godzinie? Która, która właściwie jest godziną?

Oficer

Dzień dobry.

Roman Brandstaetter

Pan? Pan tutaj? Co pan tutaj robi?

Regina Brandstaetter

Dla pana też herbaty?

Oficer

Mam stocka.

Regina Brandstaetter

Przyniosę kieliszki.

Roman Brandstaetter

Jakim cudem?

Oficer

Tu nie ma żadnego cudu.

Roman Brandstaetter

Przecież ja zawsze wszystko pamiętałem.
Dlaczego tak mało pamiętam teraz?
Nie wiem nawet, jaki jest dzień.

Oficer

A wie pan, jaki mamy rok?

Roman Brandstaetter

Nie.
Regina, chodź tutaj.

Oficer

Pańska żona umarła.

Roman Brandstaetter

Tamara...

Oficer

Mówię o pańskiej drugiej żonie. Reginie.

Roman Brandstaetter

Pan jest oficerem NKWD, prawda? Byłem oficerem NKWD. Rozmawialiśmy w Wilnie. W 1940 roku.

Oficer

To pan powiedział, panie Romanie, że jestem oficerem NKWD.

Roman Brandstaetter

Moja żona parzy herbatę. Kim pan jest?
Czego pan ode mnie chce?

Oficer

A o czym można rozmawiać z pisarzem?

Roman Brandstaetter

Pan jest oficerem NKWD!

Oficer

A kim pan jest?

Roman Brandstaetter

To nie jest przesłuchanie. Ja nie muszę odpowiadać na żadne pańskie pytanie.
Regina!

Regina Brandstaetter

Kieliszki dla panów. *(W stroju sekretarki odpala papierosa Oficerowi)*

Oficer

Proszę pana, brak odpowiedzi jest także odpowiedzią.

Roman Brandstaetter

Nie, ja się jeszcze nie obudziłem.

Oficer

Gorzej.

Roman Brandstaetter

Słucham?

Oficer

Pan nie zasnął.

Roman Brandstaetter

Ja wszystko pamiętam, tak nie było, moje życie wyglądało zupełnie inaczej.

Oficer

Które życie? Przed czy po tym, jak zmienił pan wyznanie?

Roman Brandstaetter

Pan nie ma prawa mnie o to pytać.

Oficer

Zawsze i wszędzie będą tacy jak ja. I będą oczekiwali jednoznacznych odpowiedzi.

Roman Brandstaetter

Jestem Żydem. Polakiem. Katolikiem.
Co to za hałasy?

Oficer

Żydzi wyjeżdżają.

Roman Brandstaetter

Gdzie?

Oficer

A kogo to obchodzi?

Roman Brandstaetter

68! Marzec.

Regina Brandstaetter

Zamknę okno.

Oficer

Pańscy rodzice zginęli w Treblince.

Roman Brandstaetter

Pamiętam tylko, że Jezusa sądził wielki Sanhedryn.

Oficer

Skąd to przypuszczenie?

Roman Brandstaetter

Był zagrożeniem. Wielkim zagrożeniem.
Dlatego musiało sądzić go 71, a nie 21? Nawet

nie poczekali do następnego dnia. Nie naradzali się długo. Ale my jesteśmy na samym początku drogi chrześcijaństwa. Na samym jej początku.

Oficer

Na samym początku? Pańscy rodzice zginęli w Treblince.

Roman Brandstaetter

Tak.

Oficer

Pańscy rodzice zginęli w Treblince.

Roman Brandstaetter

Tak. Dlaczego mnie pan o to pyta?

Oficer

Bo zawsze ktoś pyta. I jeśli nie uzyska odpowiedzi, to sam sobie tej odpowiedzi udziela. Chciałbym, żeby pan odniósł się do swoich akt.

Roman Brandstaetter

Mam założoną teczkę?

Oficer

Każdy ma.

Roman Brandstaetter

Przez kogo?

Oficer

To bez znaczenia. Każdy ma założoną swoją teczkę.

Roman Brandstaetter

Tak. Większość rzeczy się zgadza.

Oficer

Większość?

Roman Brandstaetter

Tak, to, że po wojnie wyjechałem do Palestyny, że byłem w Iraku...

Oficer

To bez znaczenia, prawda?

Roman Brandstaetter

Tak. Bo brakuje najważniejszej rzeczy. Napisałem *Jezusa z Nazarethu*, pozostałe utwory są tu wyszczególnione.

Oficer

Tu nie ma żadnego przeoczenia.

Pan nigdy tej książki nie napisał.

Pańskie zdrowie.

Scena 5 *Powstanie Warszawskie, współcześnie lub czas przemieszany.*

Paweł

Tomek nie żyje. Urwało mu głowę.

Rysiu

Co się stało?

Paweł

Czołg – pułapka.

Rysiu

Kurwa!

Paweł

Wyrzną nas tutaj.

Wyrzylają jak kaczkę.

Rysiu

Nie panikuj.

Paweł

Maryśka!

Marysia

Jest meldunek z centrali.

Rysiu

Czytaj!

Marysia

Powstanie jest źle przygotowane.

Opór jest bezcelowy.

Rysiu

Po moim, kurwa, trupie.

Paweł

Żebyś wiedział.

Rysiu

Mam dwa granaty.

Paweł

Gdzie?

Rysiu

Udawajmy, że mamy.

Marysia

Tak. Udawajmy, że mamy.

Rysiu

Kocham cię, wiesz?

Marysia

Wiem. Ja ciebie też. Od zawsze.

Rysiu

Na zawsze.

Marysia

Na ostatnie 15 minut?

Rysiu

Nie. Przeżyjemy. W taki czy w inny sposób.

Ale przeżyjemy.

Marysia

I wyjedziemy?

Rysiu

Nie. Będziemy mieć sklepik.

Marysia

Piekarnię.

Rysiu

Tak. Z chlebem. Ze świeżym chlebem.

Marysia

Bo nasza miłość przetrwa.

Paweł

Szmalcowników trzeba było rozwalić przed 43. Nie doszłoby do tego wszystkiego.

Marysia

I nic się nie liczy?

Rysiu

To nasz czas.

Paweł

Pilnika zdjęli dopiero w lipcu 43.

Szkoda, że tak późno.

Marysia

Innego nie będzie?

Rysiu

To nasz czas.

Marysia

Poci czasu kurz.

Rysiu

Tadeusz zginie dopiero za kilka dni.

Marysia

Gajcy nie zginie. My też nie.

Kobieta

Dzieciaki! Chodźcie, kupiłam lody!

Paweł

Już biegniemy!

Marysia

Lody!

Rysiu

Zostaw to tutaj, mama nie każe zabierać rupieci do domu.

Scena 6 *Cela.*

Poncjusz Piłat

Rozumiał mnie pan. Jako jeden z nielicznych.

Roman Brandstaetter

Pan prokurator.

Poncjusz Piłat

Wie pan... Ciężko było.

Roman Brandstaetter

Poncjusz Piłat...

Poncjusz Piłat

Ja... niewiele mogłem zrobić... Teraz też nie zrobiłbym wiele.

Roman Brandstaetter

Nie mnie pana osądzać. Jak osądzać cokolwiek, kogokolwiek teraz?

Poncjusz Piłat

Ale pan... próbował mnie zrozumieć. Ja też. Starałem się zrozumieć.

Roman Brandstaetter

Człowiek istnieje, aby istniał świat...

Kobieta

Macie kromkę chleba? Żołnierze UPA ukrzyżowali mojego ojca. Do góry nogami go przybili. Do drzwi.

Poncjusz Piłat

Ciągle jest kwiecień, a ja nie potrafię domyć rąk.

Kobieta

Kiedyś wieś mieliśmy...

Roman Brandstaetter

Trzeba iść...

Kobieta

Przyszli.

Roman Brandstaetter

Za Nim...

Kobieta

Za Banderą przyszli. Za Petlurą.

Roman Brandstaetter

Za Nim...

Kobieta

Zanim go ukrzyżowali na drzwiach naszego domu, wieś mieliśmy.

Scena 7 *Tarnów, kawiarnia, współcześnie, grają w karty.*

Paweł

No ta ja cię atakuję na spryt. 88.

Tomek

77.

Tomek

No to jak taki jesteś, to ja cię atakuję na siłę.

Paweł

62.

Tomek

80.

Marysia

Brawo, Tomek!

Paweł

To ja zagrywam *ostateczny cios!*
Dwa razy 62, 124! Wygrałem!

Tomek

Teraz moja kolej.

Rysiu

O, ja cię! Ale ci doszło. Będzie pogrom!

Paweł

Myślisz, że mi coś zrobisz? Chyba Bóg cię opuścił.

Tomek

Chyba ciebie Bozia nie kocha.

Paweł

No to dawaj wreszcie.

Tomek

To ja wystawiam ułanów!

Rysiu

Ułan krótki, a chuj długi.

To ułanów jest pułk drugi!

Marysia

Rysiek!

Rysiu

No, co? Żurawiejka jak żurawiejka.

Paweł

I co ty chcesz? Ułanami mnie postraszyć?

Tomek

To nie wszystko. Dogrywam kartę:
Naczelnik Józef Piłsudski.

Paweł

Nie ma takiej karty w tym zestawie.

Tomek

Właśnie, że jest.

Paweł

Nie ma.

Tomek

Jest!

Paweł

Ta, to sobie jeszcze Wernyhorę dorysuj i złoty róg!

Tomek

Wal się! To moja talia i będzie wyglądać tak, jak chcę!

Paweł

To ja zagrywam porozumienie w Jałcie.
Koniec gry.

Scena 8 *Pokój.*

Roman Brandstaetter

Moja żona była dobrą, uczciwą kobietą.

Oficer

To nie ma żadnego znaczenia.
Fakt objawia się poprzez interpretację.

Roman Brandstaetter

Moja żona była dobrą i uczciwą kobietą!

Oficer

Niech się pan, panie Brandstaetter, nie drze się
jak zarzynana owca! Nie jesteś prorokiem,
przechrzczony Żydzie!

Regina Brandstaetter

Spokojnie, spokojnie... (*do Oficera*) kochanie...

Oficer

Singer też był... uczciwym człowiekiem.

Roman Brandstaetter

Tak...

Oficer

Prowadził sobie knajpkę w Bronowicach. Miał kochającą żonę, kochającą córkę. Liczył grosz do grosza. Przyzwoity, porządny Żyd. Porządna rodzina. I co? I trafił na rudego kurdupla. Taki był. Kurdupel. A przecież wiadomo, że rudych się na wesele nie wpuszcza. Pecha przynoszą. I co rudy zrobił? Stał i patrzył. Nie pił. Mniejsza o to, czy chciałby ktoś z rudym pić. Sztukę pisał. Na weselu. Wszystkich kumpli obsmarował. A Singera? Porządnego Żyda? Zamieścił. Prawda, że zamieścił? I jak on go w tej swojej sztuce zamieścił, to tak go zamieścił, że z żoną się rozwiódł, córka poszła w długą z krakowskimi poetami, a on zdechtł w domu starców. Sam. Porządny Singer, co rudego spotkał.

Roman Brandstaetter

Znam tę historię, sam przecież o tym pisałem.

Oficer

A pisał pan, pisał. Ale rudzielca Wyspiańskiego pan cenił... A może powinien stary Singer się cieszyć, że go rudy celebrytą zrobił?

Roman Brandstaetter

Ceniłem go za...

Oficer

Fakt objawia się poprzez interpretację.

Roman Brandstaetter

Kim pan jest? Kim pan jest, że wszystkich ocenia?

Oficer

Człowiekiem.

Scena 9 *Scena plastyczna.***Rysiu**

Masz długie włosy.

Marysia

I co z tego.

Tomek

Tylko ty się nadajesz na Jezusa.

Marysia

Tylko ty na Jezusa, tylko ty na szlachciankę.

Tomek

Taki live. Dzieci i kobiety cierpią najwięcej.

Rysiu

I Żydzi.

Marysia

Jezus nie był dziewczyną.

Paweł

Nie filozuj.

Rysiu

Jak było Powstanie Warszawskie, to było o miłości, co?

Marysia

No było.

Rysiu

To teraz się możesz trochę pomęczyć.

Marysia

Ale bez ukrzyżowania.

Tomek

Bez krzyżowania, bez krzyżowania.

Rysiu

Szalom!

Paweł

Szalom.

Tomek

Szalom.

Roman Brandstaetter

Początkiem i źródłem dobrego pisania

Jest moralność

Poetyka wyrasta z etyki

Jak winnica z czerwonej ziemi

Oto jest kodeks poety

Który sobie ubzdurał

Że potrafi świat uleczyć

A co najmniej uzupełnić

Słowami

Poetyka wyrasta z etyki

Jak winnica z czerwonej ziemi

Kobieta

Jak winnica z czerwonej ziemi.

Piłat

Jak winnica z czerwonej ziemi.

Regina Brandstaetter

Jak winnica z czerwonej ziemi.

Scena 10 *Pokój.***Roman Brandstaetter**

Pan powiedział, że się nie obudziłem,
bo nigdy nie zasnąłem.

Oficer

Zawsze starał się pan wszystko
pamiętać.

Roman Brandstaetter

Pan się przebiera?

Oficer

Skończyłem pracę. Idę do domu.
Lubi pan pierogi?

Roman Brandstaetter

Galicyjskie pierogi...

Oficer

Z serem?

Roman Brandstaetter

Zgadł pan.

Oficer

Nie zgadywałem.

Roman Brandstaetter

Myślę, że poza pamięcią nic nam
nie pozostaje. I wiarą.

Oficer

Przepraszam, ale co pan mówił?

Roman Brandstaetter

Mówiłem, że...

Oficer

Ja już po pracy jestem, do widzenia.

Roman Brandstaetter

Mogę jeszcze o coś zapytać? Dlaczego pan
powiedział, że nie napisałem najważniejszego
mojego tekstu? I kim pan właściwie jest?

Oficer

Moje uszanowanie.

Roman Brandstaetter

Brak odpowiedzi też jest odpowiedzią.

Scena 11 *Miasto, współcześnie.***Paweł**

Co ty, lektury nadobowiązkowe uzupełniasz?

Rysiu

Co czytasz?

Tomek

Jezusa z Nazarethu Brandstaettera.

Na strychu znalazłem.

Tomek

Fajne?

Tomek

„Chrześcijaństwo nie weszło jeszcze
w stadium realizacji, że jesteśmy – w najlepszym
wypadku – na samym jego początku. Mimo
upływu dwóch tysięcy lat, nikt nie może
powiedzieć z czystym sumieniem, że jest
chrześcijaninem”.

Rysiu

Jesteśmy na początku?

Paweł

Na początku to był gwiazdny niszczyciel.

Rysiu

Ta, a później zaczynają się *Gwiazdne Wojny*.

W oddali krzyż, na krzyżu Marysia.

KONIEC

(Utwór wyróżniony w konkursie dramaturgicznym na najlepszy tekst na jeden z trzech tematów związanych z Tar-
nowem zorganizowanym przez Teatr im. Ludwika Solskiego w Tarnowie w 2012 r. Nagrody głównej nie przyznano.)

Nic ponad

Nic ponad skoro
I tak wszystko jest
Jak jest czyli

W poziomie albo i
W pionie bywa

Że nie na swoją miarę lecz
Zawsze na swoim niby-miejsu

Gdzie grunt pod nogami
I dach nad głową

A nawet i dobytek
W każdym kącie choć
Wybiórczy zagraca jednak
Zarówno twój stan
Ciała jak
I ducha

Cokolwiek by to nie było
Wynaturzenie czy
Też zmaterializowanie

Posiądź się więc na tyle
Na ile zdołasz
Tylko nie zbytkuj
Gdyż jak wiesz
Nic ponad

Posażność

Przystosuj się wzbogać
Niezamożnością mimo
Że niedostatek czy też inna
Mniej niż zadawalająca
Posażność nie jest
W cenie ani
Na pokaz a nawet
Do pozazdrosczenia

Bywało przecież
Rozmaicie

Czasami ponad
Nijakość

Zawsze jednak
Poniżej średniej
Majętności

A to już wiele
Więcej aniżeli brak
Czegokolwiek

Jutrzenność

O zaranku
Wyszedłem na pole, czyli
Na podwórze:

Wniebowzięcie
Pieklili się kogut słońca

Trzepotały chmury alergenów

Naraz świt
Tąpnięciem księżycy zrosił
Moją krzątanicę

Od furtki
Bowiem szedł czerw
Jutrzni

Jako że świat był
Jest
I będzie

Choćby
Bez końca
I początku

12 sierpnia 2011

Rodzeństwu

Wracaliśmy z pogrzebu, na którym mnie nie było.
Po drodze mówiło się o wszystkim i o niczym.
Między innymi, że mnie nie było.
Bynajmniej.
Mnie nie było ciałem, ale duchem to ja byłem, i:
Niejedno mogę powiedzieć o ostatniej drodze naszej matki.
O stypie też.
Stypę raczej przemilczmy

Niedopałek

Dziś za poniemiecką maszyną do szycia marki Singer,
Na której to blacie piszę ten wiersz, znalazłem
Niedopałek – twój niedopałek, Mamo – którego
Nie zdołałaś już wypalić;
Teraz ja go dopalam
Aż po ustnik

I jest mi jak
W niebie, błogo.

Błogo, choć
W niebie nie–
Mojego jeszcze świata

15 kwietnia 2012

Człowiek z Kargowej

Ja, Stanisław Kaźmierczak, jestem starym człowiekiem. Ubiegłowiecznym. Siedemdziesiąt osiem lat przyjdzie mi skończyć, jeśli dożyję, jeśli Opatrzność pozwoli, jeśli wytrzyma moje serce, dwudziestego września. To będzie wtorek, imieniny Ireny, wiem, pamiętam, bo moja nieżyjąca już żona miała na imię Irena. Mieszkam tu, na ulicy Dolnej prawie całe życie, jak to się między ludźmi mówi, od zawsze. I tak to czuję. Bo jakże inaczej. Tu był mój ślub i wesele, a potem ślub córki Marzeny, narodziny moich dzieci, jej dzieci, śmierci moich rodziców i niedawno żony. Że nie wspomnę naszych kochanych piesków, kotów, ptaków, którym czasem coś się przytrafiało. I znajdowaliśmy je na ziemi martwe. Teraz, już niedługo, czas i na mnie. Czego chcieć więcej. Wszystko już było. Stodycz i sól. Minęły frapujące pułtyramy przed weselami i każdej jesieni robienie wina. Komu z kolegów lepsze wyjdzie. Smakowaliśmy je i chwaliłiśmy się. W każdym roku to samo, tylko szczegóły inne. O tym są książki i wspomnienia, które może dać do czytania komuś ciekawemu pani Małgosia w naszej bibliotece. Tam jest napisane. Jak na przykład jakaś młoda kobieta przyjechała ze Szczecina, tu, do męża, i pyta wieczorem kogoś na ulicy, gdzie jest plac Berwińskiego. Bo taki dostała adres. I usłyszała, jak zaznacza, uprzejmą i dokładną informację. Całą jej opowieść, jeden okrucz z życia. Ktoś inny niezwykle ciepło pamięta księdza Meggera, który w Kargowej pomagał ludziom po wojnie. Teraz chodnikiem idzie Elżbieta Łuczynska. Wywodzi się z Sulechowa. Ale wpisuje się swoją pracą w Nestle w historię już tego miasta. A chociażby to, co tu działo się z Żydami w czasie wojny. Oby nikomu nie przyszło nigdy w życiu być w takiej sytuacji. Poważniejsza sprawa, bo zakotwiczona w nienawiści i śmierci. Później wysiedlenia Niemców. Również dla nich bolesne, okrutne. Młyn historii. Walec. A jak nas będą pamiętać? Komu jakie daliśmy adres i odpowiedź? Jaki odczytają ślad? Kto by jednak chciał ustalać całą przeszłość, zwłaszcza moją. Jest i była ze mną zawsze codzienność, zwyczajność życia, i powszechne koleje losu, życie, dni za dniami, lata za latami. Raz lepiej, raz gorzej się działo. Ostre zimy, skwarne lata. Na wozie i pod wozem. Może gdybym dokonał czegoś niezwykłego, to teraz liczyłyby się moje zwykłe słowa. Byłoby życie warte pióra nowego Bolesława Prusa. Byłaby wystawa, festiwal, portret na płótnie, jak po śmierci Macieja Kozłowskiego. Koktajle, przemówienia. Prelekcje, obiady, wino. A ja, cóż, jestem w cieniu, prawie bezimienny, anonimowy. Może i lepiej tak. Nikogo nie kosztuję. Wystarczy mi mój dom i moja ulica. Łyzka i jeden talerz. Byli różni ludzie na mojej drodze. Dobrzy i uczciwi, złodzieje i ciemnego pokroju. Wszyscy skądś przyszli. Los rzucił tu i mnie z rodzicami, zaraz po wojnie z Wielkopolski. Konkretnie z Szamotuł. I nie głośkał mnie po głowie. Pamiętam ten wiersz Broniewskiego. O tak. Jestem jednym z wielu, któremu przypadło podobnie. Mieliśmy tam, w rodzinnych stronach, wszyscy sobie życie układać. Ale co, nagle dom się spalił, ledwo się uratowaliśmy. Osmolone belki, i nawet nie wszystkie zostały. Nic poza tym domem wielkiego nie było. Zwłaszcza pieniędzy na jego odbudowę. Brat mojego ojca Kazimierz mówi, że trzebajechać szukać innego miejsca i życia, życia z przyszłością. Tamto sprzedać. Wyrwać się z biedy. Więc wyruszyliśmy na Zachód. I tak to na ulicy Dolnej w Kargowej zaczęliśmy mieszkać, żyć od nowa w tym domu

jednym z ostatnich do zasiedlenia, w domu po Niemcach. Był wtedy czerwiec. Miałem jedenaście lat. Już chłopackiem byłem. A takie wtedy gorące, słoneczne były dni. Łagodny wiaterek. Poleciałem do ogrodu jak na skrzydłach, w ogrodzie znalazłem dojrzewające truskawki. Kilka zjadłem od razu. Chciwie rzuciłem się na nie. I zaraz z wielką, radosną wiadomością, z pełną garścią tych owoców, pobiegłem do mamy, krzycząc, jakie są smaczne, słodkie. Potem jeszcze kilka garści zerwałem. I tak to się najedliśmy do syta. Mamę nawet jakby smutek opuścił. Tego dnia nie zapomnę, naprawdę nie zapomnę do ostatnich moich chwil. Może wtedy do nas doszło, tak dzisiaj się zastanawiam, że ten dom, to miejsce, będzie dla nas przyjazne. I wszystko zaczęło się toczyć mimo ruin, które zostawiła w różnych miejscach wojna. Ale teraz moje życie dobiega końca. Jeszcze trochę. Z okna pokoju właśnie mam widok na ogród. Widzę jego uprawy, kwiaty, warzywa. Takie ciężkie już są głowy słoneczników, które pochyliły się mocno, jak ja czasem teraz się pochylam. Ojciec zasadził w tym ogrodzie drzewo, papierówkę, czarne porzeczeki, maliny, w jakiś czas później, w miarę osadzania się w tym miejscu. Pracował od początku w Kaszarni. Nie miał więc daleko do pracy. Papierówką teraz cieszą się dzieci mojej córki, bo daje im wcześniej pierwsze owoce. Spotykamy się w tym drzewie jakby wszyscy, cała nasza rodzina. Kilka pokoleń. Lubię na to drzewo patrzeć. Na dzieci, które się cieszą owocami, jak ja kiedyś. Staram się wychodzić przed dom. Siadam na ławce jak dzisiaj. Nieopodal Witów też wyszedł starszy mężczyzna, i na ławeczce usiadł. Przyjechał z Wrocławia do swojego brata, żeby odpocząć, tu na obrzeżu Kargowej, gdzie wszystko dzieje się sennie, powoli, jak na wsi. Życiu to służy, kiedy jest zmęczone. Tu ludzie mogą sobie uprawiać ogrody, coś wyhodować. Dzieciom też chyba tutaj lepiej. Cała trójka wybiegła, dwie dziewczynki i chłopiec. Powietrze jest lepsze niż w centrum. Idzie ten lekki, a czasem ciężki, jesienny wiatr, najczęściej od strony południa lub zachodu, czyli od pól, łąk i lasów. Przewiewa miasteczko Kargową. Na dwóch słupach elektrycznych, po prawej stronie, zaraz jak się wjeżdża od strony Klenicy, usadowiły się bociany. Klekoczą wiosną, gadają ze sobą, o wszystkim i wszystkich, a potem wychowują swoje młode. Miłe to. Jakież to widok. Tak co roku. Niektórzy przychodzą tu z aparatami fotograficznymi i robią zdjęcia. Widać służy bocianom ta okolica. Mają stąd blisko na łąki, co są wzdłuż Obrzycy szeroko rozciągnięte. Młoda kobieta, ładnie ubrana, idzie z dzieckiem poboczem asfaltówki w stronę miasta. Pozdrawia mnie. Ja jej odpowiadam. Może to te bociany przyniosły jej tę ładną dziewczynkę Terenię. Poszedłbym i ja rażnym krokiem do miasta, już zaraz, jak ta kobieta, albo do lasu, na łąki, na most pomalowany na żółto, by patrzeć jak sobie tam w rzeczce woda płynie w stronę Odry. Tak jak kiedyś chodziłem, poszedłbym popatrzeć, jaka ryba gdzie rzuci się mocno, i na rzęsę, co przy brzegu się utrzymuje. Plusk usłyszeć. Wdychać zapach łąk poszedłbym w podskokach, błogości zaznać, usłyszeć ciszę. Skowronka. Kraczącą wronę. Poszedłbym. No, ale, co ja dzisiaj mogę. Już żyłem. Teraz tylko patrzę, oddycham, słucham. Trochę spaceruję. Dalej i bliżej ze swoim pieskiem, który też zrobił się wiekowy, ale lubi mi ciągle towarzyszyć, a ja nie mam nic przeciwko, że tak wszędzie razem sobie chodzimy. On mi pomaga, a ja jemu, bo i on trochę już słabowity. Ja rozumiem go, a on mnie. Córka Marzena ciągle upomina, bym uważał z jakimkolwiek wysiłaniem się. A ona wie, co mi wolno lub nie, w końcu pracuje w Ośrodku Zdrowia jako pielęgniarka sporo lat, to prawie już jak lekarz. DREWKA nie przerąbię, bo mi za słabo zamachnąć się siekierą, węgla nie przyniosę do pieca zimą, nie dam rady po zawale z ciężkim wiadrem. Nie wolno. Tylko co-dziennie lekarstwa. Od rana lekarstwa. Inaczej już by mnie na świecie nie było. Sam lekarz dziwi się, że jeszcze mnie kostucha nie zagarnęła swoją kosą. Zartowniś kargowski z niego. Wszystko inne w miarę dobrze, wystarczająco, jak na razie, tylko to serducho, i ciśnienie, głupia sprawa, staje na przeszkodzie. Kiedyś żywot się zakończy. Wiem, wiem. Czasami przychodzi mi zastanawiać się, zwłaszcza gdy z Zamięscia ci Jehowi przyjdą i zaczynają swoje, przedkładać dowody, argumenty, czytać w prawo i w lewo, wszystko jakby słuszne i jasne, akurat dopasowane prawie na każdy dzisiejszy dzień i godzinę, i sytuację, nie zawsze mądrze, a ja wiem, że odchodzić z tego świata po ludzku każdemu żal, tak z powierzchni ziemi zniknąć, tak zwyczajnie już nie być, lecz z drugiej strony, po co. Nie potrzeba mi ich mędrkowania. Co tutaj jeszcze?

Już wszystko się jadło, piło, gadało, tańczyło na zabawach tutaj, w Maratonie się bywało, który jest i był. Bywało się w nim. I w okolicznych wsiach – Kopanicy, Małej Wsi, Wojnowie, Smolnie Wielkim też się bywało na zabawach. Przy okazji dostało się niekiedy sztachetą po plecach. Cóż. Trzeba było płacić za młodzieńczą rozrywkę. Na jezioro Wojnowskie lub w Liniach się jeździło. A w jeziorze jakie rybki... Więc spokojnie. Nie wolno mi roztkliwiać się nad sobą, nie wolno. Ja jeszcze tu i ówdzie, powolutku, z nogi na nogę, czasem się pokuszę doczłapać. A niech patrzą, jak idę. Nie jestem zdany na gest, łaskę, upokorzenie, nie jestem jeszcze od nikogo uzależniony w najzwyczajniejszych sprawach. Za każdym razem jednak myślę o moim koledze, u którego bywałem, jak trzeba było przy żniwach pomagać, trochę młodszym, ale nie dużo, Edku Sikucińskim, któremu się przytrafiło prawdziwe nieszczęście. Wylew krwi do mózgu. Dotkliwy paraliż ciała, utrata mowy i pamięci. Lepiej o tym nie mówić. To jest katastrofa. Tak kończy się nasze pokolenie. Zrobiliśmy, ile mogliśmy zrobić. Wyśpiewaliśmy, co było do wyśpiewania. Wykrzyczeliśmy, gdy kazali. W domu, poza domem, w miejscu pracy, w kościele, na placu, na ulicy. Niech teraz inni na Dolnej, Pocztowej, Browarnej, Różanej, Źródlanej, Klonowej, Polnej, Placu Berwińskiego, na Zamieściu, Babimojskiej, kapitana Więckowskiego czy Wolsztyńskiej pokazują, co potrafią. Śmielsi i mądrzejsi. Chętnie zobaczyłbym pot na ich czołach. Jadą już nie wozami konnymi, jak jechałem ja kiedyś, z rzadka jadą rowerami, a ja wtedy tak codziennie lub pieszo, a oni, młodzieniaszki, już autami z całego świata, brykami takimi wożą swoje dziewczyny, skuterami, motocyklami, siedzą przy komputerach, gadają przez komórki. Oglądają mecze w plazmowych telewizorach. Sprawniejsi, szybsi. Bardziej oświeceni. Kapitan Stefan Więckowski dwieście lat temu, jak podaje legenda, bohatercko ginął pod Ratuszem, broniąc Kargowej i Polski przed Prusakami. Kilku po obu stronach w strzelaniu poległo. Krew wsączyła się w ziemię. Honor został obroniony. Choć nic to już nie zmieniło w wyrokach historii, to jednak legenda została. Może to skarb Kargowej dzisiaj? A dzisiaj co należy robić? Ryszard Berwiński, choć nie stąd, to ma placyk nazwany swoim imieniem, bo walczył o wolność, sprawiedliwość, bo gnił dla Polski długo w pruskim więzieniu na Moabicy, ale i do Konstancji go zaniósł już później. I gdzieś tam jeszcze. Ma swoje ulice w Poznaniu, Krakowie, nawet na Azorach. Napisał *Poemat bez końca*, inspirowany *Don Juanem* Byrona. Tak mi to córka czytała. Stąd wiem. Był poetą. Tak dzisiaj przejmująco brzmią jego słowa: „Śmiecie się, tańczcie – szalejcie [...]. Pamiętajcie – pamiętajcie, że tańczycie na wulkanie”. Nic ująć. A ja czasem nie mam odwagi patrzeć sobie w lustro. Bo już niczego nie dokonam. I co właściwie zrobiłem? Czy to, że starałem się żyć uczciwie jest moją zasługą? Dla kogoś to nadal ważne? Może coś jeszcze chciałbym. Nawet wywnętrzyć się ze swych myśli nie mam przed kim, bo zaraz mnie wyśmieją, albo zaczynają patrzeć z niepokojem, albo ksiądz Szulc powiada, że trzeba teraz zaufać Bogu. Śmierć już na wyciągnięcie ręki. Nie ta twarz, nie ta ze zdjęcia, kiedy poznałem moją kochaną, piękną Irenę. Jakże my ze sobą chodziliśmy. Tak jak nikt już teraz. I sobie ślubowaliśmy. Zaniose jej kwiaty w ten dzień jej imienin, we wrześniu, na grób, na cmentarz przy Sulechowskiej, jak podwiezie mnie córka. Ale ona podwiezie, bo to dobre dziecko. Nie odmówi ojcu. Czasami uśmiecham się do siebie. Przed tym cmentarzem wielkimi literami, białymi kwiatami napisali wśród krwistoczerwonych szafli słowo „Witamy”. Znaczą się w Kargowej. No dobrze. A tu taki piękny, sierpniowy dzień nam się zrobił. Niczego dodawać mu już nie trzeba. Niebo nieco mgliste, łagodnie baranki wysoko, senne obłoki, które nie zwiastują żadnej burzy. Chyba, że na sam wieczór. Ale do wieczora jeszcze daleko. Liczne stado krów Brambora ciągle popasuje na łąkach. Chce się patrzeć. Ciepło. Podniosłem się ze swojej ławeczki i idę oglądać w ten sierpniowy dzień, jak lato wysypuje tu swoje dorodne zasoby. Zboża już zebrane z pól. Kombajny tędy przejechały z Karszyny. Teraz dojrzewają grusze, winogrona, pomidory, dynie imponują wielkością, zaczynają się śliwki, niezliczone aksamitki, astry w ogródkach i przed domami kwitną, słoneczniki wysokie za ogrodzeniami. Zapachy i tylko zapachy. No i nawłóć już obficie wszędzie prezentuje wysokie, żółte wiechcie, a to zwiastuje, że zaraz lata koniec. Muszę iść, nie siedzieć, to mi dobrze robi, najpierw na mostek, pod mostkiem płynie woda, rosną łyzy, kołyszają się niezauważalnie prawie, przy samym brzegu utrzymuje się zieloniutka kaska.

Jak ja to lubię oglądać. To leniwa rzeczka Obrzyca, niedługa rzeczka. Łowiło się tu ryby wcześniej rano, gdy ryba bierze najlepiej, przecież blisko miałem. O, podjechało jakieś większe firmowe auto. Wysiadł wielki mężczyzna w roboczym kombinezonie, poszedł na służę coś patrzeć i sprawdzać. Sprawdził i wrócił. Pojechali dalej. Przejechał motocykl. Za nim znowu powoli auto „Nauka jazdy”. Podążają do centrum Kargowej. A tam wąskie uliczki, pełno aut, znaków nakazu, zakazu i innych. Po lewej stronie w czymś odejściu odzrywają się kury, gdaczą, chyba niosą jajka, i tak to swoim swojskim śpiewem ogłaszają. Pies się odzywa. Łąka jest pięknie pokoszona, ściernisko po owsie mieni się wielką złocistością. Ten dzisiejszy dzień to jeden z tych, o których można powiedzieć, że się wzięły jakby z raju. Tak to z zewnątrz wygląda, bardzo z zewnątrz. Taka czystość i piękno. A wewnątrz są problemy, zmartwienia, kłopoty, zmęczenie, gorycze, rany, pożegnania. I tylko radości mniej. Kiedy idę w stronę miasta, ożywa moja pamięć. Ile przez to miasto osobowych pociągów i transportów przejechało. Ile lokomotyw swoim gwizdem dawało sygnał na stacji. Teraz sygnał żaden. Przez wszystkie lata, niemal codziennie ulicą Dolną szedłem do miasta. Tam, gdzie pracowałem, tam, gdzie ktoś na mnie czekał w swoim domu. Do Kazia Kubiaka, co z robót w Niemczech tutaj trafił, a potem w „Dąbrówce” długo pracował. Teraz już bardzo wiekowy jest, starszy ode mnie. Jego ojciec na wojnie z bolszewikami zginął. Do kościoła z czerwonej cegły św. Wojciecha na Marchlewskiego się szło, do sklepu, na targowisko, zaraz na lewo torami, na tę to stację kolejową, do lekarza do przychodni, na przystanek autobusowy, do kolegów i znajomych, na piwo. Na jednego głębszego do Maratonu. Przed wojną tu kilka browarów było. Niemcy lubią piwo. Widzę znowu te same, znajome mi, wyniosłe zarysy Kaszarni, młyna, magazynów zbożowych. Jakie piękne budynki. Gdzieś tu, za torami, po prawej, była zlewnia mleka i mleczarnia. Teraz myjnia samochodów. Ilu tu Kargowiaków na chleb zarobiło? Każdy zautek jest mi znajomy. Pokrzywa i kamień, i trawa. Tu zaczynałem. Uczyłem się w szkole. Potem była praca. A ja lubiłem pracować. Na budowie, na stacji kolejowej, co od domu niedaleko, od kilku lat nieczynnej, ach, taki ładny, sztywny ten stacyjny budynek, przy rozładunku cementu, wapna, nawozu lub węgla tam się bywało, żeby tylko przetrwać. Nie da się policzyć tych ton, które przeniosłem na przyczepy i wozy konne. Nic nie stało w miejscu, nikt nie dawał za darmo, jakimiś kombinacjami nikt nie żył. Jak to dzisiaj robią na całego. Nawet jak Gagarin przejeżdżał przez Kargową, to też zrobił się wielki ruch. Bo może będzie lepiej. Lżej. Wszyscy ciekawi byli zobaczyć pierwszego kosmonautę. Ja też. I gdy nasz wielki wtedy Dom Handlowy otwierali, handlową chlubę miasta, tak samo, mrowie ludzi się zleciało. I co my wiemy o tych ludziach. Dawni Kargowiaczy. Wszyscy zdążyli umrzeć. Gabryś, Leszek, Bolek, Franek, Agnieszka, Marysia, kierownik Jarzębski z Mleczarni. Tak teraz umarła Regina Rafińska z Dębowej, niespodziewanie, nagle, młoda, po pięćdziesiątce. W ubiegłym roku jeszcze przygotowała przyjęcie w bibliotece. Dzwoni właśnie dla niej miarowo kościelny dzwon, słychać, słychać, prowadzi ją na cmentarz w ostatniej drodze może ksiądz Piestrzyński lub inny, do wykopanego już grobu, żeby pożegnać i pogrzebać. Pochować. Jest sierpień pełen słońca. A jej już nie ma. No i nic, i tak już jest. Życie miesza się ze śmiercią. Pracujemy. Zostawiamy. Następni, co pracują, też zostawią. Rafińska i każdy inny. Leokadia Kwaśnik też już wszystko zostawiła. Przed samym Bożym Narodzeniem w ubiegłym roku. A pamiętają ją tutaj. Dobra nauczycielka z niej była. Moje dzieci polskiego uczyła i wycinanki robić. Jakie ładne. Coraz więcej i częściej ludzie młodo odchodzą. Wykończeni stresem. Nerwami. Powiedziałem córce, bo akurat zadryndała do mnie, że wybieram się, jak to od dłuższego czasu planowałem, na wielką jak na mnie wyprawę. Chcę pójść Dolną, potem Dworcową, na sam Rynek. Popatrzeć na wszystko. Dom po domu, kamień po kamieniu i w końcu Ratusz chcę zobaczyć. Trochę tam sobie posiedzieć, pomilczeć. Niech się widoki we mnie odświeżą. Jeszcze chcę. Mijam niskie domki, tynki malowane na żółto, seledynowo, kremowe, błękitne, okna, drzwi, odnowione fasady. Jeszcze raz idę, chcę iść. Po prawej stara stodoła Rzepowskich, której ściany z belkowych kwater wypełnione gliną. Tajemnicza, zagęszczona drzewami, krzewami cała posesja i tryskające kwiatami podwórko. Na nim dwie kobiety. Uroku dodaje wysoki kasztanowiec. Dziesiątki lat i glina tej stodoły nie szsarzała, ciągle trzyma

swój żółty kolor. Powinna tu Kargowa przychodzić i ją podziwiać, że tak się kiedyś budowało. Nie zobaczy się takiej stodoły już chyba nigdzie. Piękna. Może ostatnia. I ona kiedyś się skończy. Wszyscy pobudowali się z pustaków, a ona z gliny. W głębi przy drodze do Karszyna sosnowy las, ale mizernie coś rośnie, bo i ziemia mizerna. Już tu się nie dało niczego uprawiać. Piachy jałowe. Przejechał z tamtego kierunku samochód pełen drewna pociętego na metry. Dalej, w głębi ulicy wyniosłe, rozbudowane hale fabryki czekolady Nestle. Dwa tiry z Jugosławii powoli wyjeżdżają załadowane towarem. To są duże pieniądze, duża produkcja. Stara fabryka słodczy Dąbrówka, należąca do Goplany bez porównania była mniejsza. A wielu z Kargowej w niej pracowało. To już legenda. Dzisiaj opuszczona, pusta, nic w niej się nie dzieje. Za torami skręcam w Dworcową i ulica wiedzie mnie do Rynku. Prosta, długa ulica. Kostka brukowa ułożona równo, solidnie, zabudowa domów niska, po większości fasadowa, jedna kondygnacja, dom w dom, dach do dachu, jeden do drugiego, w ścisłym zwarcu. Jak na obrazach, które kiedyś, gdzieś widziałem. Tylko niektóre domy osobno posadowione. Kiedyś mieszkali w takich domach kargowscy tkacze. Niektóre odnawiane, niektóre nie za bardzo. Muszę na chwilę przystanąć, odpocznę tylko. To jest Kargowa nie za bardzo zamożnych. Większość ulic wokół ma tu podobny wygląd. Prawie żadnych przejść pomiędzy nimi, tylko coraz dalej i dalej nieprzerwany ciąg płaskich fasad, murów, bram, tak do samego końca. Kilka dachów jeszcze pokrytych papą i eternitem. Dopiero wokół Ratusza, przy którym warują przycięte lipowe drzewa, miasto nabiera bardziej wyrafinowanego wyglądu. Tu czuje się już przestrzeń i zasobność, i stylową wykwinność piętrowych kamieniczek. Na nie warto popatrzeć. Dziewczyny podążają od strony biblioteki z książkami. Młodziutki i ładne. Jedna w seledynowej bluzce, druga w granatowej. Już za mąż mogłyby wychodzić. Rynek. Inne życie, inny ruch. Sklepy spożywcze, delikatesy z napisem „lekko delikatnie świeżo”, Biedronka, apteka, biuro rozrachunkowe, banki spółdzielcze, na rogu Hotel i restauracja, parking. Optyk. Same szyldy, reklamy. Wszyscy się jakoś powciskali i robią interes, czyli pieniądze. Mężczyzna idzie zdecydowanym krokiem na Pocztową. Jest jeszcze pełen sił. Może to przyjezdny. W narożniku Rynku punkt z lodami. Co chwilę ktoś kupuje, nie tylko lody, ale i napoje, może być nawet kawa do stolika. Zaraz za punktem z lodami nieco skryty mały zakładzik fryzjerski, w którym dwie miłe dziewczyny za niewygórowaną cenę doprowadzają męskie czupryny do należytego stanu. Jakiś mężczyzna myje wodą i szczotką przystanki autobusowe, to zapewne już przygotowanie przed Świętem Czekolady. Na afiszu jest napisane, co będzie się działo. Tańce, pokazy, muzyka, motocykle. Nastawiają straganów, stołów, scen, jarmarcznych konstrukcji. Będą się tłoczyć. Każdy coś zje, wypije, poczuje się rażno. Jestem zmęczony, muszę odpocząć. Jest ławka pomalowana na brązowo. Skorzystam. Usiądę. Widzę tu to wszystko, co chciałem zobaczyć. Ale dobrze, że znowu widzę. Kiedyś szary był ten Rynek, teraz jest kolorowy. Pełno aut. Na ławeczkach, po każdej stronie, zwyczajowo siedzą ci, co nie mają pracy, albo już nie muszą pracować. Przychodzą młode mężatki z dziećmi. Siedzą. I tylko się przypatrują wszystkim po kolei. Z daleka widać ich patrzące oczy. Gdzie dawniej był całkiem miły skwer dla wytchnienia, jakby park, teraz pojawił się w tym miejscu wielki plac budowy. Cały, wysoko i ze wszystkich stron oblachowany, można przez szczeliny jedynie dojrzeć głębokie wykopy, odkryte, stare fundamenty. Przed wojną stał tu podobno budynek banku, który zniszczyła wojna. Teraz będą odtwarzać jego architekturę. Ciekawe, co by o tym powiedział Maciej Kozłowski, o tym swoim ulubionym miejscu. Ładnie Kozłowskiego namalowała ta jego malarka Agnieszka Kowalska, jego żona, tak pięknie siedzi, zresztą ona też, na takiej jakby skrzyni. Czekają może na coś. Na dalszym planie rysuje się ledwo widoczny dach gmachu domu kultury i biblioteki przy Browarnej, w którym dawno temu było kino Światowid, przeniesione później na Słodową. Przy przejściach przez ulice są łańcuchy, słupki, na skrzyżowaniu okrągłe lustro dla kierowców. Zwisają ze słupków pelargonie, pelargonie wokół całego Rynku, wielokolorowe, na rabatkach przymilne aksamitki i krwiste szalfwie i dorodne begonie, co tu będą trwać aż do mrozów. Tak każdego roku. Ktoś młody miotłą zgarnia liście przed wejściem do Ratusza. Ulica Słodowa nie jest długa, tchnie szablonem i podobna jest do kilku innych, trochę jakby czas się na niej zatrzymał.

Jakaś w niej niedostępność, obcość, martwota, pustka. Płyty chodnikowe, beton krawężników. Przejechał motocykl i zakręcił. Stoi w słońcu żółte auto. Ładny jest ten balkonik na rogu, ale zaniedbany. Tu znów garaże. A garaże zawsze są brzydkie. Niskie. Nikt znikąd nie wyszedł. Tylko ja idę, bo chcę popatrzeć. Może to sprawa południowej pory. Albo taki moment. Taka głusza tu. Senność wszechobecna. Nie chodzi się wtedy nigdzie zanadto. Wszyscy pracują, nikt nie idzie bez celu. To się czuje w środku Kargowej. Ludzie zawzięcie pracują. Mają taki honor. Żadnych długich pogaduszek kobiet lub mężczyzn. Chleba nie dają za darmo. Tu kiedyś mieszkał mój kolega Gabryś. Na tej Słodowej. A teraz sam już jestem, nikt mnie nie pozna, bo kto w centrum miasta zna mnie, starego człowieka po zawale, z Dolnej. Nie da się wszystkich znać, ani pamiętać, już kilka pokoleń przeszło, w każdym domu, urodziło się i wyrosło. Nie ci ludzie, nie te lata. Inne zabawy. Ile jeszcze musieliby wydać kargowskich wspomnień, by podołać nagromadzeniu się faktów, imion, zdjęć, rodzinnych historii i zdarzeń. Powoli idę, powoli oglądam, oglądam. Już w nic specjalnie nie mam siły się głębiej zanurzyć. Starsza kobieta jedzie rowerem. W koszyku zakupy. Wracam do Rynku Pocztową. Pod parasolami znowu dzieci z lodami. Ma przyjechać moja córka Marzena i mnie stąd zabrać. Mam jeszcze czas. Pooddycham trochę. Może poszedłbym do burmistrza, żeby mu coś powiedzieć i coś usłyszeć na koniec swojego życia. Ciekawe, co nawzajem byśmy sobie powiedzieli? Ale nie pójdę, ja należę do innego czasu. Tam na ulicy Dolnej, niedaleko Obrzycy, rozumiem każdy kamień, słup, gniazdo, na które kilka razy dziennie rzucę okiem. Znam Kruszyńskich, Witów, Maciejewskich, Skwarków, Waligórow, Lorenców, ich coraz lepiej zadbane domy, ogródki i obejścia, nowe dachy, okazałe bramy, murki, podmurówki, żelazne ogrodzenia. Nocą widzę na niebie gwiazdy. I one być może też mnie widzą.

(II nagroda w XIII Konkursie im. Eugeniusza Paukszty w Kargowej w 2012 roku)



Terminalni

Mamo, musiałem się wyprowadzić, najwyższy czas.
Poznałem dziewczynę, jest śliczna i mądra.
Piliśmy sporo wódki, ale nie martw się,
po pierwszej fascynacji przeszła nam też wódka.

Później się pogubiłem, pracoholizm jest piękny
i straszny, jak wszystko, co piękne.
Później pogubiła się ona, ale odnaleźliśmy się
w końcu. W pracy jest średnio, mimo to jest nieźle.

Nie czuję się szczęśliwy, mam tak od zawsze,
ale terminalni (to ci, mamo, którzy znają już
wszystkie rychłe terminy) uważają, że to lepsze,
niż nie czuć nic. Ufam im. Bardzo chcę im ufać.

Guerilla Warfare

Mamo, gry komputerowe to zły wynalazek.
Bez nich byłoby więcej czasu na pracę,
odpoczynek, dziewczynę, kochankę i poezję.

Co prawda pracuję i tak znacznie za dużo,
a dziewczyna jest bliżej z lekkim niedosytem.
Kochanki przepędziłem kilka lat temu
i nie chcą już wracać, a ja ich nie wołam.

Ale może to dobrze, że nie jest zbyt pięknie,
gdyby było lepiej, poezja umarłaby zupełnie.
Latanie od spadania różni lądowanie.

Apteka party level hard

Mamo, spotkałem wczoraj dwie dorodne sarny
patrzące dumnie w okno pociągu, były spokojne.
Myślę, że wolność jest piękna i niebezpieczna.

Niedawno pod mój pociąg wpadł mężczyzna,
wcześniej uciekł z aresztu, to potwierdza tezę.
Najciemniej pod latarnią, najwięcej piasku w morzu.

Mamo, spotkałem wczoraj dwie dorodne sarny
będące w lekkim ruchu, jedna z nich oparta o głaz.
Małe kamienie się kopie a głazy zdobywa (ten obok

zdawał się zdobyty), kolorowe zdobią, marmur smuci,
przywiązane do szyi dodają szyku, topią, stanowią oparcie,
choćby dla saren. Mamo, dwie dorodne spotkałem wczoraj.

Zimne drzewa

Mamo, gdyby śniło mi się, że płoną drzewa
w ciepłym, ciemnym lesie, byłoby dość dobrze,
ale śnią mi się ciągle źli ludzie. Źli tak jak ja,
lecz znacznie bardziej wymowni w swej złości.

Smukłe, gotowe do pogoni psy patrzą na mnie
z zacięciem na każdym rogu i wściekle warczą,
jak pijak z osiedlowej bramy, lecz ugryźć się boją.

Mamo, płynę rzeczną ulicą, próbuję łapać drzewa,
ale przy każdym myślę: *to nie ten konar, nie ten.*
Gdyby nie to, że wszystko z łodzi wyrzuciłem,
nie byłoby tak źle, ale oddałam się, nie łapię, więc

ciągle siedzę w tym samym przeciągu i czuję chłód,
choć jego źródła nie mam w zasięgu wzroku.
Mamo, gdyby śniło mi się, że płoną drzewa...

Krótką historia czasów

Mamo, wczoraj był koniec świata, wcześniej był początek.
Wtedy było pięknie można było coś odkryć, dzisiaj tylko
tęsknić i korzystać z pamięci o kotach skaczących pod koła
pociągu. Spróbujmy być jeszcze raz samotni, poszukać początku.

Mamo, kot nie jest już kotem a pies psem, jesteśmy masą
tego, co było i czego nie wiemy, ale to się zdarzy.
Z jakiegoś powodu nie płacemy kiedy coś się zaczyna,
a zawsze przy końcach. Sen dawno nie jest snem, jest marą

Jestem i teraz, chciałbym, żeby teraźniejszość się skończyła,
ale skończyć można raz, wrócić już nigdy, więc jadę, mamu,
po czarnym asfalcie, póki wszystkie koła trzymają się drogi.

Mamo, nie jesteśmy tu sami, wszędzie, gdzie nas nie ma,
są inne rzeczy, większość to powietrze, więc dajmy lustrom
żłobić zmarszczki, nim przejdziemy na jego drugą stronę.

Onirycznyk

Jedni z nas są ustabilizowani, inni dążą do stabilizacji, jeszcze inni nie pragną jej wcale. Chociaż po części każdy jej potrzebuje, to niektórzy *nie teraz*, bo są młodzi i na drugie im – Spontaniczność. Z marzeń o stabilizacji zrezygnowałem, mając lat 25. Wiele wtedy myślałem, spałem jeszcze więcej. I codziennie budziłem się w innym miejscu. Niestety, nie było to efektem jakichkolwiek używek. Chcąc nie chcąc zasypiałem w Róklasie, a budziłem, dajmy na to, na obrzeżach Kanady.

Przypadłość moja była o tyle problematyczna, że jedyną możliwością stabilizacji, jaką posiadałem, była szansa utrzymania równowagi na własnych nogach. Zazwyczaj jednak nad doskonalenie techniki balansu przedkładałem przesiadywanie – hobby świetne, bo bezpłatne, bezpieczne i niewymagające obecności osób postronnych.

Niejednokrotnie budziłem się w wysokiej, kłującej trawie nad szerokim, bezludnym wybrzeżem jakiegoś morza czy oceanu. Nie wstanę, nie dziś – myślałem. Wpatrzony w niebo całkowicie zasłane szarymi chmurami, myślałem o samotności. Natura introwertyka została mi narzucona wraz z dziwaczną przypadłością sennego podróżowania. Niejednokrotnie budziłem się oddalony o kilkadziesiąt mil od najbliższego miasta, czy chociażby pojedynczego domostwa. Czasami z uporem brnąłem przed siebie, pragnąc kontaktu z drugim człowiekiem, jednak wyprawy takie nie zdarzały się często, w większości były bowiem bezowocne. Zawiedziony, przysiadawałem zazwyczaj pośrodku pełnego pustkowi, na odosobnionym kamieniu czy pniu spróchniałego, pochylonego drzewa, i pozwalałem myślom szbo-

wać po najdalszych orbitach mojej świadomości, puszczałem wodze wyobraźni, wymyślając coraz to nowe historie i osobowości lub po prostu obserwowałem ptaki.

Ptaki mają w sobie niesamowitą lekkość, są skonstruowane idealnie, jakby Bóg każde z piórek delikatnie skleił w palcach, a później złączył je razem. Niekiedy porównywałem siebie do ptaka, przez tyle lat nauczyłem się nie przywiązywać do ludzi i miejsc, byłem wolny, jednak nie tak dobrze skonstruowany, moja ludzka postać wiązała się w jakiś sposób z ułomnością.

Szczęścia starałem się szukać w kontemplacji natury, dlatego z czasem umiłowałem sobie budzenie się w miejscach oddalonych od cywilizacji. Całymi dniami badałem roślinność i zwierzęta, uczyłem się charakteryzować klimat, w jakim akurat się znalazłem, podziwiałem różnorodność, którą mogłem poznawać, zmieniając miejsce pobytu przy każdym kolejnym przebudzeniu. Jak obliczyłem wiele lat później, w czasach mojego podróżowania zwiedziłem wszystkie kontynenty, w tym 134 państwa. W żartach nazywałem siebie onirycznym, mimowolnym Fileasem Foggiem.

Jak stwierdziłem wcześniej, sądziłem wtedy, że stabilizacja życiowa jest dla mnie nieosiągalna. Chociaż powoli przyzwyczajałem się do tej myśli i moja dusza stawiała się w coraz to większej części duszą podróżnika, w głębi serca pragnąłem odnaleźć sposób dający mi szansę na życie zwyczajne, monotonne i bardziej ludzkie.

Pewnego wieczoru, mając 54 lata, przywiązałem się do łóżka. Następnego dnia obudziłem się

w tym samym miejscu. Dlaczego nie wpadłem na to wcześniej? Choć pragnienie stabilizacji było niekiedy bardzo silne, bałem się go jednak, bałem się życia, które miałoby być tak inne od prowadzonego przeze mnie dotychczas. Od tej pory nie podróżuję, z czasem przyszła i owa stabilizacja, ptaki oglądam zza okna wynajętego mieszkania na szóstym piętrze

w jednym z wieżowców Miasta. Moim przyjacielem i towarzyszem życiowej monotonii jest czarny kot Teodor, nieposiadający ogona. Piję dużo kawy i muszę uważać, żeby nie zdrzemnąć się ani na moment, kiedy jadę autobusem czy czekam w kolejce do lekarza, by nie obudzić się przypadkiem na środku pustyni Gobi czy Wielkiego Stepu.



Fashion Love Show

Całowanie twoich ust nigdy nie wyjdzie z mody,
Choć kilka trendów już w trakcie przeminęło,
Kilka gaf niewłaściwego trzymania za rękę,
Zbyt krzykliwe objęcia, kiczowate spojrzenia.

Całowanie twoich ust będzie zawsze glamour
niczym pocałunek na szklanym ekranie.
Bez metek Made in China, szeptów z przeceny,
wyznań miłości na targowiskach.

Całowanie twoich ust jest przyjemnością przeznaczoną
tylko dla mnie!
Bez blichtru, bez świateł fleszy.

Całowanie twoich ust jest niczym degustacja najlepszych win.
Nie chcę walczyć z tym uzależnieniem.

Całowanie twoich ust nadal jest na okładkach magazynów
i póki nasza miłość jest na topie, pamiętaj, będę cię kochać
miłością świeżej kolekcji.

Sen popołudnia letniego, zupełnie bezsensownego

Na ścianie z fototapetą pulsują pęcherzyki słoneczne,
literatki z nadrukami owoców puszczaają nam zajączki,
a my nadzy, pijani, roześmiani tańczymy na suficie z gromadą much.

Nieruchomy wiatr płącze nasze włosy,
podskakujemy nerwowo na dźwięk niemych grzmotów,
szukamy cienia podłogi, kształtu nieba, chłodu słońca.

Wybiegamy na podwórze, potykając się o źdźbła traw,
wyczekując pierwszych kropel suchego deszczu,
ciemnych błyskawic na niebie.

Nie materialne ściany oplatają nas wilgocią i chłodem,
doszukujemy się okien w chodnikowych posadzkach,
odziani, skacowani, zasmuceni.

Wśród rozdeptanych żuczków i pajęczków fikamy koziółki,
chrapiemy kolorową kredę, dławiąc się pyłem,
Popijamy wiśniowy kompot, doszukując się refleksów tęczy w słoiku.

Gniazdo sikorek

(fragment wspomnień)

Aresztowanie ojca

17 września 1939 r. sowiecka armia wkroczyła na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej.

Dla Romka to dzień wyjątkowy, dzień jego urodzin. Z tej okazji matka zrobiła duży tort z rysunkiem czekoladowego misia, napisem i pięcioma płonącymi świeczkami. Powiedziano mu, żeby je zdmuchnął, ale płomyki tak ślicznie migotały, że na prośbę solenizanta, zdjęto świeczki dopiero, jak zupełnie wypaliły się. W tym dniu bracia ani razu nie nazwali go mazgajem ani skarżypytą. Bolek zamiast pocałować dotknął swoim policzkiem policzka brata i głośno cmoknął w powietrze. Janek ścisnął tak mocno, że Romek zakrztusił się kęsem urodzinowego tortu. Rodzice nie żałowali czułych uścisków i pocałunków.

W czasie jedzenia tortu i picia herbaty tato wniósł zapakowany w srebrny papier trzykołowy rowerek z siodelkiem ze skóry i prawdziwym dzwonkiem. Najpierw jeździli po pokoju starsi bracia, wyrывая sobie pojazd. Władek musiał interweniować, gdy chłopcy zaczęli włożyć jeden na drugiego i usiłowali razem dosiąść rowerka. Romek długo nie spał. Jeździł dookoła stołu. Gdy się zmęczył, hałasował dzwonkiem, głąskał połyskującą ramę i kierownicę zakończoną czerwonymi gumkami. Tego wieczoru w oknach gajówki długo nie gaśło światło.

Następnego dnia, przed obiadem, przyszło dwóch mężczyzn w cywilu. Jeden wysoki z prostokątnym wąsikiem pod nosem. Drugi niski, szczupły z podkreśloną grzywką.

Rozmawiali po rosyjsku. Gdy dowiedzieli się, że gospodarz ma przyjść na obiad, usiedli przed domem na ławce. Gospodyni nalała im do kubków herbatę i otworzyła słoik z konfiturami.

Rozalia, przeczuwając najgorsze, przywołała psa i rozkazała.

– Szukaj dzieci!

Azor zrozumiał komendę. Szybko ruszył we wskazanym kierunku. Przemknął obok siedzących mężczyzn. Zdziwieni zachowaniem psa, odwrócili za nim głowy. Gdy pies zniknął w zaroślach, dalej łyżkami jedli konfitury, siorbiąc, popijali gorącą herbatą. Rozalia kontynuowała przygotowanie obiadu. Romek z bezpiecznej odległości obserwował nieznajomych. Blondyn zawołał cienkim głosem:

– No i co, szkrabie? – Chłopiec zaczął się wycofywać. – Nie bój się, chodź tu! – Romek zrobił kilka kroków tyłem. Potknął się, upadł. Mężczyźni śmiali się, dzwonili łyżkami o dno słoika, wygrzebywali resztki konfitur. Nie zauważyli, jak podniósł się z ziemi i zniknął między pryzmami podkładów kolejowych. Romek postanowił sam poczekać na tatę. Siadł na leżącym pniu odartym z kory. Podparł brodę o podciągnięte kolana. Patrzył na drogę. Po niebie przesunęły się chmury. Zastłoniły słońce. Gdy poprawiła się widoczność, zobaczył tatę, który szedł obok roweru. Zeskoczył z pnia i pobiegł mu naprzeciw. Objął ojca za szyję. Władysław posadził go na ramę i usiadł na siodło. Wjechali na podwórze.

Mężczyźni wstali. Kubki odstawili na ławkę. Wąsacz pokazał ojcu jakiś dokument.

Blondyn obmacał go od karku do stóp. Wyjął z kieszeni Władka portfel z dokumentami i podał koledze. Weszli do domu. Wąsacz stanął przy drzwiach. Blondyn został przed domem. Chłopiec, pokonując strach, minął mężczyznę w progu, wszedł do środka. Ojciec jadł obiad przy stole. Matka pakowała do brezentowej torby bieliznę, ubranie, ręczniki oraz osobno do chlebaka jedzenie. Władek jedną ręką trzymał widelec, drugą tulił do siebie stojącego obok syna. Matka postawiła na stole przygotowane do zabrania rzeczy. Siadła obok męża. Mówili przyciszonym głosem. Do pokoju wszedł mężczyzna z grzywką. Nie zważając na niedojedzony obiad, zapiszczał:

– *No, grażdanin, pojechali!*

Rozalia szlochała. Władek pocieszał ją. Wyszedł z domu dopiero, gdy usłyszał przez otwarte drzwi warkot samochodu. Pod ganek podjechał gazik. Za kierownicą siedział młody kierowca w mundurze, a obok niego, również w mundurze, oficer NKWD. Nagle funkcjonariusze przebiegli na drugą stronę samochodu. Jednocześnie sięgnęli do kabur po broń. Zza rogu domu wyszedł duży, czarny pies, a za nim zziązani starsi synowie gajowego. Azor podszedł do gospodarza, usiadł przed nim z uniesioną do góry głową. Aresztowany, zanim wsiadł do samochodu, wziął Romka na ręce. Tulił Janka i Bolka. Przygarnął mokrą od łez twarz Rozalii. Przytuleni stali przez jakiś czas w milczeniu. Mężczyzna z grzywką podszedł do stojącej grupy. Położył dłoń na ramieniu gajowego. Gdy usłyszał ciche warknięcie psa, zdjął rękę z ramienia i cofnął się o krok.

– *No, chwyt!* – powiedział. Władek postawił Romka. Uściskał po kolei synów i żonę. Podszedł do siedzącego Azora, ujął dłońmi jego głowę, potarł uszy. Wycofując się w kierunku samochodu, popatrzył na żonę, która trzymała najmłodszego na ręku, starszych chłopców wolnym ramieniem tuliła do boku. Gdy Władysław wsiadł do samochodu, wąsacz schował do kabury pistolet i usiadł obok aresztowanego. Z drugiej strony Władysława usiadł funkcjonariusz z grzywką. Warknął silnik. Z rury wydechowej wydobyły się kłęby dymu. Ruszyli. Zanim wyjechali na drogę, matka z synami pobiegła do zwalonego drzewa. Władek odwrócił się w ich kierunku. Machał ręką do czasu, aż samochód zniknął w tumanie kurzu.

Gdy kurz opadł, zobaczyli pustą jak otchłań drogę.

Niespodziewane odwiedziny

Rozalia miała nadzieję, że aresztowanie Władysława to jakieś nieporozumienie, które lada dzień wyjaśni się. Mąż wróci i wszystko będzie jak dawniej. Ale czas mijał, a Władek nie wracał. W nocy nie spała, modliła się, płakała. W dzień przed dziećmi starała się być pogodną, wesołą, uśmiechniętą. Organizowała jak zwykle wspólne zabawy z synami. Przejęła obowiązki w gospodarstwie po mężu. Ślady po nieprzespanych nocach tuszowała.

– Władek wszystko przewidział – mówiła do siebie, przypudrowując przed lustrem zaczerwienioną twarz. – Nakupił kosmetyków, narąbał tyle drewna na opał, że nie spalę tego do wiosny. Zlikwidował konto bankowe i zostawił wyjęte z banku wszystkie oszczędności. Zachowywał się przed aresztowaniem jak jasnowidz! Czy on wiedział, co ma się wydarzyć? I nic mi nie powiedział! – Przybliżyła twarz do swego odbicia. – Co ty wygadujesz i do kogo? Sama do siebie mówisz?

Nagle ktoś delikatnie zapukał w szybę. Kobieta ostrożnie podeszła do okna. W świetle księżycy zobaczyła mężczyznę w cywilnym ubraniu. W jednym ręku trzymał wojskowy plecak, drugą dawał jakieś znaki. Rozpoznała go. To znajomy męża z Sarn. Wpuściła go do środka. Był brudny i zarośnięty. Podała mu miednicę z wodą, mydło, ręcznik. Zabrała się do podgrzewania jedzenia.

Gość umył się, usiadł przy stole, gdzie czekała na niego miska gorących pierogów. Mówił, nie zważając na ściekający po brodzie tłuszcz z bekonowejasmażki.

– Połowę pracowników leśnych aresztowano – nie przerywał jedzenia. – Ja i kilku moich kolegów z Nadleśnictwa postanowiliśmy ukrywać się. Stało się to jednak coraz trudniejsze. Enkawudziści, współpracujący

przez miejscowych ochotników, Ukraińców, Rosjan, Żydów, a nawet Polaków jak psy myśliwskie, przeszukują wsie, tereny leśne. Po zlokalizowaniu kryjówek, wywlekają złapanych i wywożą.

– Tutejsi pomagają? – zdenerwowała się Rozalia. – Wierzyć się nie chce!

– Przykre, ale prawdziwe. Władka aresztowano jeszcze we wrześniu. Czy coś się pani dowiedziała o nim?

– Od kogo miałam się dowiedzieć?

– Radzę pojechać do Sarn, dam adres, tam pani pomogą. Przy okazji przekaze im pani wiadomość dla mojej żony. Muszę wyjść przed świtem. Czy pozwoli pani, że zetnę brodę i ogolę się?

– Bardzo proszę. Przyniosę męża przybory do golenia i nożyczki.

Niespodziewany gość ogolił się, podziękował, zarzucił na ramię plecak załadowany żywnością i zniknął w gęstwinie lasu.

Kuzyneczka Kasia

Następnego dnia Rozalia przygotowała paczkę. Dzieci zostawiła pod opieką córce cioci Kamili z Budek Snowidowickich, siedemnastoletniej Kasi Jakubowskiej, szczupłutkiej, ślicznej panience.

Starsi chłopcy, korzystając z nieobecności mamy, postanowili urozmaicić pobyt młodziutkiej opiekunce. Wprowadzali w czyn, ich zdaniem, znakomite pomysły. Na początek zamknęli ją w lochu, gdy zanosila mleko z rannego udoju. W porze obiadowej schowali się na strychu. Nie reagowali, gdy wołała na obiad.

Tego, co spotkało Kasieńkę po kolacji, nikt nie mógł przewidzieć. Janek znaleziony w szufladzie flakon francuskich perfum, prezent mamy od ojca na kolejną rocznicę ślubu, wylał na głowy braci. Bolek pomadką do ust narysował na dużym lustrze podobiznę kuzynki. Podobną jak dwie krople wody. Sportretowana nie doceniła jego talentu. Zdenerwowana chwyciła stojącą pod piecem miotłę i natarła na zaskoczonych chłopaków. Odparli atak. Instynktownie chwycili za brzoźowe witki i pociągnęli z całej siły. Kasia zachwiała się, upadła na ławę, na której stała niecka z zakwaszonym ciastem na chleb. Drewniane naczynie rozpadło się na dwie części. Półpłynna masa rozlała się po podłodze. Zanim dziewczyna zdolała się pozbierać, winowajcy wyskoczyli przez otwarte okno i nie wrócili do powrotu mamy.

Gdy zrobiło się szaro na dworze, Kasia postanowiła szukać chłopców.

Romek bał się wyjść na podwórko, ale bał się też zostać sam w domu. Wlażł na piec i beczał do powrotu Rozalii. Ucichł dopiero, gdy znalazł się w bezpiecznym uścisku mamy. Z minami niewiniątek zjawili się starsi synowie.

Rozalia w Sarnach nie znalazła męża. Powiedziano jej, że był, ale został przewieziony do innego więzienia. Nic więcej nie chcieli powiedzieć. Gdy zaproponowała im za wiadomość paczkę, radzili spróbować w Równem.

Zapakowała nową paczkę i postanowiła następnego dnia jechać rannym pociągiem.

Smażone ziarna słonecznika

Katarzyna za żadne skarby nie chciała zostać z chłopakami. Przytuliła Rozalię i powiedziała:

– Ciociu, przepraszam, ale ja naprawdę nie mogę sobie z nimi poradzić.

– To ja cię, Kasiu, przepraszam za wszystkie przykrości, które cię spotkały.

Rano o brzasku wyszły razem na stację kolejową. Tu pożegnały się. Każda pojechała w swoją stronę. Informacja była dobra. Rozalia odnalazła więzienie, w którym siedział mąż. Przyjęli paczkę, ale nie zgodzili się na widzenie. Nie pomogły łzy i błagania. By się pozbyć natrętnej Polki, postraszyli:

– Wynoś się, bo następnym razem nie przyjmujemy paczeki.

Poskutkowało.

Wracając do domu, zastanawiała się, co tym razem chłopcy nabroili. Była mile zaskoczona. W domu panował idealny porządek. Napieklili placek ziemniaczanych.

Zjadła je, mimo że były mocno przyprawione i przypalone.

Następną paczkę zrobiła jeszcze większą, bogatszą. Włożyła do środka smażone na patelni duże ziarna słonecznika. Dziś paczkę przyjęli, ale na widzenie nie zezwolili, bo:

– Politycznym więźniom widzenia nie przysługują. Naczelnik więzienia może w wyjątkowych okolicznościach zezwolić na jednorazowe widzenie. Teraz naczelnika nie ma, wyjechał i nie wiadomo, czy wróci – usłyszała wyjaśnienie jednego ze strażników.

Mimo niepewności postanowiła czekać. Wpuszczono ją do pomieszczenia obok wartowni. Usiadła na brzegu drewnianej ławki przy oknie wychodzącym za mury więzienia. Na przeciwległej ścianie, tuż pod sufitem, wisił portret wąsatego wodza, oprawiony w ramkę pod szkłem. Patrzyła na uśmiechniętą twarz, nienagannie przystrzyżony wąsik, na kołnierz ozdobiony naszywkami wyobrażającymi liście dębu, na wiszącą pod brodą gwiazdę i pierś ozdobioną szeregiem orderów.

„Uśmiechasz się, draniu! Czym tobie zawiniłiśmy, że tak nas skrzywdziłeś? Co ty narobiłeś? Obok za ścianą siedzi mój Władeczek, pewnie martwi się, a ja nie mogę go zobaczyć, przytulić, pocieszyć”.

Nagle ławka drgnęła. Ktoś usiadł na drugim jej końcu. Przerwał kobiecie monolog do portretu. Spojrzała w jego stronę. Był to młody strażnik. Lat około dwudziestu, krótko przystrzyżony szatyn, twarz opalona. Oczy przysłaniał błyszczący daszek służbowej czapki. Jedną rękę podłożył pod głowę opartą o ścianę, drugą wyjmował z kieszeni spodni ziarenka słonecznika, wkładał do ust, po wyłuskaniu łupiny wypluwał daleko na podłogę. Nie przerywając łuskania słonecznika, zapytał po rosyjsku:

– Władystaw to twój mąż? – Przytaknęła i podniosła się z ławki. – Siadaj, nie ruszaj się i słuchaj. – Wróciła na ławkę. – Twój mąż to bardzo dobry człowiek, dał mi ziarna słonecznika. Dawno nie jadłem tak smacznych. – Podsunął się bliżej, ściszył głos. – Ty nie czekaj na naczelnika. Popatrz w okno. Widzisz szopę? Ukryj się za krzakiem. Stamtąd zobaczysz spacer więźniów. Uprowadzę męża, ale on cię nie zobaczy.

Za drzwiami usłyszeli hałas wchodzących strażników. Młody wartownik zerwał się z ławki. Podeszedł do kobiety zaskoczony jego przemianą. Chwycił za kołnierz pałta.

Patrząc jej prosto w twarz, zaklął i wycedził przez zęby:

– Czy rozumiałaś, co ja do ciebie mówiłem?

Wywłókł przed wartownię i z całej siły popchnął, wrzeszcząc.

– *Von, ty suko!*

Rozalia przewróciła się w kałużę. Błoto prysnęło na boki. Starsi strażnicy śmiali się. Najbliżej stojący poklepał go po ramieniu. Kobieta podniosła się i zobaczyła, że jedno oko na wykrzywionej twarzy młodzieńca mrugnęło dwa razy. Odwzajemniła się. Otrzepta się z błota, szybkim krokiem ruszyła pod szopę.

Więzienny spacer

Stała przytulona do drewnianej ściany. Czekanie dłużyło się. Zmarzła. Otuliła twarz szalem, zamknęła oczy i myślała o Władku.

– Aresztowano go za co? – pytała siebie i nie znajdowała odpowiedzi. – Jest przecież dobrym, uczciwym człowiekiem.

Zawsze pomagał innym. Gdy zaczął się o nią starać, podobał się jej. Wysoki, przystojny, starannie ubierał się, zawsze ogolony. Ubiegało się o nią kilku sympatycznych kawalerów, ale żaden nie odznaczał się taką jak on dobrocią, którą okazywał każdemu.

Rozalia była sierotą. Nie miała nikogo, by zapytać o radę. Musiała sama dokonać wyboru. Ciotka Krystyna, u której spędziła dzieciństwo, radziła jej, by wyszła za mąż za bogatego. Rozalia uważała, że bogactwo to nie wszystko. Napatrzyła się na życie swojej opiekunki, która wyszła za bogatego, starszego mężczyznę, którego nie kochała. Rozalia przyrzekała sobie, że wyjdzie za mąż tylko z miłości. I tak się stało. Z każdym dniem, gdy poznawała Władka, pozostali kandydaci zupełnie przestali ją interesować. Chociaż do końca

nie była pewna, czy ten, którego pokochała, poprosi ją o rękę. Władek wciąż zwlekał, bo obawiał się, że mu odmówi, a tego by nie przeżył. Wolał upewnić się, że jest kochany z wzajemnością.

Oświadczył się w sposób mało wyszukany, ale zrobił to szczerze i przekonująco. Wiedział, że Rozalia uwielbia zapach fiołków. Wręczył jej bukiet ulubionych kwiatów. Nie dobierał słów, powiedział krótko, zwięźlejnie:

– Chcę być z tobą. Wiem na pewno, że cię kocham. Czy zostaniesz moją żoną?

Rozalia objęła go za szyję, przytuliła twarz do jego policzka po to, by ukryć wzruszenie, radość i łzy. Szeptem powtórzyła jego słowa.

– Chcę być z tobą. Wiem na pewno, że cię kocham. Będę twoją żoną.

Na więziennym placu zrobił się ruch.

Przerwała wspomnienia. Szaleem wytarła łzy, które popłynęły jak przed laty. Z budynku wyszli strażnicy z karabinami. Po nich pojedynczo w odstęпах więźniowie. Utworzono obracający się krąg, który zajął większą część placu. Od strony szopy, mężczyźni ubrani w mundury służby leśnej przechodzili tuż przy ogrodzeniu. Byli tak podobni do siebie, że na początku nie poznała męża. Dopiero za drugim okrążeniem, gdy zdjął czapkę i otarł się o siatkę. Przyśpieszyło bicie serca. W ostatniej chwili powstrzymała okrzyk:

– Władeczku kochany! Widzę cię, tu jestem! Tęsknimy za tobą, wracaj do domu! Bez ciebie nie dam sobie rady!

Przy następnym okrążeniu, gdy zbliżał się do ogrodzenia, manipulował coś przy czapce, dawał znaki, że to on. Nie musiał tego robić. Gdy raz zobaczyła go, nie odrywała od niego oczu, razem z nim krążyła wokół więziennego placu.

– *Koniec progutki!* – koło zatrzymało się.

Więźniowie zaczęli wchodzić do środka. Władysław przed drzwiami budynku stanął. Spojrzał w stronę krzaków zasłaniających szopę. Nic nie zobaczył, ale uśmiechnął się, bo wiedział, że patrzy na niego jego kochana Rozalka. Ruszył z miejsca dopiero wtedy, gdy popchnął go więzienny strażnik.

Wracała do domu bardzo szczęśliwa. Widziała go. Przez cały czas miała przed oczami obraz męża w wygniecionym, brudnym, zielonym mundurze. Nawet nie zareagowała na pobożowisko, jakie zastała w domu. Chłopcy bawili się w pociąg. Wywrócony do góry nogami stół – to parowóz. Położone rzędem krzesła wyobrażały wagony. Gdy weszła do pokoju, wypychali się z „lokomotywy”. Żaden nie chciał odstąpić roli maszynisty. Na podłodze leżał rozebrany do ostatniej śrubki zegar ścienny. Spadł, gdy pociągali za łańcuszki z ciężarkami. Po powieszeniu zegar nie cykał, dlatego postanowili naprawić go. Byli bardzo zdziwieni, że matka zamiast krzyczeć na nich, przytuliła ich do siebie. Umyła, położyła do łóżek, przykryła starannie, pocałowała jak zwykle na dobranoc.

Tej nocy nie płakała. Modliła się w intencji męża, dzieci i tego więziennego anioła, który obrzucił ją wyzwiskami, wywłócił na więzienie podwórko i popchnął do błota.

Pijany anioł

Rozalia nie mogła doczekać się następnej wyprawy do więzienia. Niosąc ogromny, starannie zapakowany pakunek, nie czuła zmęczenia. Strażnik kontrolujący zawartość paczki, zapytany o obecność naczelnika, powiedział, że naczelnik więzienia jest, tylko nie wiadomo, czy zgodzi się przyjąć.

Zgodził się. Rozalia pełna nadziei szła do biura pod opieką dwóch strażników. Jeden z nich to ten sam, dzięki któremu zobaczyła męża w czasie więziennego spaceru. Przed drzwiami do gabinetu wsunęła im w płóciennym woreczku pachnące ziarna słonecznika. Natychmiast zawartość przełożyli do kieszeni. Jeden z nich zapukał do drzwi.

Po dobitnym „*Wojdźcie pozałusta!*” wszedł do środka. Zamknął za sobą drzwi. Przez kilkanaście sekund trwała cisza. Po niej głośny monolog naczelnika, gęsto przeplatany siarczystymi przekleństwami. Gwałtownie

uchyliły się drzwi. Rozalia została sam na sam z naczelnikiem. Na nosie miał rogowe okulary. Przez grube szkła, prawie dotykając nosem blatu biurka, przeglądał bezładnie rozłożone dokumenty.

– Ty chcesz zobaczyć się z mężem? – podniósł wzrok znad papierów. Podeszedł wolno do przerażonej kobiety. Przyglądał się uważnie jej twarzy przez soczewki okularów jak przez lupę. – Dziś to niemożliwe.

Stała zahipnotyzowana jak pod wzrokiem bazyliuszka. Był w średnim wieku. Miał różowe policzki, granatowy nos, nad zapadniętymi głęboko oczami gęste brwi.

– Zrozumiałas? – stanął przy oknie z podpartymi rękami na biodrach. Rzucił przez ramię: – Żegnam!

Podeszła do niego i stanęła tuż za plecami. Zastanawiała się jak ponowić prośbę. Uprzedził ją.

– Zobaczysz go następnym razem.

Ponieważ nie ruszyła się z miejsca, patrząc w okno, krzyknął:

– Do widzenia!

Wybiegła z gabinetu. Nie powstrzymała obficie spływających łez. Czekał na nią tylko jeden znajomy strażnik.

– To sadysta, on nikomu nie daje zezwolenia na widzenia – powiedział pocieszającym głosem. Gdy ruszyli powoli długim korytarzem, mówił szeptem do jej ucha. – Za piętnaście minut kończę służbę, czekaj na mnie przy szopie. Na dworzec pójdziemy razem.

Do dworca szli w pewnym oddaleniu od siebie, tak jakby się nie znali. Przed stacją młodzieniec przyspieszył kroku, minął kobietę, zatrzymał się przed dworcem. Gdy go mijała, dotknął palcami jej łokcia.

– Koniecznie bądź pojutrze rano.

W umówionym dniu pierwszy pociąg do Równego odwołano. Pojechała następnym. Znajomego strażnika spotkała przed dworcem. Wracał już ze służby. Czuć było od niego samogonem.

– Spóźniłaś się! – był pijany, ale mówił do rzeczy. – To nic, zanim zaniesiesz paczkę, idź szybko na drugą stronę więzienia. Stań między słupem telegraficznym a murowanym budynkiem. Tam zobaczysz się z mężem. Nie podchodź blisko ogrodzenia. – Zachwiał się i upadłby, gdyby nie uchwycił się słupa.

Przybliżył do jej twarzy ziewające alkoholem usta.

– *Ty nie żdi svojevo muža, on nie vierniotsa. Bolsze niczego nie mogu tiebie skazat. Nikomu nie govori o tom, czto ja tiebie skazat. Kak skazesz, oni mienia...* – przeciągnął dłonią po swojej szyi. – *Pomnij... I proszu.. Jesli mozesz... Izvini... Nam všiem...* – dokończył, bełkocąc.

Jeszcze chwila, a usiadłby na ziemi. Chwyciła go pod rękę, pomogła stanąć na nogach. Zdążyła powiedzieć.

– Dziękuję! – chciała jeszcze coś dodać, wrzasnęła:

– Spiesz się! – zatoczył się i wmieszał w tłum śpieszących na dworzec pasażerów.

Reszką sił dobiegła do wskazanego miejsca z przytuloną do piersi paczką.

Rozebrani do połowy mężczyźni wyciągali ze studni wodę, zawieszonym na łańcuchu, drewnianym wiadrem. Nalewali wodę do misek, stawiali na ziemi, myli się, pomagając sobie wzajemnie. Nad myjącymi się unosiła się para, zza której zjawiali się coraz nowi więźniowie, a po umyciu znikali w obłoku mlecznej zastony. Zwróciła uwagę na mężczyznę z niebieskim ręcznikiem na ramieniu, który postawił miednicę tuż przy siatce.

– Tak, to on! – ucieszyła się. – Tu jestem – szepnęła.

Mąż, nie patrząc w stronę żony, mydlił się i mówił półgłosem:

– Dzieci zdrowe?

– Zdrowe, tylko...

– Nie wiem, czy jeszcze się zobaczymy. Kocham was...

– I my cię kochamy, Władeczkule!

– Nie rozmawiaj z nikim o naszych sprawach, nie ufaj nikomu. Dbaj o dzieci i o siebie. Niech Bóg ma was w swojej opiece. Muszę już iść. Ty też już idź.

Splukał namydloną twarz. Trzymał w rękach miednicę z wodą. Patrzył przez chwilę na żonę. Miał łzy w oczach, których nie było widać, bo spływały razem ze ściekającą wodą. Wylał zawartość miednicy i zniknął za kurtyną pary. Rozalia zalała się łzami. W gardle ścisnęło. Nie mogła nic wyksztusić na pożegnanie.

Zaczęła się wycofywać. Spojrzała jeszcze raz za siebie. Zobaczyła pozostawioną paczkę. Powoli wróciła po nią. Nachyliła się, ujęła dłońmi i w tej pozycji pozostała. Tuż za siatką, odwrócony do niej przodem, stał z karabinem w ręku strażnik. Mężczyzna wypłutł z ust niedopałek papierosa. Powiesił na ramieniu karabin i zaczął rozpinać rozporek. Zamknęła oczy i trwała tak do czasu, aż ucił plusk moczu. Rozwarła powieki. Zobaczyła plecy strażnika. Kończył zapinać rozporek. Teraz była bezpieczna. Poszła zanieść paczkę. Była rozdygotana ze strachu i zimna oraz szczęścia, że znów widziała męża i zamieniła kilka słów.

„Czy jeszcze go zobaczę?” – pomyślała, stojąc przy strażnikach, kontrolujących paczkę.

To było ostatnie widzenie.

Następnym razem nie przyjęli paczki, powiedzieli, że więźnia przewieziono w inne miejsce. By czegoś dowiedzieć się, próbowała przekupić paczką. Bez powodzenia. Zrezygnowana, oddała paczkę pierwszemu z brzegu mężczyźnie, który przywieziony ciężarówką razem z innymi, oczekiwał na „zakwaterowanie”.

Kilkakrotne próby uzyskania informacji o mężu nie przyniosły żadnych rezultatów.

Myślała, że – jak krążą pogłoski – może więźniów wywieźli do Związku Radzieckiego.



Szary kwiat pobladł przekraczając granicę światłocienia
pustynny piasek przesypany z glinianych naczyń
w siną dal
uderza ziarenkami w ogromną tarczę plemiennych bębnow
wybijając rytm przekraczania szarych kwiatów
przez granicę między wodą a kroplą
między pyłem a cieniem
Błady błysk płatka kwiatu
zapisał się jasnym widokiem,
gdy przeglądał się w wodach jeziora
Spójrz: naokoło góry dostojne
to królestwo śpiewnych medytacji
gdzie licha mgiełka dodaje tysiącleci,
a kwiat szary trącany żdźbłem roztańczonym
uśmiecha się z lekka jakby od niechcenia
muskany jednocześnie w twarz wiatrem znad górskiego jeziora
Jeszcze chwila, a zdałoby się,
że złapie przeziębienie
wtedy na powrót zamyka się w szarościach
Żdźbła trawy ustawione pionowo
na linii ziemia–niebo
tańczą wkoło
dynamicznie uderzając w rytualne klepisko
Jezioro pełne wody przejęte tym
zrodziło wielką łzę
po czym zwlekłą ją z siebie
zupełnie tak, jakby przeglądało się
w swoim lustrzanym odbiciu
Tańczące i sztywne żdźbła trawy
przekrzywiły powierzchnię jeziora
w takt dynamicznej muzyki
Łza owalna i duża popłynęła
prosto do gór, do mgieł w starość szczytów

(3 stycznia 2013, S. Roach & B. Metcalf, *Tales from the Ultra Tribe*)

Czerwona kula

Tańcząc wśród traw wysokich
klasnąłem raz po raz w dłonie
uniesione ku niebu
Raptem stanąłem na palcach
i bokiem spojrzałem
na nieliczne źdźbła przede mną
jak to drgają poruszane letnim wiatrem
I oto idę drogą rozgrzaną, drogą czerwoną
ku tarczy świecącego pomarańczowego olbrzymia
cały zawieram się w obrysie słońca
Idę, a powietrze paruje wokół
Żdźbło przestało się ruszać
Wzniosłem ręce
Słońce na ramionach wiatru zrodzone na nowo
Obłok biały porwał moje stopy
Kurzem zaniósł się czerwona droga

(10 stycznia 2013, Steve Roach, *Fever Dreams III* – dysk 1)

Garście szlachetnych kamyków zza okna

Spoglądam ponad białym, dużym okiem kobiety,
która stojąc pod moim oknem
twierdzi, że jest koniem
Dopiero wybiera się na łąkę, nad rzekę
po suchy badylek
Spoglądam więc zza głowy tej kobiety
i widzę wulkan
jak wyrzuca z siebie żwir smolisty
ogniste języki i ogniste wybuchy
Widzę jak wyrzuca z siebie
garście szlachetnych kamyków
szmaragdów i ametystów,
a także diamenty
Wulkan wyrzuca je poza cienką linię nieba,
gdzie jest tylko biel, którą Duch przenika
Kobieta spod mojego okna
umieściła liczne krzyże
na księżycu wielkości pomarańczy
On świeci na chodniku
To ona wprawiła to światło w ruch badylkiem
Światło, które wyrosło na kamieniu szlachetnym
i stało się jego okiem
Kobieta niczym ruchem końskich kopyt
rusza nogami w miejscu
i wypatruje w księżycu, w tym świetle
na chodniku
oznak i poruszeń życia
przychodzącego z Nieskończoności Tchnienia

(16 lutego 2013, Alio Die, *Deconsecrated and Pure*)

Niezwykły świat z tyłu głowy

Gdzieś z tyłu głowy
zaczyna się horyzont rzeczy Niezwykłych
stojących jak człowiek w czarnym ubraniu
u progu uchylonych drzwi
w samym środku zmierzchu na niebie
Pod rondem kapelusza na głowie
rozpoczyna się taniec Dopowiedzeń
Gdy wejdiesz na brzeg kapelusza
wszystko będzie już wiadome
I tylko dym z wnętrza wyściełany aksamitem
dotrze do Twoich wąsów
Sprawi, że wstaniesz od dębowego stołu,
by zacząć przeglądać stare, czarno-białe fotografie

A gdzieś z tyłu głowy
słońce w blasku zapomni o sobie
i zniknie w wysokiej trawie
Oko pasikonika upuści łzę
z radości do tego Światła
Świat znieruchomieje w zachwycie
Cisza wypełni każde niezrozumienie pracy i cierpienia
Słońce czerwone toczyć się będzie po Ziemi

(14 marca 2013, Steve Roach, *Mystic Chords & Sacred Spaces* – dysk 2)

Nasz Disneyland

Od kilku miesięcy znów był bez pracy. Dni zlewały mu się w jedną, ciągłą i szarą egzystencję, a ciało przejawiało dziwną niemoc do robienia czegokolwiek. Zamknięty w przestrzeni swojego małego mieszkania powoli pogrążał się w apatii. Wychodził rzadko, tylko wtedy, gdy brakowało mu papierosów lub gdy miał ochotę na ruskie pierogi w przydworcowym barze mlecznym. Wszystkie twarze ludzi napotkanych podczas tych krótkich spacerów potwierdzały jego przekonanie o beznadziejności i bezsensie życia. Ich smutne spojrzenia, bezbarwne ubrania i ciche szepty odbierał jednoznacznie. Nawet na twarzy urzędniczek w miejscowym urzędzie pracy, do którego zgłaszał się co miesiąc w celu pobrania zasiłku, widział szybko zbliżający się koniec tej ziemskiej udręki.

Kolejnego dnia, akurat w momencie, gdy zamierzał uciąć sobie drzemkę na swojej wąskiej, czerwonej kanapie, ktoś natarczywie zaczął dzwonić do drzwi. Nie miał ochoty otwierać i widzieć nikogo, więc ociągał się ze wstaniem w nadziei, że intruz da sobie w końcu spokój. Dzwonek stawał się, wbrew przewidywaniom, coraz bardziej agresywny. Poirytowany naciągnął więc na siebie stary, leżący na krześle podkoszulek i stanął przy drzwiach. Gdy otworzył, przywitał go dobrze znany śmiech, należący do jednego z kumpli.

– Cześć, Krzysiu! Wpuścisz mnie do środka? – zapytał gość, wciąż się śmiejąc.

– No... cześć Rafał... – powiedział cicho. – Wchodzi i rozgość się – wymamrotał wreszcie po zbyt długiej chwili, otwierając szeroko drzwi i przepuszczając kolegę.

Rafał, szczupły i niski facet, wręcz tryskał energią i humorem. Wszedł do jedyne go pokoju w mieszkaniu, rozejrzał się po nim i usiadł na obwieszonym ubraniami krześle.

– Nieźle się urządziłeś – stwierdził.

– Nie bądź śmieszny! Nic wielkiego ta kawalerka, ale zawsze to własny kąt – opowiadał Krzysztof, siedząc na kanapie. – Nie starcza mi teraz nawet na opłaty...

– U mnie też nie najlepiej. Kilka miesięcy już nie mieszkam w domu – stwierdził Rafał z grymasem na twarzy.

– A gdzie nocujesz? – zapytał zdziwiony gospodarz, wyjmując tanie papierosy.

Rafał poczęstował się i zaciągnął mocno przed odpowiedzią.

– A wiesz... tu i tam... Z roboty też mnie zwolnili – wymamrotał na koniec.

Krzysztof zamilkł i spojrzał przez balkonowe okno. Na dworze powoli zapadał zmrok. Po chwili zaklął siarczyście i głośno.

Wstał i poszedł do kuchni nastawić czajnik na herbatę. Gdy wrócił do pokoju, Rafał poprawił się na niewygodnym krześle. Uśmiechnął się i zaczął mówić.

– Nie jest tak do końca źle. Spotkałem ostatnio kumpla i zaproponował mi robotę na Ukrainie. Do końca nie wiem, co to będzie, ale płaci dobrze. Razem z delegacjami będzie nawet kilka tysięcy miesięcznie.

– Kilka tysięcy? – zdziwił się Krzysztof.

– No, wyliczyłem około siedmiu do ośmiu tysięcy. Popracuję kilka miesięcy i wrócę. Będę mógł już spokojnie żyć. Wynajmę sobie mieszkanie lub chociaż pokój i będę szukał pracy na miejscu – z przejęciem mówił Rafał.

Usłyszeli gwizd czajnika. Krzysztof wstał i pokręcił z niedowierzaniem głową. Wyszedł do kuchni, by zaparzyć herbatę. Po chwili wrócił i postawił gorący napój na stole.

– Jeśli będzie tak, jak mówisz, to jest to niezła oferta. Będziesz miał szansę trochę odżyć – stwierdził, trzymając szklankę w dłoni i dmuchając na gorącą herbatę. – Choć suma wydaje mi się trochę kosmiczna.

– Nie wierzysz? Nawet nie wiesz, ile zarabiają niektórzy ludzie – odparł zirytowany Rafał i wyjął z paczki kolejnego papierosa.

Widząc złość na twarzy kolegi, Krzysztof zmienił temat. Pijąc ze smakiem herbatę, opowiadał o filmie, który kilka dni temu oglądał po północy w telewizji. Był trochę zaskoczony, bo poczuł, że ta niezapowiedziana wizyta rozluźniła go trochę i dodała odrobiny energii. Przez chwilę poczuł nawet, że jest w stanie coś ze sobą zrobić: poszukać pracy, spotkać się na kawie z ładną koleżanką lub po prostu pospacerować bez celu po parku.

Po dwóch godzinach wizyty, wypiciu dwóch herbat i wypaleniu połowy paczki papierosów, kolega nadal siedział na tym samym krześle. Przestał jednak już mówić. Zaczął z pasją przełączać pilotem kanały telewizyjne.

– Nie wiedziałem, że lubisz seriale – stwierdził Krzysztof zdegustowany i leniwie rozłożył się na kanapie, obserwując kontem oka niezapowiedzianego gościa.

– Czasami lubię je oglądać – odpowiedział z uśmiechem Rafał.

Długie minuty spędzili w milczeniu, wpatrując się w ekran i śledząc bujne fabuły polskich seriali. Znużony gospodarz przymknął oczy, przytulił się do poduszki i w końcu zasnął.

Wczesnym rankiem obudziło go mocne pukanie do drzwi. Kolejny raz ktoś z premedytacją próbował zakłócić jego spokój i niemoc wykonywania monotonnych, codziennych czynności. Lekko przebudzony stwierdził, że tym razem nie ustąpi. Złapał leżący nieopodal łóżka kapeć i rzucił nim w kierunku drzwi.

– Wynocha! – krzyknął i przewrócił się na drugi bok.

Po chwili pukanie ustało. Na klatce schodowej ktoś obrzucił go cicho wyzwiskami.

Nie zamierzał dzisiaj szybko wstawać. Będzie spał i śnił o lepszych czasach, lepszych chwilach i lepszych ludziach. O rzeczach, które ostatnio pojawiały się tylko w marzeniach.

Następne dni i tygodnie po zaskakującej wizycie nie skłoniły go do żadnych pozytywnych działań. Chwilowy przyływ energii już dawno ustąpił miejsca zagnieżdżającej się w jego umyśle niechęci do życia. Większość czasu spał, w przerwach przyrządzając posiłki i bezmyślnie gapiąc się w telewizor. Jedynym wydarzeniem w tym czasie była wiadomość od administracji budynku, w którym mieszkał, o kolejnym niezapłaconym czynszu za mieszkanie. Przyjął ją obojętnie i powrócił do swoich „zajęć”.

Było szare, deszczowe popołudnie. Szedł powoli chodnikiem. Z głową schowaną pod kapturem omijał powstające kałuże. Dzisiaj musiał stawić czoło swojej słabości. Otrząsnąć się i poprosić rodziców o finansowe wsparcie. Wiedział, że nie będzie łatwo, ale musiał to zrobić, jeśli nadal chciał utrzymać swoją kawalerkę – jedyne miejsce, gdzie czuł się dobrze. Jego własny azyl.

Właśnie przechodził obok osiedlowego sklepu, przy którym kręciła się grupka żuli pijąca tanie wina. Postanowił wejść i coś kupić. Starczyło mu tylko na małą bombonierkę w kształcie serca i butelkę coli. Gdy wychodził, jeden z meneli odłączył się od reszty i podszedł do niego.

– Cześć przyjacielu, kup mi coś do picia – powiedział zachrypniętym głosem, łapiąc go za ramię.

– Właśnie wydałem wszystkie pieniądze, nic nie mam – odparł Krzysztof, trzymając zakupy w ręce.

Niski człowiek, o czerwonej twarzy i przekrwionych oczach zachwiał się i zamyślił.

– Przyjacielu, jeśli chcesz, to dołącz do nas – odparł po chwili, wskazując ręką grupę stłoczoną pod prowizorycznym daszkiem.

– Nie, dzięki. Spieszę się – odparł rozbawiony i ruszył w stronę pobliskich bloków.

Mieszkanie pachniało gotowaną kapustą, której aromat roznosił się po każdym zakamarku trzypokojowego mieszkania. Matka, jak zawsze, krzątała się po ciasnej kuchni, przygotowując jedzenie, a ojciec siedział w fotelu i oglądał dyskutujących w telewizji polityków. Rodzice domyślali się intencji tej wizyty, ale zachowywali spokój, czekając na jego ruch. Zanim przejdę do konkretów – pomyślał Krzysztof – zjem najpierw obiad.

Po pochłonięciu ciepłej zupy i wielkiego schabowego z kapustą odsunął się od stołu i podziękował. Dawno nie nasycił się tak dobrym jedzeniem. Matka spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Podała mu szklankę letniego kompotu.

Wypił i zaczął mówić o swojej sytuacji. O tym, że nie czuje się dobrze, ale walczy wciąż sam ze sobą. Że wkrótce zamierza znaleźć pracę, aby w końcu odbić się od dna i nadal mieszkać w swoim mieszkaniu. Potrzebował tylko trochę pieniędzy na najpilniejsze potrzeby.

Rodzice słuchali go w milczeniu i kiwali ze zrozumieniem głowami. Już wiedział, że po raz kolejny nie odmówią mu pomocy.

Gdy po godzinie wizyty nakładał buty w przedpokoju, ojciec wcisnął mu zwitek banknotów do ręki. Matka pojawiła się chwilę później z zawiniętym na wynos jedzeniem.

– Synku, zajdź do tego sklepu, o którym ci mówiłam, może tam będzie praca – powiedziała z troską w głosie, podając mu siatkę.

Pocałował ją na pożegnanie, uściśnął ojca i wyszedł.

Trzy dni później odebrał telefon. Dzwonili w sprawie pracy. Po wizycie u rodziców wysłał swój życiorys do sklepu, o którym mówiła matka. Nie sądził, że cokolwiek z tego będzie, ale zrobił to dla spokoju własnego sumienia. Teraz umawiał się z kobietą o miłym, spokojnym głosie na rozmowę kwalifikacyjną. Miał się stawić jutro w samo południe. To jest nowina, którą należy uczcić – pomyślał, kończąc połączenie. Cały pozostały dzień spędził, pijąc zimne piwo i oglądając telewizję.

Czysta koszula i ciasno zawiązany krawat drażniły jego, przyzwyczajone do luźniejszego ubioru, ciało. Kroczył korytarzem wyłożonym szarą wykładziną w kierunku biura, które wskazała mu drobna blondynka przy wejściu. Przyszedł dwadzieścia minut wcześniej, żeby się rozejrzeć i nie spóźnić na tak ważne spotkanie. Przed biurem nie było nikogo, więc zapukał delikatnie do drzwi i wszedł. Młoda, wysoka brunetka w uniformie nieokreślonego koloru przywitała go z uśmiechem i wskazała krzesło.

– Proszę usiąść – powiedziała i przewróciła na biurku kilka kartek. – Złożył pan do nas swoją ofertę. Dlaczego chciałby pan u nas pracować? – zaczęła standartowo, poprawiając jedną ręką swoje srebrne okulary.

Krzysztof zaczął odpowiadać i poczuł, jak czysta koszula przykleja się do jego ciała. Znał te pytania. Słyszał je wielokrotnie na podobnych rozmowach, ale nigdy nie czuł się dobrze, odpowiadając na nie.

– Co pan wniesie do naszej firmy? – zahuczało mu kolejne pytanie.

Jego umysł zaczął pracować na zwiększonych obrotach. Przypominał sobie kilka artykułów o rozmowach kwalifikacyjnych, które przeczytał w internecie. Powoli odpowiadał na pytania, starając się nie przesadzać z superlatywami na swój temat. Kobieta nadal uśmiechała się i sprawiała wrażenie osoby zadowolonej z osiągniętych rezultatów.

– A jakie ma pan cele na przyszłość? – zapytała, pochylając głowę do przodu, w jego stronę.

Zamilkł na chwilę. Nie spodziewał się tak osobistego pytania na rozmowie o pracę w sklepie. Odwrócił wzrok od jej twarzy i spojrzał na obraz wiszący na ścianie.

– Chciałbym założyć rodzinę i godnie żyć – odpowiedział w końcu.

Po chwili grzecznie mu podziękowała.

– Proszę poczekać kilka minut na zewnątrz, poproszę pana – powiedziała.

Wyszedł na korytarz z ulgą. Koszula i spodnie przykleiły się do jego ciała, a czoło zdobyły spływające kropelki potu. Wytał się jednorazową chusteczką i usiadł na krześle. Czuł, że poszło mu dobrze. Odpowiedział zadowolająco na wszystkie pytania i pomyślał, że powinien dostać tę pracę. Oczywiście, jeśli dopisze mu jeszcze odrobina szczęścia i spodoba się wymagającej brunetce.

Wpatrywał się w kanty swoich wyjściowych, materiałowych spodni, gdy zza uchylonych drzwi ukazała się sylwetka przepytującej go niedawno kobiety.

– Zapraszam pana ponownie – powiedziała.

Usiadł wygodnie na krześle, poprawił krawat i spokojnie czekał na decyzję.

– Po analizie pana danych i rozmowie chętnie przyjmę pana do naszej firmy – oznajmiła spokojnie, patrząc mu prosto w oczy.

Na twarzy Krzysztofa pojawił się uśmiech. Ile czasu musiał czekać na takie zdanie. Myślał, że już nigdy nie nadejdzie taka chwila.

Kobieta jednak nagle spoważniała, przechodząc do sedna rozmowy.

– Mogę zaproponować panu pensję w wysokości dziewięciuset złotych brutto, plus premia – oznajmiła stanowczo.

– Dziewięćset złotych? – wyrwało mu się głośno z zaskoczenia.

– Tak – potwierdziła. – Przyjmuję pan takie warunki?

Przez chwilę nie odpowiadał. Siedział ośpupiały i zdeorientowany.

– Tak, przyjmuję – wymamrotał w końcu.

Wychodził z budynku ze spuszczoną głową. Najchętniej narzuciłby na głowę kaptur, żeby odizolować się od otaczającego go świata, ale miał na sobie eleganckie ciuchy. Nie chciał patrzeć na nikogo, nie chciał widzieć tych szyderczych uśmiechów na twarzach mijających go przechodniów. Jego marzenia o pracy spełniły się, ale kwota miesięcznej pensji zupełnie zważyła z nóg. To było zaledwie podwójne wynagrodzenie bezrobotnego. Jak myśleć o założeniu rodziny z taką kwotą w kieszeni?!

Wyjął z paczki papierosa i zapalił. Na niebie pojawiła się mała, czarna chmura i powoli zaczął kropić deszcz. Po kilku minutach marszu znalazł się przed witryną klubu hazardowego. Wiedział, że często przychodził tam Rafał. Postanowił wejść do środka.

Atmosfera klubu była przesiąknięta zapachem tytoniu i alkoholu. Przy automatycznej ruletce siedzieli dwóch starszych mężczyzn i zniszczona kobieta. Wszyscy palili papierosy i sączyli piwo z puszek. Wśród stojących przy ścianie jednoręki bandyta stał skupiony Rafał. Jedną ręką trzymał puszkę, a drugą z impetem wciskał przyciski pokera. Podeszedł do niego i przywitał się.

– Cześć! Jak leci?

Rafał przestał na moment wciskać przyciski i zmierzył wzrokiem odświętnie ubranego Krzysztofa.

– Może być – rzucił bez uśmiechu.

– Myślałem, że jesteś na Ukrainie – ciągnął dalej Krzysztof.

– Coś ty. Nic z tego nie wyszło – usłyszał w odpowiedzi. – Wywieźli nas na miesiąc do pobliskiej wiochy i zapłacili pięć stów. – Masz pożyczyć piątkę?

– Nie mam, ale mogę poczęstować cię papierosem.

– Tak, zapalmy. Co innego nam pozostało... – stwierdził Rafał, odrywając się od gry.

Cadillac King – Polish abroad?

„Witaj Ameryko, oto jestem!” – chciałam zawołać, ale stałam na lotnisku w Los Angeles o trzeciej po południu (u nas siódma rano, czyli prawie północ) jak pijana – nagłym przypiływem gorąca, przesunięciem czasu i wymiarami: szerokością, odległością, wysokością, na które kompletnie nie byłam przygotowana.

Jednym z naszych pierwszych celów podróży po Stanach był Cadillac King. Yeah! Sklep gdzieś tam w LA, gdzie Mark mógł kupić świeżo wyprodukowane części do swojego Cadillac Eldorado Seville, rocznik 1958. Ponieważ kupił go rok wcześniej, pomyślał, że dobrze byłoby tym razem zakupić trochę części zamiennych, bo nigdy nic nie wiadomo, a w Niemczech kosztują one mnóstwo pieniędzy – tak jakby Cadillac nic nie kosztował...

Pewnego przedpołudnia wyruszyliśmy do odległego zaledwie o 100 kilometrów sklepu – wciąż w LA – Cadillac King, którego właściciel władał bardzo dobrze językiem niemieckim, ponieważ, jak mówił, wiele lat temu wyemigrował z Austrii do Ameryki. Mark wiedział o tym, poznał go bowiem rok wcześniej podczas swojej teraz-kupię-sobie-cadillaca-podróż.

Perspektywa spędzenia trzech godzin na ławce w sklepie Kinga, podczas gdy mój najdroższy szpera w katalogach, nie była nęcąca, ale czegoś się nie robi dla najdroższego. I tak przesiadziałam spokojnie pierwsze czterdzieści minut w kąciку, przeglądając stare gazety bez specjalnego wgłębiania się w ich treść, gdy w pewnym momencie do sklepu wszedł dziwnie swojsko wyglądający młody mężczyzna

„Hallo Amerika, here I am! Hier bin ich!“, wollte ich gerade ausrufen, aber auf dem Flugplatz von L.A. um drei Uhr nachmittags bei uns gerade 7.00 Uhr also quasi Mitternacht!) gelandet, stand ich wie beschwipst da: durch die plötzliche Hitze, durch die Zeitverschiebung und durch die Dimensionen: Breiten, Weiten, Höhen, auf die ich überhaupt nicht vorbereitet war.

Eines unserer ersten Ziele in den Staaten war Cadillac King. Yeah! Ein Laden irgendwo in L.A., wo Mark frisch hergestellte Teile für seinen Cadillac Eldorado Seville, Baujahr 1958, kaufen konnte. Da er diesen ein Jahr zuvor gekauft hatte, dachte er jetzt, nun könnte er noch ein paar Teile dazukaufen – man wisse ja nie... und in Deutschland kosten sie direkt ein kleines Vermögen – als ob der Caddy es nicht gekostet hätte...

An einem Vormittag fuhren wir zu diesem gefühlte 100 km entfernten Cadillac King, dessen Besitzer sehr gut Deutsch sprechen konnte, da er eigentlich vor einigen Jahren aus Österreich nach Amerika ausgewandert war. Das wusste Mark bereits, da er vor einem Jahr diesen King auf seiner Ich-kaufe-mir-einen-Cadillac-Amerika-Reise kennengelernt hatte.

Die Perspektive, die nächsten drei Stunden auf einer Bank im Laden zu verbringen, während mein Freund Kataloge durchwühlte, war nicht besonders einladend, aber was Frau nicht alles macht für ihren Liebsten. So saß ich die ersten vierzig Minuten ganz ruhig in der Ecke und stöberte in alten Zeitungen, ohne den Inhalten wirklich Aufmerksamkeit zu

i spojrzawszy na mnie przelotnie, podszedł do właściciela Kinga. Znali się, to było jasne. Mimo iż z ich rozmowy nie usłyszałam ani słowa, mój instynkt kazał mi do nich podejść. I proszę bardzo, panowie postępowali się językiem polskim, nowoczesnym polskim, a nie polskim emigrantów drugiego lub trzeciego pokolenia.

„Aha, to ja siedzę całkiem sama i nudzę się, podczas gdy mój przyjaciel studiuje wasze katalogi, i nikt nie wpadł na pomysł zapytania mnie, jak się czuję. Nikt mnie nawet nie zagadnął – ładne obyczaje! Zapomnieliście już wszystko, czego w Polsce uczono, co?” – zagadnęłam ich od razu po polsku. Stali teraz z otwartymi ze zdziwienia ustami, a mój przyjaciel – poirytowany nastąpił ciszą, zerknął na mnie, potem na tych dwóch – i po raz kolejny stwierdziliśmy oboje to samo: obojętnie, gdzie jesteście, on znajduje się zawsze w mniejszości – jest, że tak powiem, obcokrajowcem. Nagle roześmialiśmy się wszyscy – zaskoczenie było pełne. A potem od słowa do słowa właściciel Kinga opowiedział nam historię swojego życia – na zmianę po polsku i niemiecku.

Od opuszczenia Polski w kierunku Szwecji minęło dwadzieścia lat. Długo szukał swojego miejsca na ziemi i w życiu. I kobiety. Musiała to być koniecznie nie Polka, lecz jakaś egzotyczna kobieta. Wszystko jedno z jakiego kraju.

„W Szwecji było fajnie”, jego oczy nie zdradziły jednak, o czym właśnie myślał, ale cokolwiek to było, było zdecydowanie fajne. Tamtejsze kobiety nie podobały mu się jednak, dlatego wyruszył dalej, przez Niemcy do Austrii. Tutaj poznał swoją żonę i wkrótce potem się ożenił. Była miłą i piękną kobietą, ale mówiła po austriacku! Któż mógłby to znieść na dłużej! Oprócz oczywiście austrackich mężczyzn. Jej austriacki był rzeczywiście jedyną rzeczą, której nie lubił, wpadł więc na genialny pomysł: „Wywędrujmy do Ameryki!”. Spekulował przy tym oczywiście, iż będą tam musieli mówić wyłącznie po angielsku.

Opuścili więc z żoną stary kontynent, by poszukać szczęścia w Ameryce. Od tego momentu próbuje zapuścić tu korzenie. Ma tu wielu przyjaciół – ale dziwnym trafem wszyscy pochodzą z Polski lub Europy. „Amerykanie są tacy powierzchowni”, mówił. Są wprawdzie bardzo mili i zawsze chętni

schengen, bis ein irgendwie vertraut aussehender junger Mann den Laden betrat, mich kurz anschaute und auf den King-Besitzer zukam. Eindeutig, sie kannten sich. Obwohl ich kein Wort von ihrem Gespräch hören konnte, sagte mir mein Instinkt, dass ich mich ihnen anschließen könnte oder gar sollte. Und bitte schön, die Herren unterhielten sich in Polnisch, in modernem akzentfreiem Polnisch, und nicht das Polnische der zweiten oder dritten Emigrantengeneration.

„Aha, ich sitze also ganz alleine da und langweile mich, während mein Freund hier Ihre Kataloge studiert, und keiner fragt nach meinem Wohlbefinden. Ich werde nicht einmal angesprochen – schöne Sitten! Alles vergessen, was man in Polen gelernt hat, was?“, sprach ich die beiden auf Polnisch an. Jetzt standen die Männer mit offenem Mund da, mein Freund – irritiert durch die auf einmal eingetretene Stille – schaute mich und die beiden an ... und wir mussten beide wieder feststellen: Egal wo wir sind, ist er immer in der Minderheit – quasi Ausländer. Plötzlich lachten wir alle herzlich auf – die Überraschung war perfekt. Dann kam ein Wort zum anderen und der Ladenbesitzer erzählte uns seine Lebensgeschichte – abwechselnd in Polnisch und Deutsch:

Nachdem er seine polnische Heimat Richtung Schweden verlassen hatte, vergingen etwa zwanzig Jahre. Lange suchte er seinen Platz unter der Sonne und im Leben. Und eine Frau. Denn es dürfte keine Polin sein, sondern eine exotische Frau. Egal aus welchem Land.

„Es war schon schön in Schweden“, seine Augen verrieten nicht, woran er sich gerade erinnerte, aber es musste schön gewesen sein. Doch Frauen schienen ihm dort nicht zuzusagen. Seine Wege führten ihn also weiter, über Deutschland nach Österreich. Hier lernte er seine Ehefrau kennen und heiratete sie nach kurzer Zeit. Sie war eine nette und schöne Frau, aber sie sprach ja Österreichisch! Wer würde das aushalten?! Bis auf österreichische Männer selbstverständlich! Nun das Österreichische war wirklich das Einzige, was ihm an ihr nicht gefiel, und da er kam auf eine blendende Idee: „Lass uns nach Amerika ziehen!“ Dabei spekulierte er selbstverständlich darauf, dass sie dort nur Englisch sprechen würden.

do pogawędki. Pomagają też człowiekowi w przeprowadzce i w ogóle. Ale nic ponadto. W kręgi zasiedziały Amerykanów tak łatwo się nie dostanie. Chyba że wymyśli się coś na miarę komputera albo nakręci jakiś superfilm! Nasz Witek nie należał jednak do geniuszy tego pokroju, nie umiał też jak król Midas zamieniać w złoto rzeczy, których dotykał. Jego Cadillac King było najwyższym osiągnięciem, na które go było stać. Nie miało to jednak nic wspólnego ze sztuką, chyba że ze sztuką przeżycia. W międzyczasie spotykał się z przyjaciółmi i – wspominał wraz z nimi czasy, kiedy jeszcze żyli w Europie, w Polsce.

„Tam przyjaciół kilku mam od lat, dla nich zawsze śpiewam, dla nich gram...” Dźwięki jego gitary brzmiały tak smutno, jak jego głos. Ta piosenka, właściwie bardzo piękna, nie miała nic wspólnego z tęsknotą za krajem, lecz raczej za dawnymi dobrymi czasami, kiedy byliśmy młodzi i lekko, a nawet zawadiacko patrzyliśmy życiu w oczy.

Olek natomiast, szczupły chłopak z południowej Polski, uważał, że w Ameryce wszystko jest super. Nie miał jeszcze stałej pracy i pracował jako pomocnik – nie chciałam wiedzieć nawet, gdzie i czy legalnie. Właśnie próbował mnie namówić, żebym pozostała w Ameryce. To taki cudowny kraj!

„Możesz robić, co chcesz. A my tobie pomożemy!” Bardzo chciał mi pomóc, tak jak wielu, którzy zazwyczaj nie mogli pomóc. Ale od razu czuli się lepiej, gdy mogli pomóc przynajmniej zaoferować.

Olek żył w Ameryce od pięciu lat, a mimo to nie mówił jeszcze po angielsku. Po co? Tu wszędzie można dogadać się po polsku. Tylko w jakich sprawach, pytałam w duchu.

„Zobacz – tłumaczył mi – musisz nauczyć się tylko kilku zdań po angielsku do pracy, a w domu i tak mówisz po polsku. My się tu wszyscy znamy”. Tak właśnie myślałam. Boląca krótkowzroczność Olka obudziła we mnie pewien dyskomfort.

Olek euforycznie i spontanicznie, jak to on, zaprosił nas, mojego niemieckiego przyjaciela – no problems! – i mnie na imprezę do Witka. Witek uśmiechnął się trochę krzywo, ale z przekonaniem twierdził, że bardzo będzie się cieszył, jeśli przyjdziemy. A jego żona porozmawia sobie wreszcie po niemiecku.

Also verließen er und seine Frau den alten Kontinent, um in Amerika das Glück zu suchen. Seit dem versuchte er hier die Wurzeln zu schlagen. Er hatte viele Freunde – aber merkwürdigerweise kamen sie alle aus Polen beziehungsweise Europa. „Die Amis sind ja so oberflächlich”, sagte er. Sie wären zwar sehr freundlich und stets bereit, mit einem ein kurzes Schwätzchen zu halten. Sie würden auch einem beim Umzug helfen und so. Man käme aber nicht weiter. In die Kreise der Alteingesessenen käme man nicht so leicht. Es sei denn, man erfand etwas wie einen Computer oder machte einen Superfilm! Unser Witek war leider keines von diesen Genies, die wie König Midas alles ins Gold verwandeln konnten, was sie auch anpackten. Sein Cadillac King war zur Zeit das Höchste der Gefühle bzw. seiner unternehmerischen Leistung und sein Job hatte nichts mit Kunst zu tun – höchstens mit der Überlebenskunst. Zwischendurch traf er also seine Freunde und ... sie träumten gemeinsam von der Zeit, als sie noch in Europa, in Polen gelebt hatten.

„Tam przyjaciół kilku mam, od lat – dla nich zawsze śpiewam, dla nich gram...”, „Dort habe ich ein paar Freunde, für die sing' ich seit Jahren, für die spiel' ich...”. Seine Gitarre klang traurig wie seine Stimme. Das Lied war eigentlich ganz schön und hatte nichts mit dem Heimweh zu tun, höchstens mit der Trauer nach den guten alten Zeiten, als man noch jung war und dem Leben unbeschwerlich, gar frech ins Gesicht schaute.

Olek dagegen, ein schmächtiger Mann aus Südpolen, fand in Amerika alles super. Er hatte noch keinen festen Job und arbeitete aushilfsweise – ich wollte gar nicht wissen, wo und ob legal. Aber gerade er versuchte mich zu überreden, in Amerika zu bleiben. Das wäre ja ein so tolles Land!

„Du kannst hier alles machen, was du willst. Und wir helfen dir dabei!”. Er war sehr hilfsbereit, wie viele, die meistens nicht helfen konnten. Man fühlte sich aber direkt besser, wenn man einem Hilfe anbieten konnte. Auch wenn es nur eine pure Deklaration des guten Willens war.

Olek lebte seit fünf Jahren in Amerika und sprach immer noch kein Englisch. Wozu auch?! Man käme hier auch mit Polnisch klar. „Nur wie weit?”, fragte ich mich.

Dom Witka „słysząc” było już z daleka. „Wybaczcie, Olek robi dzisiaj muzykę”, powiedział na przywitanie Witek i lekko popchnął nas do środka, żeby móc szybko zamknąć drzwi – sąsiedzi. Sąsiedzi byli wprawdzie dosyć tolerancyjni, ale to Ameryka, tutaj można też strzelać, jak się komuś coś nie podoba, albo czuje się zagrożony.

Barbecue roztaczało taki zapach, że moje soki trawienne głośno bulgotały, gotowe do pracy. Nie wiedziałam, czy powinnam uciąć sobie najpierw mały smalltalk z gospodynią domu, czy od razu rzucić się na grillowane. Ale w końcu nie byliśmy na całkiem Dzikim Zachodzie. Moje soki trawienne bulgotały więc dalej, a ja przysłuchiwałam się Irmie. Nic nie zauważyła, tak bardzo cieszyła się, że może porozmawiać z nami po niemiecku. Od trzech prawie lat nie słyszała ani jednego niemieckiego słowa. Jej rodzice umarli dawno temu, a ponieważ nie miała rodzeństwa, z Austrią nie wiązały jej żadne więzy rodzinne. Ale bardzo tęskniła za Europą.

Nagle przerwała – zbyt nagle, ale byłam jej za to wdzięczna, gdyż jednocześnie wskazała na uginający się pod ilością chrupiących steków i kiełbasek stół. Chętnie podjęłam się zdjęcia z niego trochę tego ciężaru i pochwyciłam duży talerz. Problemy z tożsamością straciły na ważności, tęsknota za krajem odplynęła na drugi plan – przynajmniej na tę chwilę.

Powoli przychodzili kolejni goście: dwadzieścia osób, wśród nich jedna „zabłąkana” amerykańska para. „Ausländer?!”. Coś w tym rodzaju – Mark i ja uśmiechnęliśmy się do siebie znacząco. Najwyraźniej dobrze się w tej grupie czuli. Byli pierwszymi i jedynymi amerykańskimi przyjaciółmi Witka. A on był szczęśliwy z ich posiadania, takich przyjaciół na pokaz. Byli bardzo mili i zdawali się lubić jego imprezy. Tak, krąg znajomych Witka bawił się chętnie i dobrze. Czasem nawet za dobrze. Szczególnie, gdy któryś z gości wypił ponad miarę. Tak jak dzisiaj ten gruby, starszy facet, Bogdan. Zaczął głośno śpiewać coś polsko-patriotycznego. A Olek próbował go uspokoić: „Przestań Bogdan, tu są ludzie z różnych krajów. Daj spokój z tym patriotycznym kramem”.

Ale było już za późno. Bogdan wypił już za dużo. Zaatakował Olka: „Wszyscy to naziści, rozumiesz. Naziści!” , grzmiał.

„Schau mal”, erklärte er mir. „Du brauchst nur ein paar Sätze auf Englisch für den Job, und zu Hause sprichst du sowieso Polnisch. Wir kennen uns hier alle.” Das dachte ich mir schon. Die schmerzende Kurzsichtigkeit Oleks weckte eine Art Unbehagen in mir.

Euphorisch und spontan, wie er war, lud Olek uns, meinen deutschen Freund – no problems! – und mich, zu einer Party bei Witek ein. Witek lächelte nur, stimmte aber zu und beteuerte, dass es ihm Freude bereiten würde, uns zu Gast zu haben. Und auch seine Frau würde endlich wieder deutsch sprechen können.

Witeks Haus „hörten” wir schon auf einige Entfernung. „Bitte entschuldigt, Olek macht heute Musik”, sagte er zur Begrüßung und gleichzeitig Entschuldigung und schubste uns leicht ins Haus, um die Haustür schnell wieder zu schließen. Wegen der Nachbar. Die waren zwar einigermaßen tolerant, aber es waren Amis, und hier durfte einer auch schießen, wenn ihm etwas nicht gefiel oder er sich bedroht fühlte.

Das Barbecue verbreitete einen Duft, der meine Magensäfte gluckern ließ. Ich wusste nicht, ob ich zuerst mit der Gastgeberin ein Begrüßungs-Smalltalk abhalten oder mich direkt über das Gegrillte hermachen sollte. Doch wir waren hier nicht im ganz Wilden Westen. Ich ließ meinen Magen weiter gurgeln und hörte Irma zu. Sie merkte davon gar nichts, so sehr freute sie sich, dass sie mit uns deutsch sprechen konnte. Seit fast drei Jahren hatte sie kein deutsches Wort mehr gehört. Ihre Eltern waren schon lange tot und da sie keine Geschwister hatte, gab es nichts, was sie mit Österreich familiär verbinden würde. Doch sie vermisste Europa sehr.

Sie brach abrupt ab – zu plötzlich für meinen Geschmack, aber ich war ihr dafür dankbar, denn sie zeigte dabei mit einladender Geste auf den Tisch, auf dem ein Berg fertiger, knuspriger Steaks und Würstchen zu kippen drohte. Ich leistete gerne Abhilfe und griff nach einem großen Teller. Die Identitätsprobleme verloren an Wichtigkeit, der Heimweh geriet in den Hintergrund – zumindest in diesem Moment.

Nach und nach kamen auch andere Gäste: zwanzig Personen, darunter ein *verirrtes* ameri-

Sytuacja wymykała się spod kontroli. Było mi żal Witka, kiedy próbował uspokoić Bogdana i wytłumaczyć mu, że Mark jest porządnym Niemcem i z wojną nie miał nic wspólnego. Przepraszał nas i widziałam, że coraz trudniej mu było tłumaczyć się z występów swoich przyjaciół, ale także im samym je wybaczać. Bał się, że uniemożliwiali mu zostanie prawdziwym Amerykaninem. Tutaj chciał w końcu odnaleźć swoje miejsce. A takie historie odrzucały go w drodze z powrotem do tego punktu, kiedy robił pierwsze kroki w Ameryce.

Bogdan żył od ponad trzydziestu lat w Ameryce, wciąż rzewnie wspominał Polskę, lecz nie chciał do niej wracać. Mówił, że chce Polskę zachować we wspomnieniach taką, jaką ją widział po raz ostatni – zanim uciekł, krótko przed ogłoszeniem stanu wojennego w 1981 roku.

„Polska... kraj mojego dzieciństwa, moja ojczyzna”, popłakiwał bez związku. Niespodziewanie wybuchnął, że wszyscy są temu winni, również komunizmowi w Polsce. „To zdrada!”, zaharczał jeszcze – i nagle zapadł w sen, od czasu do czasu pomrukując.

Wszystko to zdawało się nie robić na Betty i Harrym żadnego wrażenia – w końcu znali Bogdana. I wybacжали mu jego frustracje i ataki na cały świat. Chciałabym też mieć tyle tolerancji dla ludzi, którzy zachowywali się tak jak Bogdan. Dla mnie to wszystko było nieprzyjemne – impreza z lekcją historii dla obcokrajowców.

Okolo północy Mark i ja opuściliśmy imprezę, on uśmiechał się do siebie w milczeniu, a mnie wcale nie było do śmiechu: „My nie jesteśmy wszyscy tacy jak ci tutaj!”. Czy może właśnie tak myślał? Czuł się lepszy, bo był na tej imprezie jedynym obcokrajowcem? Bardzo nie chciałam, żeby tak myślał.

Jeszcze długo podczas tej podróży po Ameryce myślałam o Witku. Miałam wrażenie, że jego korzenie skurczyły się, pozbawione pożywnej gleby, na której osiadłby na dłuższy czas. Wszędzie przebywał krótko i nigdzie nie udało mu się poczuć się tak jak w domu. Nowoczesny obywatel mimo woli? Zrobiło mi się smutno na myśl o nim i innych, którzy wcale nie chcieli i mimo wszystko wciąż poszukiwali swojego miejsca na świecie i może nigdy go nie zna-

kanisches Ehepaar. „Ausländer?!“, Mark und ich grinsten uns wieder an. Ein bisschen schon. Offensichtlich fühlten sie sich in dieser Gruppe sehr wohl. Sie waren die ersten und einzigen amerikanischen Freunde von Witek, und er war sehr glücklich, dass er welche hatte. Vorzeige-Freunde sozusagen. Sie waren wirklich nett und schienen seine Partys zu mögen. Ja, Witeks Freundeskreis feierte gerne und gut. Manchmal sogar zu gut. Vor allem, wenn einer über den Durst trank. Wie heute wieder, der dicke, alte Kerl, Bogdan. Er fing an, laut zu singen, irgendwas Polnisch-Patriotisches. Olek versuchte ihn zu beruhigen:

„Komm Bogdan, hier sind Leute aus verschiedenen Ländern. Lass jetzt den patriotischen Kram.“

Aber es war zu spät. Bogdan war bereits betrunken. Er pöbelte Olek heftig an: „Alles Nazis, verstehste! Naaazis!“ gröhlte er.

Die Situation geriet außer Kontrolle. Witek tat uns leid, wie er versuchte Bogdan zu beruhigen und ihm zu erklären, dass Mark ein guter Deutscher ist und mit dem Krieg nichts zu tun hatte. Er entschuldigte sich bei uns, und ich merkte, dass es ihm zunehmend schwer fiel, sich für Exzesse seiner Freunde zu entschuldigen, ihnen diese aber auch selbst zu verzeihen. Er hatte Angst, dass sie ihn daran hinderten, als echter Amerikaner akzeptiert zu werden.

Hier wollte er endlich angekommen sein – in seinem Leben. Und solche Vorfälle warfen ihn zurück in die Zeit, als er die ersten Schritte im amerikanischen Gesellschaftsleben gemacht hatte.

Bogdan lebte seit fast dreißig Jahren in den Staaten, trauerte immer noch Polen nach, wollte aber nicht mehr zurück. Er sagte, er wolle Polen in der Erinnerung so behalten, wie er es zum letzten Mal gesehen hatte – bevor er aus Polen geflohen war, kurz vor dem Kriegszustand 1981.

„Polen. Das Land meiner Kindheit, meine Heimat“, winselte er zusammenhanglos. Dann schlug plötzlich seine Stimmung um, und er brüllte alle an, sie wären schuld an allem, auch am Kommunismus in Polen. „Verrat!“, röchelte er noch – und sank plötzlich in einen unruhigen Schlaf.

Betty und Harry schien das Ganze nicht zu beeindrucken – sie kannten ja Bogdan. Und sie verziehen

leżeli i nie znajdują. Olek i Bogdan zdawali się to raczej instynktownie czuć niż rozumieć, i może dlatego stali się imprezowymi błaznami lub pijakami, aby na rauszu móc zapomnieć o własnych słabościach.

Podczas mojej podróży po Ameryce zobaczyłam tylu różnych ludzi, przeżyłam tyle i wciąż zadawałam sobie pytanie, jak należy podejść do życia w tym kraju, by nie tylko w nim przeżyć, ale i naprawdę poczuć się tu jak w domu. I może właśnie Witek był odpowiedzią na to pytanie. Chociaż on pewnie wyśmiałby mnie, gdyby to usłyszał, że dla mnie właśnie on był na najlepszej drodze do tego celu.



ihm, wenn er seinen Down hatte und frustriert die Welt auseinander nehmen wollte. So viel Toleranz würde ich auch gerne für jemand aufbringen, der sich so benahm wie Bogdan. Mir war das alles hier peinlich – die Party mit Geschichteseinlagen für Ausländer.

Mark und ich verließen die Party gegen Mitternacht, er lächelte in sich hinein und schwieg, und mir war nicht gar so fröhlich zumute: „Wir sind nicht alle so wie die hier!“ Dachte er vielleicht doch so? Fühlte er sich besser, weil er auf dieser Party Ausländer war? Ich wollte nicht, dass er so dachte.

Witek beschäftigte mich doch noch einige Zeit auf der Reise durch Amerika. Ich hatte den Eindruck, dass seine Wurzeln verkrüppelten, ohne feste Nahrung des Bodens, auf dem er sich für eine längere Zeit niederlassen hatte. Überall war er nur kurz und schaffte es nicht, sich heimisch zu fühlen. Moderner Vagabund wider Willen? Es machte mich traurig – um ihn und um andere, die es eigentlich gar nicht wollten, und trotzdem auf der Suche nach ihrem festen Platz nirgendwo richtig angekommen sind und vielleicht nie ankommen werden. Olek und Bogdan scheinen das eher instinktiv zu spüren als zu begreifen, und vielleicht das machte sie entweder zu leichtsinnigen Partyclowns oder zu Trinkern, um im Rausch eigene Unzulänglichkeiten zu verdrängen.

Ich hatte so viel vom Land und Menschen in Amerika auf dieser Reise gesehen und fragte mich nun, wie man es angehen sollte, um hier nicht nur zu überleben, sondern sich auch wirklich heimisch zu fühlen. Und vielleicht war eben Witek die Antwort darauf. Auch wenn er mich dafür mit Sicherheit ausgelacht hätte – für mich war gerade er auf dem besten Weg dorthin.

Übersetzung von Authorin



Robert Rudiak

Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy na Ziemi Lubuskiej w latach 1961–1981 (część I)

Jeszcze w trakcie prowadzenia działań wojennych w okresie II wojny światowej, w wyzwolonym spod okupacji niemieckiej Lublinie, reaktywowano w 1944 r. Związek Zawodowy Literatów Polskich. Organizację przekształcono w 1949 r. w Związek Literatów Polskich, poddając ścisłej indoktrynacji światopoglądowej PZPR i kontroli cenzury, upoli-

tyczniając zarazem jego działania twórcze. W celu przyciągnięcia do swoich struktur młodych pisarzy, w wielu oddziałach ZLP już od 1950 r. tworzone Kluby Młodych. W 1952 r. przy Zarządzie Głównym ZLP w Warszawie powstała ponadto korespondencyjna Poradnia Literacka dla młodych. Oba twory nie spełniły jednak swojego zadania, nie sprawdziły

się zwłaszcza w małych miasteczkach i na wsiach, w środowiskach robotniczych i wiejskich, mimo gwałtownego awansu społecznego osób wywodzących się z tych grup społecznych. Zarzucano też tym instytucjom zbiurokratyzowanie, tworzenie układów towarzyskich, koligacje i nepotyzm.

O działalności Poradni i Kół Młodych pisał Bronisław Gołębiowski, jeden ze współzałożycieli KKMP:

Przed kilku laty istniała bowiem centralna poradnia literacka przy ZLP. Była to jednak instytucja dość zbiurokratyzowana, a poza tym szerzej nie znana. Dawała ona jednak młodym adeptom pióra możliwość oceny ich prób niezależnie od miejsca zamieszkania. Po zlikwidowaniu poradni i kół młodych w 1956 r. pozostawały debiutantom spoza wielkich miast tylko redakcje i oczekiwanie na szczęśliwy przypadek. Grupy młodych były dość hermetyczne i antyprowincjonalne. Charakterystyczne w ich działalności było to, że od razu przemawiały jako „pokolenie młodych pisarzy” i dążyły do zawodowości literackiego. Pospiesznie wydawano tomiki, starano się skandalizować środowisko, eksploatować czasopisma, ferować wyroki, organizować własne wieczory autorskie itp. W tym wyścigu na Parnas nie zawsze talent miał największe szanse. Czasami tupet i osobiste znajomości znaczyły więcej. [...] Już w latach 1958-1959 nie mało było pojedynczych jednostek wśród młodych pisarzy, które bardzo krytycznie patrzyły na stan rozproszenia i „grupowatość” młodzieży literackiej w wielkich miastach. Rozpoczęła się tworzyć opozycja przeciw modzie i „cygańskim ciągotkom”, panującym wśród dużej części generacji debiutantów, która starowała w latach 1954-57. Odradzając się w postaci dwóch organizacji środowiskowych o jednakowych programach – ZMS i ZMW – ruch młodzieżowy pomagał wyjść z impasu¹.

Kluby Młodych przy oddziałach ZLP zlikwidowano w 1955 r., a rok później także warszawską Poradnię Literacką przy ZG ZLP. Stąd już pod koniec 1958 roku zaczęto szukać nowych rozwiązań, które zachęciłyby do aktywizacji literackiej młode osoby ze wsi i małych miasteczek. Roli poszukiwania literackich talentów na prowincji podjęli się młodzi działacze Związku Młodzieży Wiejskiej, wystosowując na łamach prasy ogólnopolskiej, głównie w „Nowej Wsi” i „Zarzewiu” – organach prasowych ZMW, apele o poparcie inicjatywy stworzenia własnego klubu i jego programu działań. Autorem pomysłu zawiązania Klubu, który działałby na bazie możliwości organizacyjnych ZMW, był Włodzimierz Łowicki². Dla swojej inicjatywy szybko zjednał ponad pięćdziesięciu entuzjastów pisarstwa, w tym młodych i zdolnych wówczas pisarzy z prowincji, głównie wywodzących się ze środowisk wiejskich – Stanisława Piętaka, Wilhelma Macha i Jana Śpiewaka, którzy stali się pierwszymi opiekunami Klubu. Poparcie dla idei Klubu i pomoc młodym deklarowali też inni artyści pióra, m.in. Władysław Broniewski, Ernest Bryll, Tadeusz Nowak i Julian Przyboś.

Pierwsze spotkania założycielskie Korespondencyjnego Klubu Młodych³ odbyły się 22 i 23 sierpnia 1959 r. w Warszawie. Wzięli w nich udział adepci pióra z całego kraju, co miało przyczynić się do szybkiego tworzenia oddziałów terenowych i rozrostu organizacji. Potwierdzili w nich udział Pięta i Mach, nieformalnie obrani za patronów ruchu. Określono też główne zadania działalności Klubu – udzielanie porad osobistych dla próbujących pisarstwa, organizowanie społecznego życia kulturalnego na wsi, spotkań i wieczorków literackich, zakładanie zespołów artystycznych przy kołach ZMW⁴. Jednak cele i charakter działań Klubu sformułowano dopiero w *Regulaminie wewnętrznym* przyjętym na zjeździe KKM w Łodzi w 1961 r. Do zadań Klubu należało: „pomaganie młodym piszącym w rozwi-

1 B. Gołębiowski, *Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy (1959-1969)*, [w:] *Almanach literacki Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy przy Związku Młodzieży Wiejskiej*, wstęp B. Gołębiowski i R. Sulima, Warszawa 1970, s. 14-15.

2 *Ibidem*, s. 15.

3 Pierwotna nazwa organizacji. W 1967 r. KKM przemianowano na Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy.

4 B. Gołębiowski, *Słowo wstępne*, [w:] R. Marciniak, W. Wągiel, *Informator bibliograficzny KKMP (1959-1974)*, Warszawa 1974, s. 3.

janiu ich zdolności, osobowości, wiedzy o literaturze i życiu; budzenie wśród młodych piszących zaangażowanego stosunku do współczesnych problemów narodu budującego socjalizm, tak aby znalazły one wyraz w twórczości; wyzwalanie inicjatywy kulturalnej środowisk zapóźnionych kulturalnie i wdrażanie młodych piszących do współdziałania w upowszechnianiu kultury, a zwłaszcza kultury współczesnej; nawiązanie przyjacielskiego kontaktu młodych piszących z całego kraju, a szczególnie ze wsi i małych miast; inspirowanie poczynań zmierzających do stworzenia ogólnopolskiego (zintegrowanego) ruchu młodoliterackiego, opartego na autentycznych potrzebach tworzenia nowych wartości kulturalnych⁵.

W stosunku do młodych piszących ze wsi i małych miast, szczególny nacisk kładziono na ich „własne artystyczne rozpoznanie rzeczywistości bieżącej”, czyli jak pisali twórcy programu Klubu:

...rozpoznanie dokonywane wciąż przez nowych ludzi, sięgających po pióro tylko wtedy, kiedy doświadczenia społecznej działalności skłaniają do tego nieodparcie... W dobie rewolucji naukowo-technicznej musimy mieć świadomość tego, że największym echem odbija się ona wsi, gdzie już teraz powoduje bardzo radykalne skutki. Głębsza penetracja tego środowiska za pomocą różnych form twórczości literackiej może znacznie ułatwić przebieg procesów. Sprzyjać będzie również rozbudzaniu twórczych i intelektualnych aspiracji oraz kształtować wyższą świadomość całej wiejskiej społeczności [...]. Zasięgiem takiego działania powinniśmy objąć wszystkie środowiska [...]. Zakrojona tak szeroko forma działania społeczno-kulturalnego nie może właściwie funkcjonować bez stałego periodyku, który stanowiłby nie tylko forum do dyskusji, ale na łamach którego dokonywałyby się jednocześnie społeczna weryfikacja założeń ideowo-programowych naszego ruchu⁶.

Realizacja podstawowych celów Klubu miała odbywać się m.in. przez wzajemną wymianę listów i utworów, rozpowszechnianie wśród działaczy KKM wewnętrznego biuletynu „Próby Literackie”, drukowanego na powielaczu, którego pierwszy numer ukazał się już w lutym 1960 roku⁷, dyskusje w jednodniówkach i na seminariach poświęconych problemom literackim etc.

Początki organizacyjne KKM nie były jednak lekkie, gdyż obok sympatii wielu uznanych twórców, spotykały się też z idiosynkrazją wielu środowisk twórczych. Ten okres tak wspomina działacz ruchu młodzieżowego, przytaczany wcześniej B. Gołębiowski:

Od samego początku rodzenia się idei KKMP i jego założeń organizacyjnych w 1959 roku współdziałałem w powstawaniu Klubu, mam więc w pamięci wszystkie koleje losu, jakie on przechodził. Nie były one łatwe. Obok serdecznych opiekunów Klubu, bez których nie mogłoby dojść do jego utrzymania się i okrzepnięcia [...], nie brakowało niechęci, a nawet wręcz wrogości wobec tej inicjatywy. Wielu ludzi z „literackiej giełdy” szczególnie niechętnie widziało związek klubu debiutantów z ideowo-wychowawczą organizacją młodzieżową – ZMW. Specyfika tej formy debiutanckiego klubu znalazła u wielu piszących, szczególnie ze środowisk prowincjonalnych, zrozumienie i poparcie. Zobaczyli oni w klubie możliwość przynajmniej częściowej i powolnej realizacji swych ambicji i nadziei, które w systemie grupowości młodych środowisk literackich nie mogły znaleźć ujścia⁸.

Pierwsze ośrodki terenowe KKMP zaczęły powstawać z początkiem 1960 r., najpierw w Rzeszowie i Opolu, a na przełomie lat 1960-61 w Łodzi, Gorzowie Wielkopolskim, Wrocławiu i Krakowie, następnie

5 *Idem, Korespondencyjny Klub...*, s. 16.

6 S. Miler, *Stare „Okolice”, „Okolice”* 1987, nr 12, s. 131.

7 Redaktorami pierwszego numeru jednodniówki „Próby Literackie” byli: Wojciech Borsuk, Maria Szyprowska i Zygmunt Wójcik. Do 1962 r. wyszło osiem numerów (jeden podwójny) pisma. Ostatni numer biuletynu ukazał się w 1966 r.

8 B. Gołębiowski, *Korespondencyjny Klub...*, s. 15-16.

zaś w Białymstoku i Bydgoszczy⁹. W latach 70. uaktywniały się kolejne w Katowicach, Koszalinie, Szczecinie, Kielcach, Olsztynie i Lublinie. W sumie wraz z ośrodkiem Mazowieckim KKMP w Warszawie działało aż szesnaście oddziałów, a niektóre z nich przy członie Klubu dodawały własne nazwy, np. „Wiry” w Poznaniu, czy „Wiadukt” w Łodzi. W działaniach ruchu KKMP uczestniczyły setki osób próbujących parać się sztuką literacką. Swoją przygodę z literaturą poprzez przynależność do KKMP rozpoczynali m.in. Marianna Bocian, Urszula Kozioł, Krzysztof Coriolan, Lothar Herbst, Mieczysław Orski, Salomea Kapuścińska, Janusz Styczeń i Stanisław Srokowski (ośrodek we Wrocławiu), Jan Zdzisław Brudnicki, Alicja Patey-Grabowska, Marian Pilot i Roch Sulima (ośrodek mazowiecki w Warszawie), Nikos Chadziniolau, Jerzy Grupiński, Stanisław Barańczak i Karol Parno-Gierliński (ośrodek „Wiry” w Poznaniu), Dorota Chróścielewska (ośrodek „Wiadukt” w Łodzi), Harry Duda, Jan Goczoł i Bogusław Żurkowski (ośrodek w Opolu), Sokrat Janowicz i Edward Redliński (ośrodek w Białymstoku), Ryszard Milczewski-Bruno (ośrodek w Bydgoszczy), Tadeusz Piekło (ośrodek w Rzeszowie) czy Adam Ziemianin i Jacek Kajtoch (ośrodek w Krakowie). Przewodniczącym Rady Krajowej KKMP był Edward Zeman z Kielc. Ponad sześćdziesięciu członków i sympatyków KKMP znalazło się później w strukturach Związku Literatów Polskich¹⁰. Oddziały ZLP w Rzeszowie i Koszalinie powstały właśnie w oparciu o stan kadrowy członków KKMP tamtejszych ośrodków¹¹.

Warto też wspomnieć o strukturze społecznej i zawodowej członków bądź sympatyków KKMP. Początkowo większość z nich wywodziła się ze środowisk wiejskich lub małomiasteczkowych, ale z czasem te proporcje zaczęły się radykalnie zmieniać, podobnie jak wykształcenie piszących. Powodem tych zmian były przenosiny wielu młodych osób ze wsi i małych

miast do średnich i dużych aglomeracji miejskich, a także zmiana profilu kształcenia. Większość kończyła średnie szkoły techniczne lub studia wyższe, przeistaczając się w inteligentów. Jeszcze na początku lat 60. na blisko 800 członków KKMP 75% z nich deklarowało, że mieszka na wsiach lub w małych miasteczkach. Badając socjologiczny portret ruchu KKMP, stwierdzono, że największą grupę w nim stanowili nauczyciele szkół podstawowych i średnich, dalekie robotnicy (w tym górnicy, tokarze, ślusarze, murarze, piekarze, malarze itd.), potem studenci i uczniowie, a także technicy, urzędnicy, pracownicy oświaty i rolnicy, a nawet pracownicy służby zdrowia, łączności i wymiaru sprawiedliwości. Z tej zbiorowości aż 77% uczestników KKMP stanowiła inteligencja¹². Pięć lat później powtórzono badania i okazało się, że w ruchu wzrósł udział kobiet (z 19% do 33%), podniosła się średnia wieku członków (z 24 do 26 lat), ubyło ludzi z wykształceniem podstawowym (o 4%) na rzecz średniego i wyższego (o 10%), o 2% ubyło też osób pracujących fizycznie, wielu także zmieniało miejsce zamieszkania – 12% wyemigrowało z miejscowości do tysiąca mieszkańców, a 14% osiedliło się z kolei w miastach liczących od 10 do 100 tysięcy. O socjologicznym konterfekcie członków KKMP B. Gołębiowski napisał:

Zauważmy za statystykami, że w 1960 roku już pół miliona potomków robotników i chłopów uzyskało matury i dyplomy wyższych uczelni (licząc od 1945 r.). Że w tymże okresie około 3 miliony chłopów i młodzieży wiejskiej przeniósł się do miast do różnych zawodów. Że w roku 1961 już 250 tys. mieszkańców wsi posiadało pełne i niepełne wykształcenie średnie lub wyższe. Że taki stan „przejściowy”, jak chłopci-robotnicy, zaznaczony w samej nazwie, liczył sobie około miliona głów. Że wreszcie istnieje też inny podobny mu

9 Ośrodek KKMP w Rzeszowie powstał na początku 1960 r., we Wrocławiu w 1961 r., w Białymstoku w październiku 1964 r., w Bydgoszczy we wrześniu 1965 r.

10 R. Marciniak, W. Wągiel, *Informator bibliograficzny KKMP (1959-1974)*, Warszawa 1974, s. 4 i 162.

11 B. Gołębiowski, *Korespondencyjny Klub...*, s. 19.

12 Badania ankietowe wśród członków KKMP prowadził socjolog dr Zdzisław Grzelak w roku 1961 i 1966. Zob. Z. Grzelak, *Pisarze amatorzy o sobie*, „Teatr Ludowy” 1964, nr 7; *idem*, *Członkowie KKMP o sobie*, „Z badań nad młodzieżą wiejską” 1968, z. VII, s. 116.

stan przejściowy chłopów-urzędników. Że cała rzeczywistość wskutek ogromnej dynamiki zmian społeczno-kulturalnych nosiła w pewnym sensie znamię stanu przejściowego. Czy to nie z tych rewirów ruszyło pisarskie „pospolite ruszenie”¹³.

Mimo że KKMP miał w członie nazwy „młodych”, skupiał on także osoby urodzone w latach 20. i 30. ubiegłego wieku, które w chwili zawiązywania ruchu na początku lat 60. liczyły przeszło 30 i 40 lat lub więcej. Stowarzyszenie zatem było otwarte dla wszystkich chcących spróbować kariery literackiej, także dla osób spoza wsi czy środowisk małomiasteczkowych. Celem nadrzędnym uczestników Klubu było wypromowanie własnej osoby jako literata, a najlepiej podejmującego tematykę wiejską.

Ruch KKMP promował twórczość swoich członków głównie poprzez wydania biuletynu „Próby Literackie” oraz druk almanachów literackich lub arkuszy poetyckich. Pierwszy almanach *Zeszyt literacki* ukazał się już w 1959 r., a wydany został przez ZG ZMW i KKM w Warszawie. Zamieszczono w nim wiersze szesnastu poetów, m.in. Leszka Bakuły, Nikosa Chadzinikolau, Bogdana Loebła i Andrzeja Zaniewskiego¹⁴. Następny *Almanach poezji rzeszowskiej* wydał w 1961 r. ośrodek w Rzeszowie przy pomocy ZW ZMW i PWRN, w którym znalazły się utwory dwudziestu poetów, m.in. S. Piętaka, J. Przybosia, Jana Boleśława Ożoga, Bogusława Koguta i Tadeusza Piekły¹⁵. Kolejne almanachy poezji i prozy ukazały się w 1966 r. *Kształty myśli* w Białymstoku; w 1967 r. *Almanach poezji* w Krakowie, *Próg* w Opolu, *Wiadukt* w Łodzi; w 1968 r. *Motywy* w Bydgoszczy, dwa *Zeszyty Poetyckie* i jeden *Zeszyt Literacki* w Warszawie; w 1969 r. *Brzezińskie spotkania* i *Czas*, w którym żyjemy w Łodzi, *Gwoźnica* w Rzeszowie, *Wyjść z cienia drzewa* w Szczecinie, *Reda* w Gdańsku; w 1970 r. *Almanach literacki* w Katowicach, *Wpierw czerwień zakwita*

w Łodzi, *Almanach literacki KKMP* w Warszawie oraz w 1971 r. *Malowanie w przestrzeni* w Poznaniu i ponownie *Zeszyt Literacki* w Warszawie. Ponadto od 1966 r. jako dodatek do „Głosu Młodzieży Wiejskiej”¹⁶ dołączano *Arkusze poetyckie* poszczególnych ośrodków KKMP. Jako pierwsze arkusze wydały ośrodki w Rzeszowie i w Krakowie, w 1967 r. w Opolu i we Wrocławiu, w 1969 r. Ośrodek mazowiecki i opolski, rok później katowicki, koszaliński, lubuski i szczeciński, w 1971 r. białostocki, bydgoski i kielecki, a w 1972 r. lubelski, łódzki oraz poznański.

Obok aktywności wydawniczej ruchu KKMP istotna była również działalność popularyzatorska i metodyczna, skierowana do adeptów pióra. Pierwsze ogólnopolskie spotkanie seminaryjne zorganizowano w Opolu, jesienią 1960 r., a poświęcono je problemom współczesnej poezji i prozy w nawiązaniu do aktualnych przemian społeczno-cywilizacyjnych w kraju i na świecie. Kolejne spotkanie miało miejsce w Łodzi, tym razem zimą następnego roku, a „wypełniła je dyskusja nad małymi formami i nad reportażem literackim”¹⁷. Następne seminaria odbyły się m.in. w Rzeszowie w 1962 r. i Zielonej Górze w 1963 r. Ponadto organizowano wiele regionalnych seminariów przygotowywanych przez poszczególne ośrodki, np. liczny osobowo oddział bydgoski w latach 1965-69 przeprowadził aż dziesięć dwudniowych seminariów literacko-plastycznych w Świeciu, Grudziądzu, Toruniu i Chełmnie. Działalność i linię programową ruchu KKMP poparł w latach 60. Związek Literatów Polskich, który podjął współpracę z Klubem „udzielając pomocy głównie w postaci dawania ocen prób literackich uczestników Klubu oraz w postaci wyjazdów członków ZLP na seminaria i wieczory autorskie dla młodzieży organizowane przez Klub i ZG ZMW”¹⁸.

Jednym z najaktywniejszych i zarazem jednym z najwcześniejszych powstałych ośrodków KKM był ośro-

13 B. Gołębiowski, *Korespondencyjny Klub...*, s. 6.

14 Zob. *Zeszyt literacki*, Warszawa 1959.

15 Zob. *Almanach poezji rzeszowskiej*, wstęp A. Międzyrzecki, Rzeszów 1961.

16 W 1970 r. pismo przemianowano na „Głos Młodzieży”.

17 B. Gołębiowski, *Korespondencyjny Klub...*, s. 17.

18 *Ibidem*, s. 17-18.

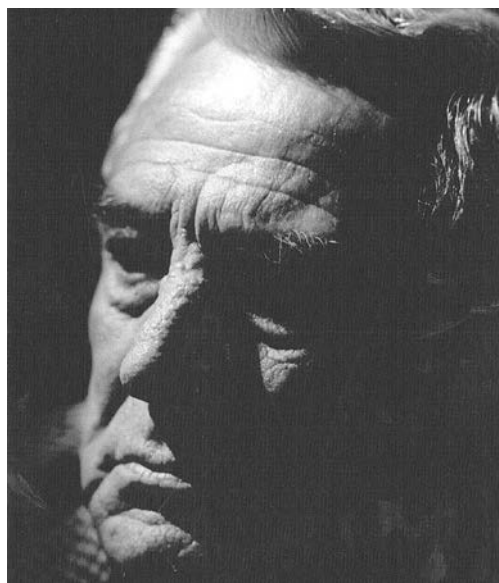
dek na Ziemi Lubuskiej, który zaczął funkcjonować w Gorzowie Wielkopolskim 25 czerwca 1961 r. przy Zarządzie Powiatowym Związku Młodzieży Wiejskiej¹⁹. Inicjatorami jego założenia byli Zygmunt Trziszka i Andrzej K. Waśkiewicz. Oddział gorzowski skupiał około dziesięciu osób z całego województwa zielonogórskiego oraz miast województw ościennych (np. z Choszczna). Jego członkami zostali m.in.: Henryk Ankiewicz, Czesław M. Czyż, Władysław Łazuka, Zenon Łukaszewicz, Tadeusz Mazur, Zbigniew Ryndak, Jadwiga Wawrzyniak i Wincenty Zdzitowiecki, a Florian Nowicki został sympatykiem ruchu. Przewodniczącym ośrodka KKM został Trziszka, który równocześnie pełnił obowiązki członka Rady Krajowej KKM i Sekretariatu KKM. W momencie powstania oddziału KKM jego założyciele i członkowie liczyli sobie od 15 do 35 lat. Najstarszy w tym gronie był Nowicki, który liczył wówczas 35 lat, Ankiewicz 28 lat, Czyż i Łukaszewicz po 27 lat, Ryndak 26 lat, Trziszka 25 lat, Waśkiewicz i Zdzitowiecki już tylko

20 lat, a najmłodszy, czyli Łazuka z Choszczna tylko 15 wiosen! Najbardziej aktywni w gorzowskim Klubie byli Łukaszewicz i Zdzitowiecki – jak pisze Krystyna Kamińska – inni zaś z racji zamieszkania poza Gorzowem należeli do KKM tylko formalnie, lecz nie uczestniczyli w pracach Klubu²⁰.

W listopadzie i grudniu 1961 roku ośrodek KKM wydał dwa numery jednodniówki literackiej „Nadwarcie”, stanowiącą dodatek specjalny do gazety zakładowej „Stilon Gorzowski”. Ukazały się w niej wiersze Waśkiewicza, Zdzitowieckiego, Czyża, Nowickiego, Wawrzyniak i Mazura, opowiadania *Jesień* i *Smak pióra* Trziszki, opowiadanie *Kosmata łapa* i reportaż *Listy miłosne mordercy* Ankiewicza, opowiadanie *Rozmowa przy kartach* Łukaszewicza, a oba numery wzbogaciły fotografie Waldemara Kućki²¹. Co ciekawe, publikacje zamieszczone w „Nadwarcu” dla kilku były literackimi debiutami prasowymi, jak w przypadku Trziszki, Łukaszewicza, Wawrzyniak, Mazura czy Ankiewicza.



Zbigniew Ryndak



Henryk Ankiewicz

19 K. Kamińska, *Leksykon literatury gorzowskiej*, Gorzów Wlkp. 2003, s. 165.

20 *Ibidem*, s. 162.

21 *Ibidem*.

W 1962 r. gorzowski KKM przeniesiono do Zielonej Góry, gdzie działał przy Zarządzie Wojewódzkim Związku Młodzieży Wiejskiej. Przejęcie działań Klubu przez Zarząd Wojewódzki ZMW oraz większe możliwości aktywizacji zawodowej, a zwłaszcza aktywności literackiej i prasowej sprawiły, że do Zielonej Góry przenieśli się najbardziej aktywni działacze ruchu – Trziszka, który przeniósł się spod gorzowskiej Kłodawy, Ryndak z Sulęcina, Waśkiewicz ze Szprotawy oraz Ankiewicz z Łukaszewicz z Gorzowa.

Przenosiny organizacji z powiatu do stolicy województwa wzmogły i usprawniły działalność Klubu – jak pisał o historii ruchu KKMP B. Gołębiowski²². W tym okresie KKM nawiązał kontakty z oddziałem ZLP, który w Zielonej Górze powstał niespełna rok wcześniej. Ponadto Klub zorganizował pierwsze zbiorowe wystąpienia swoich członków na łamach „Nadodrza”, a następnie teksty członków pojawiały się w prasie regionalnej, młodzieżowej i wiejskiej.

W 1963 r. klub wspólnie z Radą Krajową KKM zorganizował pierwsze seminarium ogólnopol-

skie poświęcone młodej prozie. Jak pisze Gołębiowski:

Rozmowy na seminarium w Zielonej Górze już w 1963 r. ogniskowały wokół problematyki ideowo-artystycznej młodej prozy oraz prozy o tematyce wiejskiej. Okazją do konfrontacji tej problematyki z przemianami społeczno-kulturalnymi zachodzącymi w życiu różnych środowisk 20-lecia były nie tylko osobiste doświadczenia uczestników dyskusji, lecz również pamiątniki młodzieży wiejskiej, które w liczbie 5500 prac napłynęły w 1962 roku na konkurs ZMW, PAN, LSW. Pamiątniki właśnie były tym bogatym dokumentem zbiorowym przemian, który mógł zainteresować pisarza, mógł stać się źródłem twórczej inspiracji literackiej, sprokować refleksje na temat obszarów naszego życia narodowego nie objętych jeszcze przez literaturę bądź potraktowanych przez nią zbyt marginesowo²³.



Czesław Sobkowiak



Zygmunt Trziszka

²² B. Gołębiowski, *Korespondencyjny Klub...*, s. 21-22.

²³ *Ibidem*, s. 18.



Jerzy Werstler



Wojciech Czerniawski

Zielonogórski ośrodek KKM ożywił niewątpliwie życie literackie i naukowe w stolicy regionu. Wielokrotnie jeszcze organizował seminaria, spotkania członków Klubu z pisarzami i krytykami, podejmował współpracę z redakcjami prasowymi, np. „Gazetą Zielonogorską”, „Nadodrzem” oraz oddziałami gazet „Zielony Sztandar” i „Gazety Chłopskiej”. Wielu członków pracowało w redakcjach tych gazet, np. Waśkiewicz w latach 1963-66 prowadził zielonogórski oddział „Gazety Chłopskiej”, z którą to związał się później także Jerzy Chłodnicki. Od 1967 r. Waśkiewicz był publicystą „Nadodrza” z którym to tygodnikiem współpracowali również Łukaszewicz i Sobkowiak. Z „Gazetą Zielonogorską” z kolei związani byli Ryndak i także Łukaszewicz. Trziszka natomiast był korespondentem „Zielonego Sztandaru” i „Tygodnika Kulturalnego”.

Klub zielonogórski, stanowiąc ogniwo ogólnopolskiego Korespondencyjnego Klubu Młodych, przemianowany został w 1967 r. na Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy. Po przenosinach do Zielonej Góry szefem ośrodka KKMP nadal był Zygmunt Trziszka, który pełnił funkcję przewodniczącego do 1967 r.,

sekretarzem zaś był Andrzej K. Waśkiewicz. W kolejnych latach przewodniczącymi ośrodka byli Mirosława Kužel, Anna Tokarska i do 1976 r. Jerzy Chłodnicki.

W różnym okresie działalności ośrodka KKMP przy ZW ZMW w Zielonej Górze do 1976 r. skupiał on przeszło 20 osób. Członkami Klubu byli m.in.: Jerzy Chłodnicki, Wojciech Edward Czerniawski, Czesław M. Czyż, Mirosława Kužel, Władysław Łazuka, Gustaw Adam Łapszyński, Zenon Łukaszewicz, Stanisław Neumert, Tamara Roszak-Janowska, Zbigniew Ryndak, Alfred Siatecki, Czesław Sobkowiak, Bronisław Suzanowicz, Anna Tokarska i Jerzy Janusz Werstler. W latach 70. migracje młodych ludzi czy to w trakcie nauki, studiów, czy też w okresie pracy zawodowej powodowały, że przejściowo z zielonogórskim ośrodkiem związani też byli: Bogdan Loeb (przeszedł z Rzeszowa), Bogusław Kierc i Salomea Kapuścińska (oboje przeszli w Wrocławia). Jedni z ośrodka odchodzili, jak Trziszka czy Kužel, przenosząc się do Warszawy lub Tamara Roszak-Janowska do Łodzi, drudzy przychodzili z innych regionów, jak Chłodnicki z ośrodka krakowskiego, Łazuka i Siatecki z ośrodka szczecińskiego lub Łapszyński z ośrodka opolskiego. Jeszcze inni po prostu zmieniali

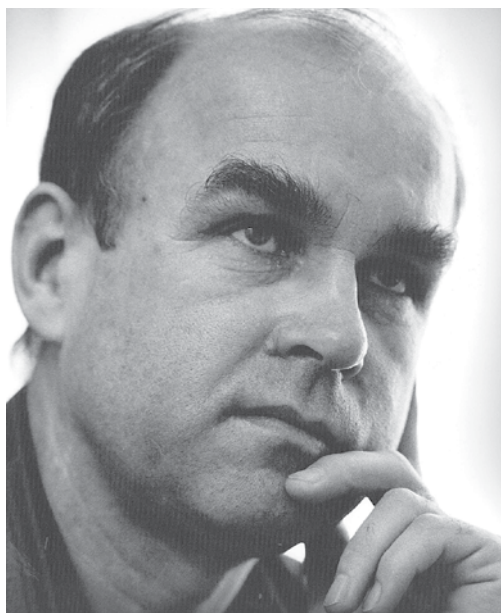
tylko przynależność do ośrodka jak Neumert, rolnik ze wsi Gulcz w województwie poznańskim, od początku związany z ośrodkiem w Zielonej Górze, przeniósł się następnie do poznańskiego KKMP.

Niemniej zielonogórski Klub skupiał w latach 1962-75 ludzi niemal z całego województwa: najwięcej osób pochodziło z Zielonej Góry, a pozostali z Gorzowa, Żar, Świebodzina, Szprotawy lub podzielonogórskich wsi. Duża była też rozpiętość wieku członków. Średnia oscylowała w granicach 25 lat. Kuźel i Czerniawski, wstępując do KKM w 1962 r. liczyli po 17 lat, Werstler 23 lata, Tokarska 26 lat, a najstarszym w tej grupie był Suzanowicz, który miał 38 lat. W latach późniejszych członkami KKM były przeważnie osoby urodzone w latach 40. lub na początku lat 50., a więc ówczesni dwudziestokilkulatkowie. Tak było w przypadku Łapszyńskiego, który miał 21 lat, Chłodnickiego i Kapuścińskiej – po 22 lata czy Neumerta – 23 lata.

Członkowie lubuskich ogniw KKMP publikowali na łamach prasy ludowej, m.in. w „Zarzewiu”, „Gazecie Chłopskiej”, „Nowej Wsi” i w ogólnopolskich oraz regionalnych almanachach członków KKMP. Zanim kilku

młodych literatów trafiło na Ziemię Lubuską, mieli już na koncie publikacje zbiorowe. W *Zeszytach literackim* wydanym w 1959 r. znalazły się wiersze B. Loebła, w almanachach szczecińskich *Wyjść z cienia drzewa* z 1969 r. i *Szczecińskim arkuszu poetyckim* w „Głosie Młodzieży” w 1970 r. teksty publikowali W. Łazuka i A. Siatecki, w *Krakowskim arkuszu poetyckim* z 1966 r. i *Almanachu poezji* wydanym w Krakowie w 1967 r. wiersze ogłaszał J. Chłodnicki, w arkuszu „Ugrupowania 66” *Mówię to ja* z 1972 r. znalazły się liryki B. Kierca, natomiast w almanachu młodej poezji opolskiej *Próg* z 1967 r. wiersze zamieścił G.A. Łapszyński. Inni z kolei dostąpili druku m.in. w łódzkim almanachu młodych *Wiadukt* z 1967 r., gdzie ogłoszono utwory T. Roszak-Janowskiej i Z. Trziszki, w innym łódzkim wydawnictwie KKMP *Czas, w którym żyjemy* z 1969 r. opublikowano z kolei nagrodzone wiersze laureatów konkursów „Czółenko Tkackie”, w którym znalazły się utwory liryczne A.K. Waśkiewicza, a w kolejnym łódzkim tomie *Wpierw czerwień zakwita* z 1970 r. zamieszczono teksty S. Neumerta.

W 1970 r. redakcja „Głosu Młodzieży” wydała także arkusz poetów KKMP w Zielonej Górze. Lu-



Alfred Siatecki



Władysław Łazuka



Andrzej K. Waśkiewicz



Anna Tokarska

buski arkusz poetycki dołączony do piątego numeru miesięcznika ze wstępem Jacka Kajtocha, zawierał wiersze sześciu bardzo młodych poetów zielonogórskiego ośrodka – Czesława M. Czyży, Mirosława Kuźel, Gustawa A. Łapszyńskiego, Czesława Sobkowiaka, Anny Tokarskiej i Jerzego Werstlera. Wydanie arkusza było pierwszym tak szerokim wystąpieniem zbiorowym członków zielonogórskiego ośrodka. Do tego czasu kilku jego członków zdążyło już na tyle skutecznie zaistnieć na rynku wydawniczym, że zostali przyjęci w poczet członków zielonogórskiego oddziału ZLP. Tak stało się w przypadku Trziszki i Waśkiewicza w 1968 r. i Ryndaka, przyjętego w 1970 r.

Jacek Kajtoch – autor *Notatnika recenzenta* zamieszczanego w „Głosie Młodzieży” i zarazem członek kolegium redakcyjnego tegoż miesięcznika w latach 1964-1972 oraz redaktor większości arkuszy poetyckich KKMP i współautor licznych antologii, tak ocenił ten okres:

Opublikowaliśmy 17 arkuszy poetyckich, W taki sposób zaprezentowaliśmy 15 ośrodków regionalnych KKMP (opolski dwukrotnie) oraz „Ugrupowanie 66”, znaną w swoim czasie wrocławską grupę literacką. W sumie zadebiutowało w „Arkuszach Poetyckich” ponad stu poetów. Cieszy mnie również fakt, że kilkudziesięciu autorów, których wiersze publikowaliśmy w dodatku literackim „Głosu Młodzieży”, wydało później książki, kilkunastu stało się znanymi pisarzami. [...] Klub ma zasługi w historii literatury powojennej. Przede wszystkim pomógł w awansie młodzieży literackiej z tzw. prowincji, w rozwoju dokonań kulturotwórczych młodzieży robotniczej i chłopskiej. Bez KKMP nie byłoby nurtu chłopskiego w naszej literaturze. Jest jeszcze druga zasługa, polityczna. To KKMPowcy stworzyli na ziemiach zachodnich i północnych środowisko literackie. Przykładem może być Zieleną Górą, Koszalin, nawet Olsztyn i Wrocław²⁴.

24 J. Komarewicz, *Jacek Kajtoch: Ruch KKMP ma zasługi w historii literatury powojennej*, „Okolice” 1988, nr 3, s. 127-128.

Poetycka topografia Krzysztofa Fedorowicza



Zainteresowania poetyckie i rozwój twórczości literackiej autora tomiku *Podróż na zachód, podróż na wschód* sytuują Krzysztofa Fedorowicza w kręgu osobowości niewątpliwie godnych uwagi krytycznoliterackiej. Jako jedyny twórca regionu jest on trzykrotnym laureatem Lubuskiego Wawrzynu Literackiego (1995, 2001, 2012). W bieżącym roku uhonorowany został za powieść zatytułowaną *Grünberg* i warto zaznaczyć, że nagrodzona książka znalazła się w kręgu 41 pozycji nominowanych do Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus 2013. Czesław Markiewicz we wstępie do antologii *Rozpoznani spośród. Almanach młodej poezji zielonogórskiej 1976-1996* tak określił poezję tego autora: „Nie znajdziemy w wierszach Fedorowicza moralistyki, nie dowiemy się za wiele o miłości, ojczyźnie, społeczeństwie. W tej poezji człowiek jest planetą, wielką wewnętrzną topografią, mapą, na której »mrok pojawia się w nurcie ulic, w delcie rzeki«¹. Te słowa, pisane w roku 1997, są nadal aktualne, poetę absorbuje bowiem Ziemia Lubuska i najbliższe okolice, a jednym z symptomów jego topograficznej

pasji jest często występujący w tej twórczości motyw śladu i związany z nim motyw mapy.

Jaka jest *mapa* Fedorowicza? Na pewno inna niż u Andrzeja Stasiuka, który pisze: „[...] bo gdy spojrzę na mapę, to wygląda ona jak sito, jak nocne rozgwieżdżone niebo, jak stary tiszert i przetarte prześcierało”². W poezji Fedorowicza motyw mapy występuje zazwyczaj w kontekście tropienia śladów przeszłości i służy do nieustannych konfrontacji topograficznych minionej i aktualnej rzeczywistości. Mapa poety jest zawsze nieaktualna i stara, taka, na której granice się zdezaktualizowały, a miasta i wsie mają inne nazwy. Ta mapa jest świadectwem minionej historii – jak rzecz wyciągnięta z rodzinnego kufra albo wysłużonej walizki na strychu. Jedno łączy Stasiuka i Fedorowicza – obaj swoich map używają. Pierwszy przemierza kraje zapomnianej Europy, by wspomnieć Albanie, Rumunię, Mołdawię, Słowację. Drugi penetruje najbliższą okolicę, uwikłaną w podwójną tożsamość, sięgą do niemieckich korzeni regionu. Pierwszy odwiedza tysiące miejsc, drugi odwiedza te same miejsca po

1 C. Markiewicz, *Zmiana warty albo zmiana na warcie*, [w:] *Rozpoznani spośród. Almanach młodej poezji zielonogórskiej 1976-1996*, Zielona Góra – Wrocław 1997, s. 7.

2 A. Stasiuk, *Jadąc do Babadag*, Wołowiec 2008, s. 225.

tyśiąc razy, aby niczego nie przeoczyć w krajobrazie i w pamięci ludzkiej.

Topos mapy w poezji Fedorowicza występuje w szczególnej konfiguracji – odwołuje się do starego układu kartograficznego miejsca, które przybrało nową tożsamość. Poeta zakłada, że istnieje nierozdzielna zależność pomiędzy miejscem, przestrzenią i tożsamością. Poszukując własnej tożsamości, odkrywa tożsamość miejsca – tak dzieje się chociażby w wierszu o znamienym tytule *Miejsce*:

Czy wierzyć starym mapom, czy własnym zmysłom,
czy miejsce ma cechy „transcendentne”?
Czy zagnieźdza się pośród lasu, na polanie albo
w szczerym polu
a potem usycha jak trawa lub drzewo, wysycha
jak kałuża?³

Fedorowicz sytuuje się jako poszukiwacz *genus loci*, włączonego w odwieczne pytanie o właściwą drogę ludzkiego poznania. W jego wierszach można dostrzec pewną korelację pomiędzy miejscem mitycznym a rzeczywistym, tym zapisanym na starej mapie i tym, które rejestrujemy poprzez własne zmysły. Poeta szuka tego, co niedostrzegalne na pierwszy rzut oka, tego co niewidzialne i niezauważalne, symbolicznego drugiego dna. Tadeusz Różewicz napisał o Leopoldzie Staffie, iż ten posiada tzw. oko poety, które polega na specyficznym postrzeganiu świata, takie oko różni się od zwyczajnego patrzenia, gdyż postrzega świat poetycko. Sam Różewicz pisze, że nie jest mu dane „tak” spoglądać: „Tego rodzaju oko jest darem rzadkim [...] Widzę to jasno, ponieważ sam mam oko zwykłego zjadacza chleba”⁴. Według mnie Fedorowicz posiada tę zdolność, „oko poety” bacznie obserwuje świat i widzi rzeczy, jak pisał Różewicz, „zakryte”. W swoich utworach „opowiada” o świecie, a dokładniej o niemieckiej historii Ziemi Lubuskiej i miejscach, które ist-

nieją poza granicami ludzkiego poznania, zarazem zaś świadcza o efemerycznym i przejściowym charakterze ich trwania. „Czy [miejsce] zagnieźdza się pośród lasu, na polanie albo w szczerym polu” – pyta.

Retoryka poety poddana zostaje składni zdania pytającego. Czy dać wiarę starej mapie, czy ta przestrzeń to „Miejsce, którego nie było, bo nie ma”, czy może jest to „miejsce, którego nie ma choć było?”. Fedorowicz, urodzony już na Ziemiach Odzyskanych, przedstawiciel wciąż jeszcze młodego pokolenia poetów lubuskich, adaptuje najbliższą przestrzeń przez pryzmat czasu minionego, aby odnaleźć chociaż fragment własnej tożsamości. To zainteresowanie ewokuje odkrywanie niemieckości, bo przecież „istniejemy na kartach palimpsestu”⁵, a tożsamościowe poszukiwanie rozpoczyna się od natknięcia się na obcy ślad. Jak w wierszu *Buchmühle*, który opowiada o tytułowym Bukowym Młynie, położonym w miejscu, gdzie: „Bukowy Potok/ wypłukuje słowa/ rozspjuje liście/ wygładza szkło/ słowa/ brzuchem do góry/ albo twarzą do ziemi”⁶. Potok występuje w roli świadka historii, jego nurt żłobi materię – „wygładza szkło” – i metaforyzuje słowa, które niczym martwe ryby pływają „brzuchem do góry”. Ale słowa są skierowane również ku ziemi, a przyczynkiem do powstania wiersza może być odnaleziony w potoku kawałek szkła:

W potoku
niedaleko Jeziora Trzeńskiego
Ciecz
Tschetsch See
na kawałku szkła
zielony napis
Buchmühle

W *Imionach własnych* Fedorowicz przedstawia m.in. historię powstania funkcjonującej do dziś nazwy wsi Trzeńńówek⁷, z jego opisu

3 K. Fedorowicz, *Miejsce*, [w:] *Podróż na zachód, podróż na wschód*, Świebodzin 2010, s. 22.

4 T. Różewicz, *Oko poety*, [w:] *Proza*, Wrocław 1973, s. 451.

5 P. Czapliński, *Wzniosłe tęsknoty. Nostalgie w prozie lat dziewięćdziesiątych*, Kraków 2001, s. 127.

6 K. Fedorowicz, *Buchmühle*, [w:] *Podróż na zachód...*, s. 17.

7 W przywołanym eseju Fedorowicz dokonuje analizy przemianowania nazwy Gross Kirschbaum na Trzeńńów Wielki i ukazuje niezgodne z rdzeniem słowotwórczym utworzenie tej nazwy. K. Fedorowicz, *Imiona własne*, Kraków 2000, s. 64.

wyłania się fragment białego fajansowego tale-
rzyka, który zdaje się być poetyckim odpowied-
nikiem miejsca⁸. Kawałek szkła z mieniącym się
napięciem stał się nie tylko pretekstem, ale także
inspiracją do powstania utworu i niezaprzeczalnie
materialnym dowodem istnienia niemieckiej prze-
szłości. Z dzisiejszej perspektywy *Buchmühle* to
jedno z wielu obco brzmiących słów, które staje się
fizycznym odpowiednikiem nośnika pamięci, śla-
dem nierozzerwalnie związanym z doświadczeniem
człowieka. Poszukiwanie śladów może odbywać się
poprzez:

odwiedzanie miejsc
tak bardzo zamkniętych w sobie
i chodzenie drogami
po których ślad już tylko na mapie
powtarzanie nieistniejących imion⁹

Przestrzeń Ziem Zachodnich określana jest jako
miejsce w pewien sposób ukryte, zamknięte dla oglą-
dających, którzy napotykać ślady przeszłości i szuka-
ją nieistniejących szlaków na starej mapie. Jednakże
zdarza się, że to, co znajduje się poza ogólnym obie-
giem – to, co niewiadome, metafizyczne, historyczne
– interesuje człowieka najbardziej, gdyż odnosi się do
tego, czego już nie ma i staje się głucho powtarzanym
echem dziś już „nieistniejących imion” i nazw – niemal
mantrycznie wymienia je poeta:

Buchmühle
Tschetsch See
Buchwald
Buchspring
Gross Kirschbaum
Neu Lagow
Gross Bechensee
Klein Bechensee
Behen Fluss [...]

na starej mapie
i na stronie [www¹⁰](http://www.w)

Przywoływany motyw mapy nie tylko dla Fedo-
rowicza, ale i dla innych lubuskich autorów stanowi
swoiście określony i, co trzeba podkreślić, dobrze zna-
ny, gdyż regionalny, obraz – w postaci otaczającego
krajobrazu jezior, rzek, lasów, kościołów itd.

Można tu także wyszczególnić dwoiste pojmo-
wanie kategorii śladu. Pierwsze znajduje wyraz w wy-
imaginowanej wyobraźni poetyckiej, która nakazuje
szukać tego, czego już nie ma – przykładem może
być wędrówka drogą istniejącą tylko na starej mapie
czy „odwiedzanie miejsc”, które staje się werbalnym
i empirycznym odzwierciedleniem fenomenu istnie-
nia miejsc. Drugie występuje w postaci rzeczywistego
ekwiwalentu, jakim jest m.in. opisywany wcześniej
kawałek naczyńia albo stara fotografia. Dla Fedorowi-
cza zdjęcie nie stanowi kategorii rzeczy zapomnianych
i zbędnych, ale jest przyczynkiem do głębszej refleksji,
pobudza do aktywności. Poeta ofiarowuje nowe życie
niemieckiej pocztówce z lat dwudziestych, czyniąc ją
główną osią konstrukcyjną wiersza i w pewien sposób
przejmuje pamięć uwiecznionej na niej rodziny. Poprzez
to medium dokonuje się ponowne ustanowienie świa-
ta, wskrzeszenie historii, a opis niemieckiej rodziny
staje się „uwznioślającą perspektywą wieczności”¹¹.
Chwila utrwalona na zdjęciu nie podlega repetycji,
ale poprzez jej utrwalenie doświadczamy w pewien
sposób nieskończoności, w tym wypadku wrażenie
to potęguje zagęszczenie ósemek w dacie: dwudzie-
sty ósmy rok, dwudziesty ósmy dzień i ósmy miesiąc.
Zbudowane w ten sposób obrazowanie numeryczne
podkreśla bezkres czasu i utwierdza w przekonaniu,
że dopóki fotografia materialnie istnieje, człowiek na
niej utrwalony egzystuje również.

Niemiecka, familijna widokówka utrwalona nad
jeziorem Buszno w powiecie sulcińskim, o której
mówi wiersz *Der Gross Bechensee*, istnieje poza

⁸ *Ibidem*, s. 64.

⁹ K. Fedorowicz, *Uwielbienie*, [w:] *Podróż na zachód...*, s. 23.

¹⁰ *Ibidem*, s. 17-18. Odniesienie zawarte w wierszu do stron WWW prowadzi do strony internetowej Christiana Heilmanna, o którym Fedorowicz również wspomina w utworze. Niemiec prowadzi rejestr wiosek z okręgu Sternbergu, każdy opis zaopatrzony jest w datę, liczbę mieszkańców, liczbę palenisk *ect*. Strona ta jest swego rodzaju miejscem pamięci o niemieckiej przeszłości Ziem Zachodnich.

¹¹ M. Zaleski, *Formy pamięci*, Gdańsk 2004, s. 39.

czasem¹². Czas zatrzymuje się tu w sposób metafizyczny, tak jak w przypadku zdjęcia Andre Kertesa z 1921 roku, które opisywał Stasiuk w *Jadąc do Babadag*: „[...] jakby właśnie wtedy zatrzymał się czas i teraźniejszość okazywała się przez to pomyłką [...]”. Przestrzeń tego zdjęcia hipnotyzuje mnie i wszystkie moje podróże służą tylko temu, by w końcu odnaleźć ukryte przejście do jej wnętrza¹³.

U Fedorowicza wykorzystanie takiego nośnika pamięci, jaką jest kartka pocztowa, było próbą odkrycia i ocalenia owego „ukrytego przejścia”. Opisane przez poetę zdarzenie nie jest statyczne. Obraz świata, w którym jezioro zostało przyrównane do morza, podkreśla rangę minionych wydarzeń, ponieważ: „nie-wykluczone, że to zdjęcie miało być świadectwem jak jakiś Armstrong/ stawia stopę u jej brzegu¹⁴”. Niemieckość pocztówki potwierdza pieczętka „Neumark”, adres: „Adolf Lemke/ Berlin 58/ Kopenhagener Str. 24”, i znaczek z podobizną Beethovena.

Wyobraźnia topograficzna poety otwarta jest również na ślady znajdujące się w sąsiedztwie przyrody i tak w wierszu *Gross Kirschbaum* (polski Trześniówek, nieistniejąca dziś wieś) można odnaleźć opis ruin kościoła. Na jednym z ocalałych murów wyrtyto rok 1934:

fundamenty z głazów płaskich jak od zewnątrz
na potężnym jasnym jak piaskowiec
tryumfalnie wycięty jak na drzewie rok 1934
w Gross Kirschbaum nie ma daty
która byłaby późniejsza

Następnej daty nie może być, ponieważ nie ma już Gross Kirschbaum i nie ma jego mieszkańców, a po-

zostałości w postaci gruzów kościoła nie interesują dzisiejszych gospodarzy Trześniowa Wielkiego. Dla poety jest to miejsce postrzegane nie tylko poprzez pryzmat „oka poety”. Można tu mówić o uzewnętrznieniu formuły Lévi-Straussowskiego bricolage'u¹⁵, ponieważ występujące w dalszej części przedmioty również nie są nikomu potrzebne i przynależą do rzeczy odrzuconych. Dlatego artefakty współorganizują przestrzeń¹⁶ poprzez swoją różnorodność, jak w cytowanym wyżej wierszu:

w piwnicy rośnie potężny dąb
jest szabla dzika stalowy klucz potłuczony talerz
i kieliszek
bezpiecznik i wieczko od słoika
martwa matura jak na płótnie Holendra

Ten niejednolity zbiór odznacza się szczególnym znaczeniem, gdyż charakteryzuje krajobraz¹⁷ i poprzez zestawienie w jednym utworze konstruuje miejsce pamięci. Tylko z jakiej tożsamości jest ona zbudowana – polskiej czy niemieckiej, a może z obydwu?

W poezji Fedorowicza poszukiwania „niewidzialnego” prowadzą do konstruowania czegoś na kształt *genus loci* opisywanych miejsc. Poeta sięga do funkcjonujących w świadomości apokryfów literackich¹⁸, a jego wiersze wypełnione są artefaktami, których interpretacja prowadzi do czasu historycznego, zakotwiczonego w przedwojennej niemieckiej rzeczywistości. Co ważne, Fedorowicz nie mitologizuje przestrzeni i nie kreuje wyśnionej Arkadii, jego opisem rządzi dystans i przenikliwość i dzięki takiemu chłodnemu spojrzeniu powstają niezwykle projekty poetyckie.

12 *Ibidem*, s. 42.

13 A. Stasiuk, *Jadąc do Babadag*, Wołowiec 2008, s. 210.

14 K. Fedorowicz, *Der Gross Bechensee*, [w:] *Podróż na zachód...*, s. 16.

15 Artysta działający w myśl zasady bricolage'u kolekcjonuje przedmioty niechciane, wykluczone na zasadzie „to się zawsze może przydać”; artysta, sięgając po tego rodzaju rzeczy, dokonuje aktu ich nobilitacji. Zob. C. Lévi-Strauss, *Mysł nieoswojona*, Warszawa 1969, s. 31-32.

16 E. Domańska, *Historie niekonwencjonalne*, Poznań 2006, s. 108.

17 B. Latour, *Przedmioty także posiadają sprawczość*, [w:] *Teoria wiedzy o przeszłości na tle współczesnej humanistyki. Antologia*, red. E. Domańska, Poznań 2000, s. 539.

18 O apokryfie literackim pisał: J. Kurowicki, *Figury wyobraźni XX w. Wykłady o literaturze z perspektywy filozofii kultury*, Toruń 2000, s. 100-103.

Między wonią kwiatów a tonią dźwięków

Homo floricus w wierszach Doroty Grzesiak

Dorota Grzesiak to poetka młoda (rocznik 1987), jednak już dostrzeżona w środowisku literackim Zielonej Góry. Pochodzi z Bytomia Odrzańskiego. Studiuje filologię polską na Uniwersytecie Zielonogórskim, jest także słuchaczką Studium Literacko-Artystycznego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jak dotąd wydała dwa tomiki wierszy: *Dla* (2009) oraz *Kiedy grasz* (2012). Tym, co tematycznie spaja tę twórczość, jest motyw kwiatów. Warto się zastanowić, do jakich tradycji nawiązuje Grzesiak i co wyraża poprzez metafory florystyczne.

Poetka w jednym z wywiadów stwierdziła, że pisanie wierszy nie jest kwestią natchnienia, ale systematycznej pracy, doskonalenia warsztatu: „Poeta musi ćwiczyć jak sportowiec czy pianista, dlatego ja piszę codziennie. Nie czekam na natchnienie. Nawet jeśli mam napisać coś słabszego lub napisać tylko dwa wersy, to to już jest coś”¹. Autorka odcina się w ten sposób od romantycznego pojmowania poety jako jednostki wyróżnionej, pełniącej rolę medium między światem idealnym i realnym. Grzesiak powraca do tradycji w inny sposób, poprzez nawiązanie do jednej z ulubionych inspiracji tematycznych literatu-

ry Młodej Polski. Do opisu świata i jego złożoności wybiera kwiaty. W ten sposób podejmuje dialog z pisarzami epoki symbolu. Wśród poetów, którzy upodobili sobie tematykę florystyczną, można by wymienić: Marylę Wolską, Krystynę Saryusz-Zaleską, Ludwika Szczepańskiego, Bronisławę Ostrowską, Leopolda Staffa, Bolesława Leśmiana i wielu innych. Ireneusz Sikora wymienia cztery obszary, dla których moderniści chętnie posługiwali się figurą kwiatu: dusza (1); ciało (zwłaszcza kobiece), opis przedmiotu miłości (2); etapy życia człowieka (rozkwitanie, więdnienie, śmierć) (3); tło ewokujące melancholijny nastrój, łagodny pejzaż (4)². Nie wszystkie z tych kręgów tematycznych obecne są u Grzesiak. Poetka bowiem wytyczyła sobie nieco inne szlaki poszukiwań.

Róże, tulipany czy stokrotki są traktowane we współczesnej poezji jako poetyckie banały, swoiste wypełniacze. Pojawiają się prawie w każdym dziewczęcym wierszu. Są motywem na tyle uniwersalnym, że trudno, pisząc o nich, nie wpaść w pułapki poetyckiego kiczu. Jednak Grzesiak świadomie sięga po inspiracje florystyczne. W jej tomikach rozszaniach

1 Wywiad Anny Rybarczyk z Dorotą Grzesiak dla „Tygodnika KRAG” 18 marca 2010, dostęp: <http://www.tygodnikkrag.pl/cms/index.php/artykul/kultura/26-spotkania-autorskie/1139-nie-czekam-na-natchnienie>.

2 I. Sikora, *Wstęp*, [do:] *Róże, lilie, tuberozy. Młodopolskie wiersze o kwiatach*, wybór, układ i wstęp I. Sikora, Szczecin 1988, s. 5-16.

jest kilkanaście nazw roślin: maki, chabry (bławatki), maciejki, tulipany, magnolie, irysy (kosańce), stokrotki, konwalie, azalie, tuberozy oraz bzy (lilaki), lipy, czeremchy. Częstotliwość ich występowania świadczy o nieprzypadkowej obecności. Do jakich treści odsyłają i jakie znaczenia ewokują w tej poezji kwiaty?

Przede wszystkim uwidacznia się ich związek z muzyką. Wiersz pt. *Trzeci* ukazuje tę specyficzną relację:

Piano sprawia, że patrzymy
na świat jak przez płatki irysów.
[...]
Dotykasz rozszepczanych klawiszy,
przemieniasz przeszłość w maki³

Piano (wł. cicho), czyli jeden z podstawowych odcieni dynamicznych, jest subtelnym sposobem gry na instrumencie, który w wierszu Grzesiak powoduje zmianę perspektywy, niuansuje postrzeganie rzeczywistości. Patrzenie na świat przez płatki irysów może oznaczać – biorąc pod uwagę symbolikę tego kwiatu – postawę dumy i posłannictwa. Z drugiej strony – uniżenie i pokorę. Przeszłość zakodowana w muzyce jest przetworzona w czerwony, polny kwiat. Ta specyficzna translacja ukazana jest także w innym wierszu o takim samym tytule:

zagraj mi *fantazję*, jeszcze raz, i jeszcze,
zagłusz to, czego boję się najbardziej
w sobie.

zagraj moje rzęsy (grasz, że są
jak pręciki maków)⁴

Muzyka oswaja lęki oraz przeszłość. Nazywa to, co nieokreślone poprzez kwiaty. Tak jak słowa

są tworzone podczas komunikowania werbalnego, tak kwiaty stają się efektem muzycznej narracji: „Pod dotykiem twoich palców/ wszystko zamienia się w maki”⁵. W towarzystwie polnych maków rosną zazwyczaj bławatki, potocznie zwane chabrami. W poezji Grzesiak są to jedne z najważniejszych roślin. Ich obecność związana jest z samą sztuką tworzenia poezji. Utwór *Ars poetica II*, podejmuje dialog z Horacjańską tezą o nieśmiertelności słowa i wskazuje na cele poetyckich poszukiwań:

A może pisać do utraty tchu,
żeby na jednej, tej jedynej dłoni
wyrośli chabry⁶

Może prawdziwy poeta to ten, który, pisząc, staje się poezją według zasady: jesteś tym, o czym piszesz? Poetyckie zestawienie ręki i kwiatu pojawia się w tekście Zbigniewa Herberta *Napis*: „Patrzysz na moje ręce/ są słabe – mówisz – jak kwiaty”⁷. Ich słabość może oznaczać ponadprzeciętną wrażliwość, ale z drugiej strony niemożność zmieniania rzeczywistości. W wierszach lubuskiej poetki ukazane są ślady jedności człowieka z kwiatem. Symbioza kwiatów z dłońmi może być stanem utraconym:

pokazuję ci blizny po kwiatkach, ważkach
i żyletkach, a ty całujesz je i mówisz,
że są piękne.⁸

Blizna świadczy o istnieniu rany nie „od czegoś”, ale „po czymś”, stąd można wyciągnąć wniosek, że kwiat został z ciała usunięty, wyrwany. Niepokojące wydaje się zestawienie kwiatów, ważek i żyletek. Ewokują one skojarzenia z okaleczoną przeszłością. Motyw porośniętego kwiatami ciała pojawia się w wierszu *Livia (II)*:

3 D. Grzesiak, *Trzeci*, [w:] *eadem*, *Kiedy grasz*, Bytom Odrzański 2012, s. 11.

4 *Eadem*, *Trzeci*, [w:] *eadem*, *Dla*, Tuchów 2009, s. 16.

5 *Eadem*, *Sierpień i maki*, [w:] *eadem*, *Kiedy grasz*, s. 4.

6 *Eadem*, *Ars poetica II*, [w:] *eadem*, *Kiedy grasz*, s. 72.

7 Z. Herbert, *Napis*, [w:] *idem*, *Wiersze zebrane*, Kraków 2008, s. 17.

8 D. Grzesiak, *Nie wiedziałam, że trzeba trzymać rękę w wodzie*, [w:] *eadem*, *Dla*, s. 22.

Livia mówi: „Kiedy budzimy się albo zasypiamy,
trwa unoszenie się spiral, wysnuwanie
arabesk ze stóp i dłoni porośłych chabrami”⁹

Momentem przechodzenia z jawy do snu i na
odwrot towarzyszą tajemnicze spirale, które moż-
na wyobrazić sobie jako dźwięki muzyki (arabeska
można oznaczać ornament roślinny lub miniaturowy
utwór na fortepian). Unoszenie (poetka używa słowa
„wysnuwanie” na opisanie przejścia przez oniryczną
granicę) ich następuje z kwiatów, którymi porośnięte
są kończyny. Podobny obraz poetycki ukazuje wiersz
Przemiany. Kosaćce (w innym tekście zwane irysami)
są – mówi podmiot liryczny – „przedłużeniem/ moich
rąk”¹⁰. I nie tyle mowa tu o fizycznym wydłużeniu czę-
ści ciała, ile o temporalnym następstwie, na co może
wskazywać wcześniejsza prośba: „Nie licz grochów
na mojej sukience/ jest ich więcej, niż przeżyję lat”¹¹.
Rośliny mogą być zatem uznane za spadkobierców
życia oraz symbolizować przemijanie.

Teksty Grzesiak mają silne zabarwienie estetycz-
ne. W wierszu *W drewnianym domu* autorka nawią-
zuje do biblijnej przypowieści o pszenicy i kąkolu,
przekształca jej wymiar z moralnego na estetyczny.
W utworze nie ma mowy o zbożu – symbolu dobra.
Zamiast niego pojawia się piękno w postaci chabru,
wyrażające prostotę i ideę *kalokagathos*.

[...] i będziesz mógł
nauczyć mnie wszystkiego: patrzenia w oczy,
odróżniania chabrow od kąkoli stopą¹².

Wyraźnie widać u Grzesiak inspirację pierwszą
częścią utworu Bolesława Leśmiana *Łąka*:

Kto całował mak w zbożu – nie zazna niedoli!
Trawa z ziemi wyrwana pachnie, lecz nie boli...

Kocham stopy twoje bose,
Że deptały kruchą rosę,
Rozróżniając na oślep chabry od kąkoli¹³.

Bliski związek człowieka z naturą jest ukazany
u Leśmiana jako gwarancja szczęścia. Możliwość
odróżniania chwastu od kwiatu jest konsekwen-
cją koegzystencji. Autorka *Kiedy grasz* zdaje sobie
sprawę z zagubienia tej zdolności we współczesnym
świecie i pragnie powrotu do harmonijnego stanu.
Podobny obraz chabru i kąkolu pojawia się ponow-
nie w tekście *Mahoń*. W wierszu antytezą chwastu
nie jest życiodajna pszenica, ale estetyczny kwiat,
symbol piękna i jednocześnie dobra. Przywołany już
wcześniej fragment wiersza *Trzeci* z tomiku *Kiedy
grasz* przedstawia inną perspektywę. Kwiat jest tu
tylko rzeczą potencjalną w dłoni człowieka. Jego
wartość zależy od intencji osoby, która obdarowuje:

Tymi samymi rękoma rozdajesz

pęki tulipanów jak skupiska
węży¹⁴

Podobny motyw pojawia się w wierszu *Anno*.
Tym razem węże tracą swoją negatywną wartość,
zamieniając się w kwiaty symbolizujące stałość uczu-
i wyznaczenie miłości:

czasem budzę się w łóżku pełnym węży.
[...]
pod dotykiem twoich dłoni węże zmieniają się
w tulipany¹⁵

Świat poetycki Grzesiak dzieje się w przestrzeni
liminalnej, na granicy dwóch wymiarów: muzyki
i ciała. Sfery te łączy figura kwiatu. Idąc śladami

9 Eadem, *Livia (II)*, [w:] eadem, *Dla*, s. 47.

10 Eadem, *Przemiany*, [w:] eadem, *Kiedy grasz*, s. 13.

11 Ibidem, s. 13.

12 D. Grzesiak, *W drewnianym domu*, [w:] eadem, *Dla*, s. 23.

13 B. Leśmian, *Łąka (I)*, [w:] idem, *Poezje*, Poznań 2008, s. 125.

14 D. Grzesiak, *Trzeci*, [w:] eadem, *Kiedy grasz*, s. 11.

15 Eadem, *Anno*, [w:] eadem, *Dla*, s. 41.

Sikory, można spróbować dokonać klasyfikacji kręgów tematycznych, które zostają uruchomione przez stosowanie motywów florystycznych. Są to:

1. Kwiat i jego związki z muzyką – *Trzeci (Dla)*, *Trzeci (Kiedy grasz)*, *Sierpień i maki*.
2. Kwiat i jego związki z ciałem – *Livia (II)*, *Ars poetica II*, *Przemiany IV*, *Nie wiedziałam, że trzeba trzymać rękę w wodzie*.
3. Kwiat i jego związki z dobrem i złem – *Mahoń*, *Anno*, *Trzeci (Kiedy grasz)*, *W drewnianym domu*.

Grzesiak jest dopiero na początku swojej drogi twórczej. Jej dykcja nabiera powoli dojrzałości. Dwa tomiki, które wyszły spod jej pióra, zasługują na uwagę. Nie są banalne, choć upodobały sobie banalny motyw: kwiaty. Dzięki tym roślinom poezja Grzesiak nabiera wyjątkowej zmysłowości. Kwiaty nie ewokują tu czułościowego stereotypowo kobiecego stylu, ale wyrażają intensywność zamyślenia. Można uznać, że *homo floricus* tych wierszy jest figurą z pogranicza świata roślin i ludzi, jego językiem jest natomiast muzyka.



EKSLIBRIS W PRO LIBRIS

Agata Buchalik-Drzyzga przedstawia...

Rodzina Kowalczyków

Obraz, szkic, rysunkowa notatka ma udział w tworzeniu ekslibrisu. Jemioła to uniwersalne lekarstwo boginii Ateny, a jako pasożyt dębu jednoczy się z nim w jedną całość. Zżyłam się z rodziną Ewy i Bogdana Kowalczyków, cenię ich i postrzegam jako silną rodzinę. Amor sukcesywnie powiększa ją, kolumna przy domu dostojnie wzmacnia fundamenty. Trochę na poważnie, trochę na wesoło, jak w życiu codziennym.



Piotr Paleczny

Czesław Grabowski na przestrzeni ciekawych muzycznie lat w Zielonej Górze zapraszał indywidualności ze świata muzyki. Bardzo chciałam poznać Piotra Palecznego i tak się zdarzyło. Kolacja z mistrzem fortepianu i batuty zadowoliła moje ego. Rozmowa o Śląsku, Katowicach, miejscach wspólnie nam znanych (moje śląskie korzenie) pozwoliły nam się zaznajomić, a nawet polubić. Długo wspominałam to spotkanie, bardzo udane. Po raz kolejny koncert Palecznego w Zielonej Górze wyzwolił we mnie impuls... ekslibris okazjonalny na kolejne spotkanie (p.f. 1993). A reakcja obdarowanego zabrzmiała: Ależ, tu jest zawarte całe moje życie!

Barbara Kukulska

W ekslibrisie podejmuję klasyczne tematy jak pejzaż, człowiek, wnętrze. Często sięgam do moich grafik, które swoją wymową są spójne tematycznie z osobą figurującą na znaku książkowym. Barbarę postrzegam otoczoną ludźmi, rodziną... Chętną do pomocy, udzielającą się w wielu dziedzinach życia. Ptaki wyrażają lotny umysł. Nasze drogi w różnych latach krzyżowały się, miałam okazję uczestniczyć w projektach charytatywnych razem z Barbarą. To nas zbliżyło.



Eugeniusz Kurzawa

Poeta... Przyjaciół-krytyk uważa go za „jednego z najciekawszych przedstawicieli swego pokolenia”. Dla mnie spokojny i niespokojny duch, pełen pomysłów na dom, ogród, i kolejny tomik wierszy. Koń w ekslibrisie Eugeniusza to wyraz siły i lotności literackiej. Píše wiersze (do dziś wydał 12 tomów). Chętnie uczestniczyłam w Ogrodzie Sztuk, ciekawym wydarzeniu artystycznym rodziny Kurzawów, jak również obecnie, spotykając się towarzysko.



SYLWETKI

Małgorzata Bukowicz

Wykształcenie: studia na Wydziale Rzeźby oraz Ceramiki Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu, dyplom w 1984 roku.

Uprawiane dyscypliny sztuki: rzeźba i płaskorzeźba w brązie, kamieniu, ceramice i szkłe; ceramika; mozaika wenecka (szklana), projektowanie i realizacja witraży; konserwacja witraży; malarstwo; rysunek. **Członek ZPAP od 1984 roku.**

Wystawy indywidualne: 1986 – Zielona Góra; 1987 – Galeria ETC – Markiezenhof, Bergen op Zoom, Holandia, Galeria '90, Bruksela, Belgia; 1998 – Galeria „PO”, Zielona Góra; 1991 – Galeria „Brama”, Warszawa; 1993 – Zielona Góra; 1998 – BWA, Zielona Góra i Galeria 24, Sulechów; 2004 – BWA, Zielona Góra; 2005 – Galeria autorska, Cigacice; 2009 – *Światy*, BWA, Zielona Góra; 2010 – *Italomania*, Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra; 2010 – *Magia raku*, Galeria PRO ARTE, Zielona Góra. **Wystawy zbiorowe:** 1985 – Biennale Młodych, Zielona Góra; 1986 – INTERART, Poznań; Salon Jesieniny, Zielona Góra; Wystawa Miniatury, Toronto, Kanada; 1987 – Mons, Belgia; INTERART, Poznań; 1988 – Arsenał '88, Warszawa; 1989 – Biennale Młodych, Zielona Góra; 1990 – Generacja'80, Zielona Góra; 1991 – Verden, Niemcy; 1993 – Verden, Niemcy; 1994 – Galeria „Arche”, Hameln, Niemcy; 1995 – Biennale Małych Form Rzeźbiarskich, Poznań; 1997 – Galeria „Zur Alten Malzfabrik”, Wriezen, Niemcy; 1997-2003 – Salon Jesieniny, Zielona Góra / Gorzów; 2000 – BWA, Zielona Góra; 2001 – Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra; 2002 – Galeria, Bistria, Rumunia; 2003 – Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra; 2004-2010 – Salon Jesieniny, Zielona Góra / Gorzów; 2011 – *100 lat ZPAP*, Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra; 2012 – *Światłoczułe*, Galeria BWA, Zielona Góra. **Sympozja:** 1996 – Sympozjum „Tuzin Dozen”, Wrocław; 1997 – Sympozjum „Projekt”, Ackermannshof, Niemcy; 2008 – Sympozjum Rzeźbiarskie, Neuzelle, Niemcy; 2012 – „The word's best ceramic fountains”, Guardiagrele, Italy; DIALOG – trzecie niemiecko-polskie sympozjum w Biesenthal, Niemcy. **SUKCESY:** ZŁOTY MEDAL – laureatka X Biennale Małych Form Rzeźbiarskich, Poznań; Nagroda Wojewody Poznańskiego 1995; Nagroda Kuratora Lubuskiego 1998; Nagroda Prezydenta Miasta Zielonej Góry – 2005; Medal LUBUSKI ANIMATOR ROKU – 2006; Odznaka PRZYJACIEL DZIECI – 2007; NAGRODA KULTURALNA Prezydenta Miasta Zielonej Góry 2007; I Nagroda w konkursie na projekt Pomnika Ofiar Katastrofy Smoleńskiej 2011. **Prace w zbiorach:** Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra, Polska; Muzeum Puszkina, Moskwa, Rosja oraz w prywatnych kolekcjach: Prezesa Nafty i Gaz, Warszawa; Prezesa „Geofizyka”, Kraków; Prezesa Poszukiwania Naftowe DIAMENT; Dyrektora Fx. Energy, Warszawa; Prezesa UP STREAM ORLEN Polska oraz innych w Holandii, Belgii, Niemczech, Szwecji, USA. **Ważniejsze realizacje:** Jan Paweł II – rzeźba portretowa – Kościół wg projektu prof. Stanisława Millera, Namysłów; wystrój kościoła: mozaika wenecka pt. *Adoracja NMP*, witraże, rozeta, chrzcielnica, kościół pw. Niepokalanego Poczęcia Matki Boskiej, Gorzów Wlkp.; wystrój kościoła: płaskorzeźby ołtarzowe – ceramika, Droga Krzyżowa – ceramika, witraże chrzcielnica, gołębnik – fussing, pw. św. Józefa Oblubieńca, Zielona Góra; Płaskorzeźba szklana *Krzyż jako Drzewo Życia*, rozeta oraz witraże, Sanktuarium Matki Bożej Jazłowieckiej, Szymanów-Niepokalanów, 12 Apostołów – rzeźba ceramiczna, Sanktuarium Miłosierdzia Bożego, Świebodzin; Żałobnicy: płaskorzeźby – fussing – szkło, Kaplica Cmentarza Komunalnego, Zielona Góra; Tablica pamiątkowa – fussing – szkło, stal nierdzewna, ADB, Zielona Góra; wystrój kościoła: ołtarz – stal nierdzewna, fussing – szkło, obrazy olejne w ołtarzach bocznych kościoł pw. Michała Archanioła, Jenin; Pomnik Ofiar Katastrofy Smoleńskiej 10 kwietnia 2010 r., Cmentarz Komunalny, Zielona Góra; tablice pamiątkowe zabytków, Zary, Lubniewice, Zielona Góra; bachusiki, Zielona Góra; projekt Kalwarii Skrzatuskiej przy Sanktuarium pw. Matki Bożej Bolesnej oraz 14 Stacji Drogi Krzyżowej – płaskorzeźby ceramiczne. **Realizacje z zakresu witrażu autorskiego w Polsce:** Sanktuarium Matki Bożej Jazłowieckiej, Szymanów; Sanktuarium Miłosierdzia Bożego, Świebodzin; Sanktuarium w Siekierkach nad Odrą; kościoły: Zielona Góra, Gorzów, Wlkp., Świebodzin, Żagań, Jenin, Miechów, Złotnik, Bledzew, Sieniawa Żarska, Międzyrzecz, Ostrów, Jemiołów. **Realizacje z zakresu konserwacji witraży:** Telekomunikacja Polska S.A., Gubin, Zielona Góra; PZU, Zielona Góra; kościoły: Stońsk, Ołobok, Świebodzin, Klepsk, Łęgowo, Wilkowo. **Dorobek pedagogiczny:** ekspert MEN i komisji egzaminacyjnych i kwalifikacyjnych dla nauczycieli ubiegających się o awans na stopień zawodowy szkół artystycznych z zakresu malarstwa, grafiki i rzeźby i ceramiki; od 1987 roku pedagog – nauczyciel dyplomowany rzeźby i ceramiki w MCKiE „Dom Harcerza”, od 2004 nauczyciel rzeźby w Zespole Szkół Plastycznych w Zielonej Górze; autorka programów nauczania ceramiki i rzeźby; posiada pokaźny dorobek wystaw, warsztatów, plenerów i projektów wymiany międzynarodowej, wiele prac nagrodzonych na konkursach i przeglądach twórczości dzieci i młodzieży.

Wieża Azkebanu, ceramika, szkło, metal

Światy, Galeria BWA, Zielona Góra 2009





Anioł, brąz, drewno



Balans, detal



Balans, detal



Głębia, ceramika, szkło, fragmenty ekspozycji *Światłoczułe*, BWA, Zielona Góra 2012



Miasteczko klaustrofobiczne III, ceramika



Wenecja, ceramika, drewno

Małgorzata Bukowicz i jej sztuka

Małgorzata Bukowicz w swojej twórczości artystycznej posługuje się wieloma technikami, wykorzystując różne materiały. Jest absolwentką rzeźby na wrocławskiej Akademii Sztuk Pięknych i jej warsztat rzeźbiarski dominuje niemalże we wszystkich realizacjach. W trakcie studiów pod okiem prof. Krystyny Cybińskiej zgłębiała tajniki ceramiki artystycznej, która obecna jest w zarówno w jej życiu, jak i twórczości do dnia dzisiejszego. Już dyplom obroniony w 1984 roku łączył ceramikę i rzeźbę. Od kilku lat pracuje również w szkłe. Swoją przygodę ze szkłem artystycznym rozpoczęła od drobnych prac witrażowych i eksperymentów łączących szkło i ceramikę, a obecnie realizuje duże dzieła wykonane techniką fusingu. Niezależnie od wybranej techniki i materiału prace Bukowicz cechuje zawsze perfekcja warsztatowa i wysokie walory estetyczne.

Artystka w swoich pracach wykorzystuje często szamot, formowany ręcznie, tradycyjnymi technikami ceramicznymi, skupiając się głównie na formie powstających prac, wzbogacając je nierzadko kolorem uzyskanym za pomocą użycia barwnych szkliv – ulubionych turkusów, błękitów, czerwieni i oranżu. Jak twierdzi sama, jej prace są albo niezwykle barwne, albo minimalistyczne i utrzymane w czerni, w zależności od emocji i nastroju, w jakim znajduje się w chwili tworzenia. Bardzo istotnym elementem jej twórczości jest rysunek, spontaniczny, wykonany często prostymi narzędziami. Bohaterami rysunków są zwierzęta, ulubione motywy psów

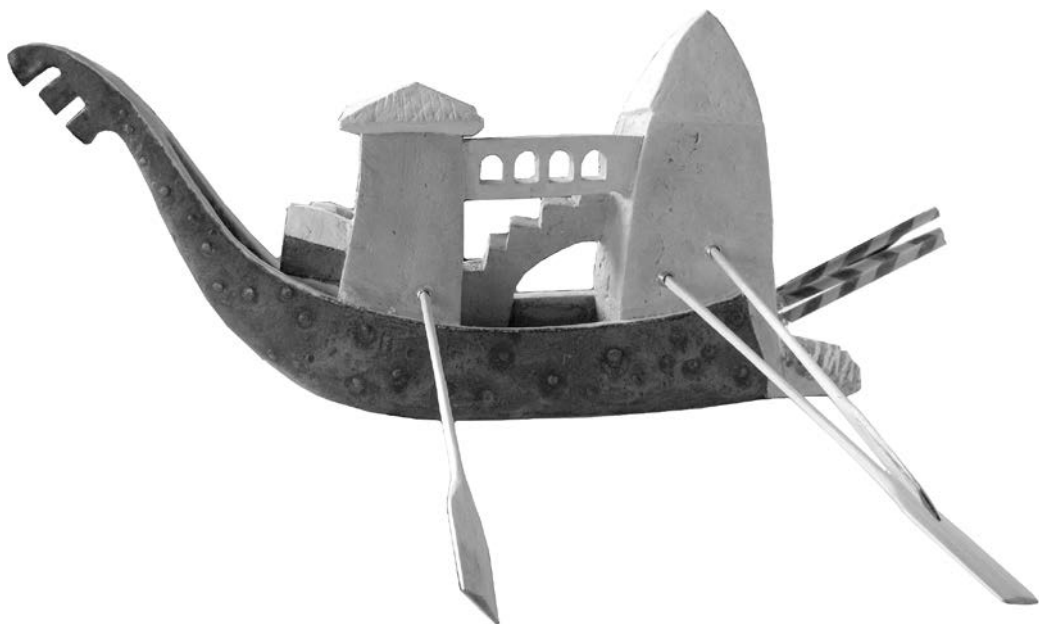
i ptaków powracające w kolejnych pracach. Rysunek stanowi też bardzo ważny element w procesie powstawania rzeźbiarskich realizacji autorki, to on jest punktem wyjścia do rodzących się pomysłów wykonywanych później na bazie szkiców w brązie, glinie czy szkłe. W pracach rysunkowych pojawiają się również elementy architektoniczne, obrazy miejsc zapamiętane w trakcie licznych podróży, fantastyczne wizje wnętrz kościołów, domów, oddane ze szczegółową precyzją. Artystka w swoich podróżach eksploruje południe Europy – Włochy, Hiszpanię, Portugalię – skupiając się na pejzażu i architekturze, zwracając szczególną uwagę na koneksje między danym miejscem, jego historycznym ukształtowaniem, otaczającym je krajobrazem, użytymi materiałami, charakterystycznymi dla danego regionu detalami architektonicznymi i ornamentami. Jej pasją jest historia sztuki, ale – jak twierdzi – nie interesują jej kolekcje muzealne zwiedzanych miejsc, a raczej ich charakter budowany przez stulecia, atmosfera kryjąca się w najdrobniejszych szczegółach, fakturach, kolorystyce. W trakcie tych wędrówek powstaje dokumentacja fotograficzna, nie są to jednak typowe fotografie turystyczne, a raczej rodzaj intymnego dziennika, w którym artystka eksploruje konkretne tematy, detale rzeźbiarskie, architektoniczne, jak kołatki, posadzki, drzwi, mozaiki, tworząc cykle czarno-białych fotografii, które czasem pojawiają się również na jej wystawach.

Wystawy Małgorzaty Bukowicz stanowią zawsze przemyślane, zamknięte projekty, podsumowujące kolejne etapy jej twórczości. Dotyczy to zarówno poszukiwań formalnych i fascynacji nowymi technikami, jak również przekazu, dialogu z widzem. Każda z nich poza warstwą estetyczną snuje opowieść inspirowaną przeżyciami samej autorki, jest intymną przestrzenią wykreowaną za pomocą obiektów i rysunkowych historii, nie narzuca się jednak odbiorcy, pozwalając mu na swobodną interpretację i wędrówkę po magicznym, nostalgicznym świecie, pełnym symboli zaczerpniętych z historii oraz współczesności. W wielu pracach pojawiają się ulubione przez artystkę motywy – psy, ptaki, postacie ludzkie o wydłużonych ptasich twarzach, krzesła, schody. W 1988 roku w zielonogórskiej Galerii „PO” zaprezentowana została wystawa Małgorzaty Bukowicz obejmująca jej rzeźby wykonane w drewnie, żywicy i szkłe oraz serię rysunków. Bardzo interesująca była duża, syntetyczna w formie rzeźba przedstawiająca w symboliczny sposób postać św. Sebastiana. W 1993 roku w warszawskiej Galerii Brama odbyła się wystawa, której głównym motywem przewodnim były krzesła, temat, do którego artystka podeszła z typową dla siebie konsekwencją, pokazując zarówno rzeźbiarskie obiekty, jak również instalacje przestrzenne, misterne konstrukcje wykonane ze znalezionych kawałków drewna, patyków, wykorzystujące grę światła i cieni, rzucanych przez te obiekty na ściany przestrzeni ekspozycyjnej. Kolejna prezentacja artystki w zie-

lonogórskim BWA obejmowała rzeźby wykonane w brązie, postaci psów, występujące pojedynczo lub w grupach, twarze ludzkie o niepokojących ptasich twarzach, nawiązujące stylistycznie do prac Brancusiego, instalacje łączące ceramikę i szkło, oraz dużą instalację wykonaną ze znalezionych przez artystkę kawałków drewna. Użycie znalezionych obiektów, fragmentów naturalnych obecne jest w twórczości Bukowicz od późnych lat osiemdziesiątych.

Nowsze projekty rzeźbiarki, zatytułowane *Moje światy* zaprezentowane zostały w zielonogórskim BWA w czerwcu 2009 roku, w tej samej przestrzeni ekspozycyjnej, gdzie 20 lat temu odbyła się jej pierwsza wystawa oraz *Italomania* w Muzeum Ziemi Lubuskiej. Artystka prezentuje obiekty rzeźbiarskie wykonane w glinie szamotowej, połączone ze wszystkimi materiałami, z którymi pracuje na co dzień, pojawiają się tam zatem elementy z brązu, metalu, drewna i szkła. Artystka kreuje po raz kolejny intymną przestrzeń, w której można zatopić się w refleksji nad codziennością i historią, zatrzymać na chwilę i pomarzyć o dalekich miejscach, bądź przypomnieć sobie widziane krajobrazy.

W ostatnio prezentowanej pracy w ramach projektu *Światłoczułe* powraca do syntezy. Jej *Głębia* to praca syntetyczna: 2,5-metrowe ceramiczne wrzeciono tworzące rozwijającą się centrycznie szklaną falę jest jednocześnie przejściem od czerni do światła, jak i światła znikającego w ciemności. To zapowiedź nowych poszukiwań i ekspresji.





Joanna Wawryk

Materialne wpływy Orientu w polskiej kulturze

W języku polskim termin Orient funkcjonuje jako bliskoznacznik wyrazu Wschód. Nie chodzi oczywiście o synonim kierunku geograficznego, tylko terytorium. Co ciekawe, na przestrzeni wieków, wraz ze zmieniającą się wiedzą o świecie, punkt ciężkości w obszarze zwanym umownie „Wschodem” ulegał pewnym przesunięciom. Według definicji ze *Słow-*

nika języka polskiego Samuela Bogumiła Lindego (Lwów 1857) Orient (oryent) to ‘wschód, wschodowe kraje’, orientalny (oryentalny) to ‘wschodni’, a orientalne (oryentalne) – ‘t. j. wschodnie z Indyi pochodzące klejnoty, zawsze są od okcydentalnych przedniejsze’¹. Słownik Jana Karłowicza, Adama Kryńskiego, Władysława Niedźwiedzkiego (Warsza-

¹ S.B. Linde, *Słownik języka polskiego*, t. 3: M–O, Poznań 1951, s. 583.

wa 1904) natomiast podaje: Orjent – ‘wschód; kraje wschodnie, Wschód, Azja’; Orientalista – ‘znawca krajów wschodnich, ich języków i literatury’; Orjentalizm – ‘wszystko, co ś. tyczy Wschodu’; Orjentalny, Orjentalski – ‘wschodni; azjatycki’². Dawniej za Orient uważano obszar Azji i część Afryki, dziś ten termin ogólnie określa kraje wschodnie.

W definicji zaprezentowanej przez *Inny słownik języka polskiego* podkreślono istotną kwestię, która tłumaczy przyczynę wyróżnienia Orientu, chodzi mianowicie o poczucie przynależności do innej formacji kulturowej: Orient ‘to kraje azjatyckie mające kulturę odmienną niż europejska’; orientalizm ‘to 1 cechy charakterystyczne dla kultury Wschodu. [...] 2 wyraz lub konstrukcja składniowa zapożyczone z języków Wschodu’; orientalny ‘to taki, który dotyczy krajów azjatyckich o kulturze odmiennej niż europejska lub jest dla nich charakterystyczny’³. Według definicji zawartej w *Praktycznym słowniku języka polskiego* orientalizm zaś to ‘zespół cech charakterystycznych dla ludzi Wschodu, ich obyczajów, kultury itp. (np. kultury arabskiej, perskiej, hinduskiej, chińskiej, japońskiej)’⁴.

Tyle wybrane definicje słownikowe. A oto kilka przykładów rozumienia tego hasła przez badaczy Orientu w polskiej kulturze.

Tadeusz Mańkowski pod terminem Orient rozumiał Bliski Wschód, przy czym dokonał rozróżnienia na Wschód chrześcijański (*Oriens Christianus*) i Wschód mahometański (*Oriens Islamicus*), zdając sobie sprawę, że taki podział nie jest ścisły, gdyż np. w rozpowszechnianiu Orientu w Polsce swoją rolę odegrali chrześcijańscy Ormianie i Grecy⁵. Ananiasz Zajączkowski rozumiał Orient bardziej wąsko, jako

obszar Bliskiego Wschodu, tradycyjnie związany albo z dziejami starożytnymi Azji Przedniej,

albo – jeszcze częściej – z kręgiem kulturowym islamu, tzw. Wschodem Muzułmańskim. Na tym obszarze już od czasów starożytnych, a potem od wczesnego średniowiecza rozwinęło się piśmiennictwo orientalne, którego głównymi przedstawicielami były języki: hebrajski, arabski i perski⁶.

Jan Reyhman natomiast za dobrą, bo jasną i ścisłą definicję Orientu przyjął sformułowanie Antoine’a Gallanda: „pod pojęciem ludy orientalne (*les Orientaux*) obejmujemy nie tylko Arabów i Persów, ale poza tym Turków i Tatarów oraz wszystkie ludy Azji aż do Chin, muzułmańskie, pogańskie lub bałwochwalcze”⁷. Ta definicja wydaje się trafna.

Wpływy Orientu na kulturę polską datują się dość wcześnie – sięgają już czasów średniowiecza, kiedy to na ziemiach polskich pojawiali się kupcy i podróżnicy arabscy, a wraz z nimi egzotyczne towary, rozmaite użyteczne lub luksusowe przedmioty. Właściwie do oświecenia te materialne wpływy były w dużej mierze samoistne, umotywowane przede wszystkim szlakami handlowymi.

Bardzo wcześnie zaczęły zarysowywać się dwie ważne tendencje w pobieraniu elementów orientalnych, a mianowicie: z jednej strony polska kultura, ze względu na uwarunkowania geopolityczne, czerpała te wzorce bezpośrednio od swych południowo-wschodnich sąsiadów, z drugiej zaś strony kulturalne pożyczki ze Wschodu odbywały się często za pośrednictwem Zachodu, który wcześniej niż Polska odkrył piękno i skarbnicę wartości w literaturze (i w ogóle w myśli) Bliskiego i Dalekiego Wschodu.

Polska najwcześniej, bo „po sąsiedzku”, zetknęła się ze Wschodem muzułmańskim – turecko-tatarskim. Jak pokazuje historia, nie było to łatwe sąsiedz-

2 *Słownik języka polskiego*, red. J. Karłowicz, A. Kryński, W. Niedźwiedzki, t. 3: N-Ō, Poznań 1952, s. 828.

3 *Inny słownik języka polskiego* PWN, t. 1: A... Ō, red. M. Bańko, Warszawa 2000, s. 1182.

4 Zob. *Praktyczny słownik współczesnej polszczyzny*, red. H. Zgótkowa, t. 26, Poznań 2000, s. 427. W ujęciu językoznawczym orientalizm to ‘element językowy – wyraz, jego forma fonetyczna lub fleksyjna, znaczenie, połączenie wyrazowe lub konstrukcja składniowa – przyjęty do pewnego języka z języka Orientu (języka ludów Wschodu) lub na nim wzorowany’.

5 Zob. T. Mańkowski, *Orient w polskiej kulturze artystycznej*, Wrocław 1959, s. 21.

6 A. Zajączkowski, *Orient jako źródło inspiracji w literaturze romantycznej doby mickiewiczowskiej*, Poznań 1955, s. 5.

7 J. Reyhman, *Orient w kulturze polskiego oświecenia*, Wrocław 1964, s. 8.

two, niemniej rodzima kultura wiele mu zawdzięcza. Zanim o tym, kilka uwag o Ormianach, którzy okazali się istotnymi pośrednikami handlowymi między Wschodem a Zachodem.

Ważną rolę w przybliżaniu wschodnich towarów Europie odegrał w średniowieczu Lewant. Jak stwierdził znawca tego tematu, Tadeusz Mańkowski:

Nie można zapominać o kulturalnym znaczeniu tego świata, w którym także kultura artystyczna zyskiwała odrębne oblicze, a produkty włoskiego przemysłu artystycznego (broń, tkaniny, moda itp.) mieszały się z grecko-bizantyjskimi wytworami, równie jak z arabskimi czy perskimi, i wzajemnie na siebie oddziaływały⁸.

Lewantyńscy kupcy docierali również do Polski, oferując różnorodny asortyment. W geneueńskiej organizacji handlowej znaleźli oparcie Ormianie, którzy – z przyczyn politycznych – od X wieku zaczęli emigrować do Europy. Osiedlali się również w Polsce, pełniąc rolę pośredników handlowych ze Wschodem.

Na południowo-wschodnich krańcach Polski przez stulecia mieszały się żywioły: polski, ormiański i ruski.

Katolicy – stwierdza dalej uczony – nie wahali się umieszczać w kościołach obrazów o cechach stylowych rusko-bizantyjskich ormiańskich. Malarze ormiańscy przyswajali sobie formy stylowe sztuki Zachodu, mieszając je z tradycyjnymi ormiańskimi i sprzedając obrazy swego pędzla katolickim nabywcom, którzy nie tylko zdobili nimi ściany swych mieszkań, lecz ofiarowywali je także dla zawieszenia na ścianach kościołów⁹.

Tak więc wpływy orientalne, w tym m.in. ormiańskie, przenikły do malarstwa (widać je cho-

ciażby w obrazie Matki Boskiej Częstochowskiej) i architektury (np. katedra ormiańska we Lwowie). Stłuszenie więc można nazwać ormiańskich kamieniarzy „najdawniejszymi kolporterami sztuki islamu”¹⁰. Badacz upatruje końca tego pośrednictwa w roku 1630, kiedy to Ormianie przyjęli unię z Kościołem katolickim, wpływającą na proces polonizowania się tej mniejszości¹¹.

Styl wschodni, przede wszystkim czerpiący z tureckiej kultury, stał się bardzo modny w baroku. Według Mańkowskiego XVII-wieczna recepcja kultury i sztuki krajów islamu przebiegała na ziemiach polskich inaczej niż na Zachodzie:

Powodem było poszukiwanie egzotyizmu w czasach baroku, a później rokokowego dziwactwa, bez wnikięcia w istotę sztuki Wschodu, podczas gdy w Polsce przyjmowaliśmy wprost jej motywy ornamentalne, zastosowując je u siebie bezpośrednio. Pociągały one polskie umysły nie jako coś egzotycznego i dziwnego, lecz działały istotnymi walorami ornamentu i zespołów barwnych¹².

Barok lubował się w egzotyzmie. W sztuce tej epoki pojawiają się orientalne postacie i akcesoria. Moda na tego typu orientalizm ogarnęła wówczas Europę, w Polsce zaś przybrała inną formę z uwagi na bezpośrednie kontakty z państwami muzułmańskimi. Jednakże niekiedy fascynacja Wschodem była dość powierzchowna, zwłaszcza gdy mówi się o niej w kontekście sarmatyzmu. Wydaje się, że i w Polsce początkowo interesowano się Orientem, gdyż widziano w nim „coś egzotycznego i dziwnego”, dopiero oświeceniowe prądy zmieniły podejście do Wschodu, równocześnie ostro krytykując sarmatyzm. Jakby tego zjawiska nie oceniać, pewne jest to, że styl wschodni ogromnie oddziaływał na obyczajowość. Karol de Ligne, obcokrajowiec goszczący w Polsce, określił ówczesną polską modę jako „smak europejski

8 T. Mańkowski, *op. cit.*, s. 29.

9 Zob. *ibidem*, s. 85.

10 Zob. *ibidem*, s. 49.

11 Zob. *ibidem*, s. 63.

12 Zob. *ibidem*, s. 98.

ożeniony z azjatyckim”¹³. Wystarczy przyjrzeć się XVI- i XVII-wiecznemu malarstwu portretowemu, by mieć ogłód na trendy dominujące w ubiorze. Znamienne, że nawet poseł turecki, Ahmed Efendi, przejeżdżający przez Polskę w 1763 roku, wziął polski strój za orientalny: „Mieszkańcy miast w Polsce odziani są w tatarskie dołamany [kontusze] i żupany, na głowach zaś noszą niewielkie barankowe kołpaki. Tak przystrojeni często mi powiadali, że z upodobania i przyjaźni ku Osmanom przybrali ubiór podobny do muzułmańskiego”¹⁴. Proporcje ówczesnych polskich ubrań kontrastowały z zachodnią modą, wedle której spodnie powinny być być krótkie, bufiaste, a płaszcze obcisłe. Zamaszyste sarmackie szaty nie tylko krojem, materiałem, ale i zdobnictwem nawiązywały do wzorów wschodnich. A w wypadku żeńskiej garderoby nie fason, lecz perskie i tureckie tkaniny znajdowały zastosowanie. Wschodnie stroje były noszone przez miłośników Orientu, służbę, przez przedstawicieli określonych zawodów wymagających kontaktu z ludami Wschodu (np. handlarzy, tłumaczy) i pewne formacje wojskowe¹⁵.

Ponadto dużym uznaniem cieszyły się dywany perskie i sprowadzane z Azji Mniejszej kobierce. Nakrywano nimi ławy i stoły, ścielono je na podłogach, używano również jako ścienne obicia i zasłony. Mieszkania były dekorowane makatami, kilimami, dywanami i tapczanami.

Nawet podczas wojen polsko-tureckich toczących się w XVII wieku wyroby orientalne były pożądane, tyle że coraz więcej ich produkowano w granicach Rzeczypospolitej. Wzornictwo tureckie i perskie naśladowano w polskich manufakturach, tak że z czasem autentyczny styl wschodni stał się

podstawą dla polskiego stylu orientalizującego¹⁶. Polskie kobiernictwo datuje się na XVI-XVII wiek. Najstarsze manufaktury powstały w Białej Podlaskiej, Brodach, Sokołowie¹⁷. Co ciekawe, same wojny przyczyniły się do orientalizacji smaku, bowiem zabrane łupy działały jak reklama. Władysław Łoziński napisał, że zwycięstwa Jana III Sobieskiego materialnie przyniosły m.in. broń, rzędy, szaty, srebra, kobierce, naczynia i sprzęt turecki – „Była to niejako nagła orientalizacja smaku polskiego – zwyciężona i upokorzona Turcja wywarła w przeciągu kilku lat więcej wpływu na fizjonomię obyczajową szlachty, aniżeli przez setki lat wywierała groźna i zwycięska”¹⁸.

W XVII wieku Polska przejęła z muzułmańskiego Wschodu wiele elementów związanych z wojskowością, np.: urządzenia militarne, zastosowanie broni, oznaki godności wojskowych. Także wojskowe stroje i ekwipunek z tej epoki wraz z całym zdobnictwem białej broni, uprzęży i końskich rzędów świadczą o wzorowaniu się na armii Bliskiego Wschodu¹⁹. Wpływem turecko-tatarskim zawdzięcza się takie przedmioty jak: karabela, dzida, czekan, buzdygan, buńczuk, sajdak, kołczan, czaprak, wojłok, kulbak. W tamtym czasie również wschodni sposób siodłania koni zyskał w Polsce uznanie, ba!, nawet koń wschodni wydawał się Polakom cenniejszy²⁰.

Spojrzenie na wszystko, co ma do zaoferowania kulturze europejskiej Wschód, uległo radykalnej zmianie w oświeceniu, kiedy to orientalizm stał się „częścią wielkiego prądu umysłowego, który do nas napłynął – przeważnie z Zachodu: z Francji, Niemiec, Anglii, Włoch, w ramach szczególnie silnego w XVIII wieku oddziaływania kultury zachodniej, głównie francuskiej – na Polskę, jako jedna z części składo-

13 Cyt. za: A. Zajączkowski, *Orientalistyka polska a Bliski Wschód*, [w:] *Szkice z dziejów polskiej orientalistyki*, red. J. Reyhman, Warszawa 1966, s. 31.

14 Cyt. za: *ibidem*.

15 Na temat strojów (m.in. wzorowanych na „cudzoziemszczyźnie”) zob. też J.S. Bystron, *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce. Wiek XVI-XVIII*, Warszawa 1994, rozdz. *Strój i toaleta*, s. 418-454.

16 Por. T. Mańkowski, *op. cit.*, s. 109.

17 M. Ziółkowska, *Skąd my to mamy? Dzieje przedmiotów codziennego użytku*, Warszawa 1970, s. 60 (hasło: dywan).

18 W. Łoziński, *Życie polskie w dawnych wiekach*, Kraków 1969, s. 161. Uczony stwierdził, że „Jan III był już ostatnim reprezentantem sarmacko-wschodniego obyczaju w ubiorze i broni; do końca swego życia miłował się w kostiumowych ozdobach orientalnych”.

19 Por. T. Mańkowski, *op. cit.*, s. 112. Zob. rozdz. VII: *Broń wschodnia w polskim ręku*.

20 Zob. *ibidem*, s. 144-145.

wych tego oddziaływania”²¹. Według Jana Reychmana polski orientalizm był stymulowany przez dwa czynniki: czerpanie elementów wschodnich za pośrednictwem ośrodków zachodnich oraz przetwarzanie ich pod wpływem polskich uwarunkowań²².

Do podsycania mody na Orient przyczynili się konkretni ludzie, których Rzeczypospolita przyjmowała w swe granice. Poza kupcami przez tereny ówczesnego państwa przewijali się przedstawiciele ludów bałkańskich: Ormianie, Grecy, Mołdawianie, Albańczycy, Serbowie, Rumuni. Często szukając schronienia, osiedlali się na terenach ówczesnej Polski. Od początku XVIII wieku ich liczba wzrastała, przez co stawali się „ważnym czynnikiem kształtowania się mód i gustów, smaków i obyczajów”²³. Poza tym zjawiali się podróżnicy opowiadający o egzotycznych wojażach i obcy orientaliści goszczący na królewskich i szlacheckich dworach, tacy jak Karol Rębiczyński czy Carsten Niebuhr.

Polska przyjmowała również wschodnie legacje. Nie wnikając już w polityczny aspekt tych poselstw, miały one zwykle ceremonialny, pyszny, zgodny ze wschodnią etykietą przebieg, co nie umknęło ówczesnym pamiętnikopisarzom, a i podarunki oddziaływały na przebieg obrad. Dary wpływały ponadto na orientalizację gustu artystycznego. Zwykle wręczano biżuterię, broń, uprzęż, kobierce, konie, wielbłądy²⁴.

Te i inne przedmioty wschodnie były również importowane. Jan Reychman wyróżnił cztery kategorie sprowadzanych ze Wschodu towarów:

- „materie” – tu m.in.: tkaniny i gotowe części stroju, narzuty, makaty, kobierce;
- drobne przedmioty zbytku codziennego, bibeloty, broń ozdobna, pudełeczka inkrustowane, wachlarze, fajki, przedmioty z laki chińskiej, biżuteria, perły, drogie kamienie, posążki itp.;
- konie i związane z końmi przedmioty (np. uprzęż);

- towary konsumpcyjne, luksusowe, np. kawa, herbata, przyprawy, bakalie, słodycze, także perfumy i balsamy²⁵.

Moda na Orient przybierała też prostszą formę kolekcjonerstwa rozmaitych osobliwości. Ten trend ogarnął całą Europę, dotarł też do Polski:

Początkowo pęd do rzeczy wschodnich ograniczał się do zbierania broni, uprzęży, makat, namiotów. To była jeszcze era samorządnego, biernego zbieractwa, związana z atmosferą wojen tureckich, gdy – jak we Włoszech czy krajach austriackich – każdy pragnął przywieźć do domu jakiś „musztulek”, jakąś karabelę czy makatę orientálną do przyozdobienia domu²⁶.

Jan Reychman ustalił, że początki wielu polskich, oświeceniowych zbiorów orientálnych wywodzą się z kręgu Czartoryskich. Interesującą kolekcją mógł się poszczycić Stanisław August Poniatowski, który prócz książek posiadał następujące osobliwości: „Mumia księżniczki egipskiej”, „6 wizerunków kapłanów egipskich”, „Kapłan Ozyrysa w brązie”, „Kapłanka Izdy”, „Biust Horusa w bazalcie z hieroglifami”, „Izys w bazalcie z hieroglifami”, „Kapłan Ozyrysa z pomiarem Nilu”, „Kapłan egipski z hieroglifami”, „Głowa egipska w bazalcie o wyjątkowej piękności”²⁷. Orientalia zbierali tacy przedstawiciele polskiego oświecenia jak: Potoccy, Zamoyscy, Wacław Rzewuski, Jan Czacki. Również prominentne panie zajmowały się kolekcjonowaniem, m.in.: w Natolinie, Szymanowie, Puławach gromadzono papierowe pudełka, imbryki do kawy, pędzelki chińskie, brązowe lampki wiszące i figurki i in. W tym zdarzały się przeróżne osobliwości: „bałwanek, czyli bożyszcze z kilku rękami i wewnątrz dęte, gdzie w nich były pisma chińskie (podobno

21 J. Reychman, *op. cit.*, s. 12.

22 *Ibidem*.

23 *Ibidem*, s. 16.

24 *Ibidem*, s. 59.

25 *Ibidem*. Wszystkie te kategorie badacz scharakteryzował w rozdz. 3. Adamaszki, *araby i likwora*, s. 59-70.

26 *Ibidem*, s. 72-73.

27 *Ibidem*, s. 79.

do modlitwy) chowane” czy „sandały ze szczęśliwej wyspy Tahiti”²⁸.

Z czasem powierzchowne – choć mocno wpływające na życie codzienne i towarzyskie, na wystrój wnętrz mieszkalnych i muzealnych – kolekcjonerstwo zaczęło ustępować erudycyjnemu zjawstwu. Prócz bibelotów i przedmiotów luksusowych, zbierano książki i rękopisy. Dzięki temu nie zabrakło orientaliów w Bibliotece Załuskich. W tej pierwszej polskiej publicznej bibliotece znalazły się rękopisy hebrajskie, arabskie, tureckie, aramejskie, ormiańskie, a nawet przekład Koranu. Zresztą książki i rękopisy wschodnie były zbierane także przez dyplomatów, poliglotów, profesorów²⁹. W zamiłowaniu do orientaliów swój początek miały erudycyjne dociekania, które stały się podwaliną nowoczesnej orientalistyki, czyli nauki zajmującej się badaniem historii, kultury oraz języków ludów Wschodu³⁰.

Równie powierzchownie, od nowinek płynących często z Zachodu na temat Wschodu, rozpoczęło się zainteresowanie elementami orientalnymi w formach teatralnych. Przejawy wpływu Orientu na polską obyczajowość uwidaczniały się na balach, maskaradach i pochodach karnawałowych, na których przebijano się w orientalne kostiumy, często też odgrywano scenki wschodnie. A w 2. poł. XVIII wieku akcenty orientalne nasiliły się również w takich dziedzinach sztuki jak teatr, opera i balet. Nawet muzyka turecka zyskała swych amatorów. XVIII-wieczne wojsko polskie miało u siebie orkiestry tureckie. Z czasem posiadanie kapeli janczarskiej stało się po prostu modne także na dworach³¹. Wschodowi polska kultura zawdzięcza jeszcze wiele karcianych gier (makao, faraon), szachy, latawce.

Nie sposób pominąć wschodnich napojów salony XVIII-wieczu: kawy i herbaty. W Polsce herbata jest znana od XVII wieku. Do Europy przybyła z Chin za pośrednictwem arabskich kupców już w IX wieku, ale wtedy jeszcze nie zyskała popularności³².

Początkowo cieszyła się złą sławą, co dobitnie wyraził botanik, ks. Krzysztof Kluk w swoim *Dykcyjona-rzu* z 1788 r.: „Gdyby Chiny wszystkie swoje trucizny przesłały, nie mogłyby nam tyle zaszkodzić, ile swoją herbatą. Może to być, że w jakim przypadku jest użyteczną, ale częste zażycie owej ciepłej wody osłabia nerwy i naczynia do strawności służące, soki, oraz zbyt rozwalnia”. Kawa natomiast do Europy dotarła z Turcji i podobnie jak w wypadku herbaty, początkowo spotkała się z niedocenieniem³³. Oto fragment wiersza Andrzeja Morsztyna (1613-1693):

W Malcieśmy, pomnę, kosztowali kawy,
Trunku dla baszów, Murata, Mustafy,
I co jest Turków... Ale tak szkarady
Napój, tak brzydka trucizna i jady,
Co żadnej śliny nie puszcza za zęby,
Niech chrześcijańskiej nie plugawi gęby.

A jednak kawa zdobywała coraz więcej amatorów, w tym również autora cytowanego utworu. W XVIII wieku powstały jedne z pierwszych kawiarni oferujących ten trunk.

Powyższa charakterystyka materialnych wpływów wschodnich w polskiej kulturze oczywiście nie wyczerpuje tematu, ale pozwala stwierdzić, jak różnorodne były to pożyczki. O tym, ile polska kultura przejęła ze Wschodu, świadczą też zapożyczenia językowe. Rodzimy język zawiera wiele „żywych skamienieli” – są to m.in. wyrazy tureckie, których najwięcej przedostało się do polszczyzny w dobie staropolskiej, o czym pisał Zenon Klemensiewicz:

Rusią szły do polszczyzny także liczne zapożyczenia wschodnie. Jeszcze w średniowieczu dostały się tą drogą niektóre wyrazy, zwłaszcza nazwy strojów i materiałów, np. *kiwior*, *sztyk*, *jarmułka*, *bisior*. Ale główna fala orientalizmów wpłynęła w XVII w.;

28 *Ibidem*, s. 85.

29 Zob. *ibidem*, 86-97.

30 Por. *Praktyczny słownik...*, s. 427 (hasło: orientalistyka).

31 Por. J. Reychman, *op. cit.*, s. 109.

32 Cyt. za: M. Ziółkowska, *op. cit.*, s. 22 (hasło: herbata).

33 Cyt. za: *ibidem*, s. 27 (hasło: kawa).

w okresie saskim ograniczały się do nazw wschodnich materiałów. Stanowią one świadectwa sąsiedztwa geograficznego oraz stosunków politycznych, handlowych, wojennych, kulturalnych z narodami Wschodu: Tatarami i Turkami³⁴.

Kilka reprezentatywnych wpływów tureckich: bohater 'dzielny szermierz', buhaj 'byk', dżuma, haracz 'danina', janczar 'wyborowy żołnierz', jasyr 'niewola', kajdany 'pęta', kaleka 'chromy, żebrak', kary 'czarny', kołpak 'nakrycie głowy', szarańcza, torba 'worek'³⁵.

Wpływy wschodnie ponadto widać w piśmiennictwie. Jest to złożone zagadnienie, właściwie wymagające osobnego opracowania, gdyż w szerokim rozumieniu dotyczy zarówno dzieł literackich wykorzystujących motywy, wątki, postacie albo obrazy zaczerpnięte z literatury wschodniej, jak i utworów opisujących np. wschodni krajobraz, koloryt lokalny, podróże; czerpiących z myśli, filozofii, ideologii Bliskiego lub Dalekiego Wschodu; swą nastrojowością albo cudownością, sposobem obrazowania nawiązujących do literatury Orientu. Każda epoka literacka postrzegała orientalizm przez pryzmat swojej wiedzy (początkowo raczej niewiedzy), ale również ideałów, niepokojów, wątpliwości – wszystkiego, w czym przejawia się tzw. duch czasów. Na ocenę Wschodu miała też wpływ sytuacja państwowa i to, czy Polacy chcieli się widzieć jako „przedmurze chrześcijaństwa”, czy też w opozycji do Zachodu³⁶. Poza tym, ważnym filtrem w przejmowaniu literatury Wschodu było zachodnie

piśmiennictwo oraz postępujący rozwój cywilizacyjny, przynoszący większą znajomość pozaeuropejskich kultur, także wpływający na dostępność do nich (z przyczyny tak prozaicznej i oczywistej, jak rozwój telekomunikacji).

Kontakty Polski ze światem Wschodu – ze względu na uwarunkowania geopolityczne i ideologiczne – przybierały różne formy. Polacy poznawali Orient podczas wypraw religijnych (pielgrzymki), handlowych, wojennych, dyplomatycznych, a także podróżniczo-krajoznawczych. Na przestrzeni stuleci stosunek do Orientu ulegał zmianie, podobnie jak gusta i oczekiwania odbiorców kultury. Jednakże skutki tego podejścia są częścią składową polskiego dziedzictwa kulturowego. Niektórzy, w odróżnieniu od Mańkowskiego, są skłonni widzieć w zainteresowaniu Orientem swoistą modę, która przeszła przez szlacheckie i mieszczańskie domostwa i umysły, ograniczając się z reguły do powierzchownego zainteresowania Orientem; trend, który swoje apogeum osiągnął w XVII wieku. Orient swego czasu oczywiście modny był, i może często ograniczał się tylko do powierzchowności, niemniej do czasów obecnych dotrwało wiele zamierzchłych „wpływów”, z których na co dzień nie każdy zdaje sobie sprawę, np. pijąc herbatę lub kawę po turecku, grając w chińczyka lub w szachy, otulając się kaszmirem lub jedwabiem. Zupełnie inną kwestią jest zalew polskiego rynku produktami „made in China”, ale trzeba pamiętać, że dawniej przede wszystkim arystokracja i bogaci mieszczanie mogli sobie pozwolić na orientalne bibeloty.

34 Z. Klemensiewicz, *Historia języka polskiego*, Warszawa 1999, s. 348.

35 *Ibidem*, s. 349.

36 O funkcjonujących w polskiej literaturze XIX i XX w. mitach Wschodu, wyrosłych z opozycji Wschód–Zachód pisał Erazm Kuźma w publikacji *Mit Orientu i kultury Zachodu w literaturze XIX i XX wieku*, Szczecin 1980, zob. rozdz. *Romantyczny i postromantyczny mit Orientu w Polsce*.

Budować piętrowo

Z Przemysławem Grzesińskim rozmawia Janusz Łastowiecki

Janusz Łastowiecki: Jak powstawało *80 lat polsko-niemieckich dziejów teatru w Zielonej Górze. Monografia*?

Przemysław Grzesiński: Książka powstała w ramach Funduszu Małych Projektów Programu Operacyjnego Współpracy Transgranicznej Polska – Saksonia 2007-2013. Najpierw zatem opracowana została wstępna koncepcja książki, następnie projekt, który trafił do przygranicznego Gubina i... niestety, został tam zaakceptowany. Mówię „niestety”, ponieważ projektów złożyliśmy kilkanaście, sądząc, że będą one mogły podlegać weryfikacji na różnych odcinkach pracy. Tymczasem tytuł *80 lat polsko-niemieckich dziejów teatru w Zielonej Górze. Monografia* został wpisany na listę realizowanych przedsięwzięć i w takim właśnie kształcie przyjęty i nie było już możliwości na dokonanie jakichkolwiek zmian, pomimo tego, że w naszym odczuciu byliśmy na etapie planowania. To urok projektu. Po zgłoszeniu projektu nie podlega już nawet zmianie liczba stron i inne ustalenia, których od tej pory należało się precyzyjnie trzymać. Powstał zatem kłopot: jak przy tak małej ilości stron zmieścić wszystko. Z pomocą przyszedł Papkin...

JŁ: Papkin nie jest mentorem, to postać nie do końca na serio. Wpisało się to w charakter książki.

PG: Papkin jest tutaj przewodnikiem. Przypomnijmy, że pierwszą premierą w instytucjonalnym zielonogórskim teatrze była *Zemsta* Fredry. Papkin zatem jak nikt inny wydawał mi się właściwy do roli oprowadzającego po teatrze. Stąd też „monografia wg Papkina”.

JŁ: Jaki jest widziany twoimi oczami teatr, którym chciałeś zarazić czytelnika tej książki?

PG: W teatrze piękna jest pewnego rodzaju ulotność i zestawienie wielu elementów: muzyki, słowa, aktorstwa, ruchu, światła. W teatrze, szczególnie, kiedy się w nim pracuje, widać, jak duży, nieprzewidywalny wkład mają osoby z pozoru niewidoczne na scenie. Jest to praca zespołowa. Trudno jednoznacznie stwierdzić, że ten element jest istotny, a tamten nie. Czasami z tekstu genialnego wychodzą przedstawienia słabe i odwrotnie. We wtorek to przedstawienie może być dobre, a w czwartek może być gorsze, bo aktor przeżył jakąś traumę i po prostu zagrał słabiej. Znając od samego początku wkład finansowy, jaki za tą książką stoi, projektowałem ideę, w której tekst jest tylko jedną z części składowych tej opowieści o teatrze.

JŁ: I narodził się pomysł z kolorami.

PG: Tak. Każde dziesięciolecie ma tu swoją barwę. Przez wiele godzin naradzałem się w tej sprawie z grafikami. Dzieje teatru nie ograniczają się do „dziania się”, do dziejów czy do życia wokół teatru i do samych spektakli, które były w nim grane. Wiem, że wiele osób, które były związane z teatrem, tego typu publikacja może rozczarowywać z prostego powodu: bo nie znajdują swojego nazwiska w określonym podrozdziale, a być może wtedy wnieśli bardzo istotny wkład w życie teatru. To nie jest tak, że ta publikacja wykreśla inne czy wyczerpuje temat. To jest innego rodzaju spojrzenie, które można traktować jako dopełnienie, a nie zastąpienie. Nie chciałem zastępować innych publikacji naukowych,

lecz je dopełnić plastycznie. Dla mnie najistotniejsze w każdej sztuce jest to, czego dowiedzieliśmy się z *Pana Kleksa*: najważniejsze w świecie baśni to nie pouczać i nie nudzić. Sztuka może być każda, ale nie może być nudna. Jeżeli książka miałaby być nudna, to wolałbym, by w ogóle się nie pojawiła. Gdy patrzę na publikacje naukowe, doceniam ich rolę co do porządkowania pewnych zjawisk, ale są to teksty, do których sięga jedynie wąska grupa specjalistów. One z reguły lądują na półce i stają się istotne dla tych, którzy te książki opracowywali. Dysponując sporymi środkami, chciałem pokazać ludziom różny teatr na możliwie wielu płaszczyznach.

JŁ: Futurystyczne komentarze dzieci, które mówią, że domy kiedyś będą w kształcie grzybów, występować będą na morzu, a świat potoczy socjalizm są piękne w swojej prostocie.

PG: To jest koloryt. W recepcji naszych zachodnich sąsiadów (a książka jest przecież dwujęzyczna) lata 70. wyglądały nieco inaczej – nawet jeśli mówimy o NRD. Przywołując głosy dzieci, opowiedziana została historia sposobu myślenia młodych Polaków, my zaś mogliśmy przypomnieć sobie, jak to w tej komunistycznej Polsce było. Zależało mi wreszcie na takim spojrzeniu, które przyciągnęłoby ludzi do teatru, nie tylko do tego jednego, konkretnego, ale w ogóle do teatru. Chciałem, by odbiorcy mogli przeglądać tę książkę także fragmentami, a niekoniecznie czytać ją od deski do deski. W tego typu pozycjach

wielu czytelników tak robi. Tutaj przyświecała mi zdecydowanie myśl popularyzatorska. Do tego wszystkiego szczypta ciekawostek Papkina, które wydawały mi się na tyle interesujące, że warto było je dodać. Tak samo jest przecież w teatrze – jest powaga, ale jest i śmiech.

JŁ: W książce zastosowana jest klamra niemiecka. Z jednej strony rzeki jest zamysł budowy niemieckiego teatru, a z drugiej wystawienie sztuki *Trash story*, która uzdrowia trochę napięcia polsko-niemieckie.

PG: Myślenie w teatrze Brechta i wokół Brechta z okresu międzywojnia oraz myślenie towarzyszące *Trash story* bardzo dobrze mi ze sobą korespondowały ze względu na społeczne i pacyfistyczne akcenty. Zielonogórski teatr nosi imię Leona Kruczkowskiego, autora ważnej sztuki *Niemcy*. *Trash story* Magdy Fertacz to opowieść o tych ziemiach, tzw. ziemiach odzyskanych. Opowieść o trudnej historii polsko-niemieckiej pogranicza. Czy uzdrowienie złożonych relacji jest możliwe? Kruczkowski już w 1949 roku sygnalizował w swoim dramacie, że nie wolno utożsamiać wszystkich Niemców z fanatycznymi wyznawcami hitleryzmu. Tekst Fertacz, choć interesujący, stoi natomiast na pograniczu niebezpiecznego dla Polaków rewizjonizmu historycznego. Jeśli spotkać się pośrodku tych różnych spojrzeń, to myślę, że uzdrowienie jest możliwe. Sztuka łączy. Mijmy nadzieję, że ta publikacja także.



JŁ: Monografia przewrotna. Tak należałoby o tej pozycji mówić?

PG: Powodów do tego, by robić bardzo poważną monografię nie było. To zresztą zadanie dla naukowców – historyków, kulturoznawców. Niedawno dyrektor Robert Czechowski rzucił pomysł, by jednak przygotować monografię „po bożemu”, przedstawiającą dodatkowo szczegółowe sylwetki reżyserów, dyrektorów. Wtedy można by się skupić na wykresach, analizie gatunków i tekstów, jakie królowały w Zielonej Górze. Być może powstanie zatem publikacja naukowa – praca nad taką pozycją to jednak robota na dwa lata. Zobaczymy.

JŁ: Projekt zakładał wydanie monografii wg Papkina, ale tej książki nie mogliście wypuścić na rynek.

PG: To jest urok projektu, z którego skorzystałimy. Możemy książkę rozdawać tylko w celach promocyjnych. Przekazaliśmy egzemplarze naszym partnerom w Gerhart Hauptmann-Theater, bibliotekom w całej Polsce, Instytutowi Teatralnemu, a reszta nakładu czeka jako prezent dla gości teatru.

JŁ: Okazałe, bogate wydanie pokazuje nakład pracy, jaki włożyliście w redakcję.

PG: Jest to efekt pracy zespołu pracującego nad książką. Grafików, tłumaczy i mojej – autora wyboru, opracowania i koordynatora.

JŁ: Jaki był pierwszy odbiór tej książki, z jakimi opiniami się spotykaliście?

PG: Reakcja była różna. Pierwsze wrażenie było takie, że książka prezentuje się bardzo dostojnie.

Znajduje się w niej bardzo wiele zdjęć, każde podane artystycznej obróbce graficznej, bogata jest w detale, takie jak telegram od Czesława Niemena, ciekawostki z życia wokół teatru, zdjęcie teatru odbite w kałuży, które dzieli, ale i łączy w połowie książki teatr polski i niemiecki (po odwróceniu książki „do góry nogami” mamy przekład niemiecki). Tutaj wszyscy byli zgodni. Odbiór treści zawsze uzależniony jest od oczekiwań. Nie każdemu ten sposób opowiadania o sztuce odpowiada. Podstawą do zrozumienia monografii wg Papkina stanowi wstęp. Można się z nim zgodzić i podróżować z Papkinem, można odmówić udziału w tej podróży. Ujmując rzecz całościowo, mogę stwierdzić, że odbiór ludzi spoza teatru był bardzo pozytywny. Docenili świeżość, koloryt pomysłu. Na tym nam najbardziej zależało.

JŁ: Z tych peregrinacji z Papkinem wychyla się nowe myślenie o sztuce, jej promocji. Na czym polega idea, która tobie przyświecała?

PG: Moim zdaniem klucz tkwi w budowaniu piętrowym, ponieważ są różne płaszczyzny odbioru. Każdy z odbiorców powinien móc odnaleźć coś ciekawego dla siebie. Im inteligentniejszy, wrażliwszy, tym więcej pięter pokona. Jestem przeciwnikiem sztuki elitarnej, gdzie zaczyna się budowanie od czwartego piętra, a schodów brak – w myśl zasady „jak jest za głupi, to niech się douczy”. Mam nadzieję, że *80 lat polsko-niemieckich dziejów teatru w Zielonej Górze. Monografia wg Papkina* będzie pretekstem do podróży w świat teatru. Zarówno teatru rozumianego jako budynek, jak i każdego innego. Nawet jeśli tę podróż rozpoczniemy z parteru.



Algebra przyjaźni

Jest tyle definicji przyjaźni, wszędzie można znaleźć mnóstwo złotych myśli na jej temat. Każdy z nas doskonale wie, czym jest przyjaźń i kim powinien być dla nas idealny przyjaciel. A może tylko wydaje się nam, że wiemy? Gdy trzeba tę jedyną w swoim rodzaju relację między ludźmi opisać słowami, często nam ich brakuje. Myśli płoszą się i ulatują. Przekonujemy się, że jednak trudno jest mówić o przyjaźni. Złościmy się wtedy na siebie, że jesteśmy tacy nieporadni i milczący. Może więc, zamiast na próżno szukać słów, które najlepiej trafiają w sedno – udowodnić przyjaźń matematycznie, posługując się liczbami? Czy da się nieuchwytny fenomen przyjaźni zapaść za pomocą języka algebry?

Antoine de Saint-Exupéry w *Małym Księżu* odmalował jeden z najgenialniejszych i najbardziej wzruszających literackich portretów przyjaźni. Są nimi sceny spotkania głównego bohatera z Lisem. Ich rozmowy, pełne prostoty, są pełne głębi i tajemnicy. Zupełnie tak samo jak matematyczne formuły. Prostota, elegancja i piękno w języku matematyki to kryteria, które bardzo się w tej dziedzinie liczą. Podobnie jak dialogi w książce de Saint-Exupéry'ego – te pozornie proste wzory ujmują i określają coś ledwie uchwytnego, co nasz rozum z trudem jest w stanie sobie wyobrazić i pojąć.

Pitagoras, pytany o to, kim jest przyjaciel, odpowiadał: ten, „który jest drugim ja, tak samo jak 220 i 284”. Przyjrzyjmy się dokładniej: każda z nich, osobno, jest całkiem zwyczajna i nie wyróżnia się

niczym szczególnym z nieskończonego ciągu liczb. Zanim jeszcze Lis zaprzyjaźnił się z Małym Księciem, powiedział do niego: „Teraz jesteś dla mnie tylko małym chłopcem, podobnym do stu tysięcy małych chłopców”. Przyglądając się komuś z daleka, nie widzimy zbyt dużo, bo tylko to, co u wielu innych ludzi. Sami u siebie też nie zauważamy niczego niezwykłego, jak Lis, który mówi: „Jestem [...] tylko lisem, podobnym do stu tysięcy innych lisów”.

Lis bardzo pragnął, aby Mały Książę został jego przyjacielem: „jeślibyś mnie oswoił, moje życie nabrałoby blasku”. Gdy zestawimy razem obie liczby: 220 i 284, okaże się, że one, ze sobą w parze, są już czymś zupełnie innym niż w pojedynkę. Przestają już być liczbami jednymi z wielu, bo razem tworzą coś bardzo niezwykłego. Od tej chwili stają się parą liczb zaprzyjaźnionych. Nie widać tego od razu, że te dwie liczby coś ze sobą łączy, że są zaprzyjaźnione. Trzeba dokonać obliczeń, aby to potwierdzić i tym sposobem zagłębić się w ukrytą tajemnicę obu liczb. „Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu”, dowiadyduje się Mały Książę.

Liczby zaprzyjaźnione, które odkrył Pitagoras, to takie dwie liczby naturalne, gdzie suma dzielników każdej z nich równa się drugiej liczbie. To buduje pomiędzy nimi tajemnicze połączenie o cechach absolutnej doskonałości. Lis tłumaczy istotę przyjaźni Małemu Księciu tymi słowami: „Nie potrzebuję ciebie. I ty także mnie nie potrzebujesz. [...] Lecz jeśli mnie oswoisz, będziemy się nawzajem potrzebo-

* Źródło cytatów: A. de Saint-Exupéry, *Mały Książę*, tłum. J. Szwejkowski, Warszawa 1972.

wać". Pojedyncza liczba też „nie wie”, że być może jest gdzieś druga, niepowtarzalna, jedyna liczba z całego nieskończonego ich ciągu, z którą zostanie zestawiona i dopiero stworzy z nią w parze połączenie idealne. „Będziesz dla mnie jedyny na świecie. I ja będę dla ciebie jedyny na świecie”, wyjaśnia Lis Małemu Księciu. Tak tworzy się więź... „Oswoić znaczy stworzyć więzy”, deklaruje Lis. Dobrze to wiemy z doświadczenia, że gdy obok nas pojawia się ktoś, z kim się zaprzyjaźniamy, swoją obecnością zmienia nasze życie i nas samych.

Policzmy: dzielnikami liczby 284 są: 1, 2, 4, 71 i 142. Gdy je zsumujemy: $1 + 2 + 4 + 71 + 142$, okaże się, że razem dają 220. I odwrotnie – dzielniki liczby 220 to: 1, 2, 4, 5, 10, 11, 20, 22, 44, 55 i 110. Po ich dodaniu: $1 + 2 + 4 + 5 + 10 + 11 + 20 + 22 + 44 + 55 + 110$, otrzymamy 284. Tak liczbami można opisać wzajemność. Co więcej, u obu liczb zaprzyjaźnionych wyłącza się dzielenie liczby przez samą siebie. Tu kryje się tajemnica przyjaźni doskonałej, jest tak, jak gdyby liczby komunikowały sobie wzajemnie swój altruizm: w relacji z tobą ja nie jestem ważna, zapominam o sobie, najważniejsze jest to, by we mnie było jak najwięcej ciebie.

Mały Książę zrozumiał sens przyjaźni z Lisem: „[...] zrobiłem go swoim przyjacielem i teraz jest dla mnie jedyny na świecie”. Jedyny na świecie, wybrany z tysięcy... Nasz przyjaciel jest kimś wyjątkowym i niezastąpionym, a nasza więź z nim jest niepowta-

rzalna – to sprawia, że czujemy się kimś ważnym. To nadaje naszemu życiu szczególne znaczenie i głębszy sens. Mamy oto matematyczny dowód przyjaźni: dwie liczby są zaprzyjaźnione, jeśli każda z nich jest sumą tego, co dzieli tę drugą. Czy to nie zaskakujące, że w języku matematyki, za pomocą liczb można uchwycić to, co w przyjaźni najistotniejsze, a często niemożliwe do wyrażenia słowami: wzajemność, lojalność, wierność, altruizm, empatię?

Prawa i twierdzenia matematyczne są stałe. Nic nie jest w stanie ich zmienić, unieważnić, na jakiś czas zawiesić. Równie trwała i niewzruszona jest przyjaźń. Lis przekazuje Małemu Księciu i tę prawdę: „Stajesz się odpowiedzialny na zawsze za to, co oswoiłeś”. Nie ma żadnej siły, która zerwałaby przyjaźń, choć nieraz przechodzi ona wiele trudnych prób. Matematyczne twierdzenie, które okazuje się fałszywe, nigdy nie było prawdziwe. Przyjaciel, który przestał być przyjacielem – nigdy nim nie był. Ale o tym dowiadujemy się zawsze dopiero po czasie.

W matematyce można odnaleźć sens i sekret przyjaźni. Czy to nie ostatnie miejsce, w którym dokonywalibyśmy takich poszukiwań? Może szkoda, że tak jest – przecież liczby kryją w sobie wiele zagadek. Takie odkrycia stają się czymś absolutnie wyjątkowym, gdy spostrzegamy, że sekrety liczb przenikają się z tajemnicą ludzkiej duszy. W obu tych światach tyle jeszcze pozostaje do odkrycia i zgłębienia.



O drwach i ogniu



Większość tajemnic to tylko prawdy zapomniane

Rajmund Kalicki, *Dziennik nieobecny*

Lubię patrzeć na ogień. Ale mam na myśli ogień, który jest, że tak powiem, oswojony. To znaczy taki, który trawi drwa w piecu, na kominku. Natomiast płomienie pełzające po gałęziach ułożonych w stertę pod gołym niebem (bez względu na to, jak bardzo byłoby ono rozgwieżdżone), nie robią na mnie już takiego wrażenia. Może dlatego, że kojarzą się mi z tymczasowością. Ognisko może być bowiem rozpalone gdziekolwiek. Nie to, co kominek bądź piec, które nie mogą być, tak po prostu, przeniesione. I które nie tylko kojarzą się z trwałością, ale także ją uosabiają (i tak jest od bardzo dawna). Dowodzi tego chociażby wyrażenie: ognisko domowe, które jest tożsame z rodziną, domownikami. Bo niewątpliwie to ogień, który pojawił się w prymitywnych szałasach, zmienił życie ludzi, związał ich z jednym miejscem; przynajmniej związał na dłużej. Wyrazem tego stało się obudowanie z czasem owych ognisk ceglami i kaflami.

Wiele napisano, i to w superlatywach, na temat obserwowania ognia na kominku bądź też przez na wpół otwarte drzwiczki pieca. I jest to jak najbardziej zrozumiałe, gdy weźmie się pod uwagę wspomnianą rolę odegraną i nadal odgrywaną w dziejach ludzkości przez ogień. Jest jednak coraz bardziej wątpliwe, czy nadal tak będzie. Już przecież od kilku dekad obserwujemy zanik jego obecności w naszym najbliższym, dosłownie, otoczeniu. Chociażby za sprawą centralnego ogrzewania, coraz szerszego stosowania czajników i płyt elektrycznych. Ale póki

co, ogień wciąż służy do przygotowywania gorących posiłków, to po pierwsze; daje ciepło, to po drugie; wspomaga człowieka w jego działalności gospodarczej, to po trzecie; dostarcza wspomnianych wrażeń estetycznych, to po czwarte. To, że można czerpać przyjemność ze słuchania trzaskających podczas spalania się drzew, gałęzi, to po piąte (o chorobliwym pociągu do podpalen lub zabaw z ogniem tylko napomykam). Chciałbym jeszcze wspomnieć coś, o czym mógłbym napisać: po szóste. Mam na myśli przyjemność płynącą z rozpalać ognia. Z czym wiąże się, jak najbardziej, władza nad ogniem. Bo nie musimy przecież już strzec go dzień i noc, jak czyniły to westalki w świątyni Westy. I w przeciwieństwie do nich, w razie gdyby zgasł, nie grozi nam chłosta. Do tego dochodzi jeszcze to, że ogień jest symbolem tak wielu spraw. A symbolizuje między innymi wieczność, przyczynę; światło, Słońce, ciepło; Boga Stwórcę, gniew bóstwa, miłość bóstwa; zło, diabelstwo, piekło, karę, prześladowanie; pocieszyciela; mowę; potęgę; pćciowość, płodność. Treści kryjące się za wszelkimi symbolami są już zresztą rodzajem języka na wymiaru. I szkoda, gdyż, jakby nie było, zostajemy o coś zubożeni. A przekaz naszych poprzedników, którzy za pomocą symboli utrwaliли na kartach ksiąg, płótnach obrazów, czy w kamieniu chcieli przekazać pewne treści, będzie czytelny jedynie dla nielicznego grona znawców.

Ognisko domowe i gościnność, także symbolizowane przez ogień, są już chyba ostatnimi symbolami, które wciąż są czytelne dla wielu ludzi żyjących w różnych częściach świata. Z ogniem, chociażby w postaci palącego się na kuchence gazu, wciąż

się bowiem stykamy. Ale nie myślimy o nim tak jak ci, którzy byli dużo wcześniej bądź tuż przed nami. Według nich wokół ognia skupiali się nie tylko członkowie rodziny, rodu, plemienia, lecz także bogowie, duchy i duszki domowe. Było też przy nim miejsce dla gości. To właśnie ze względu na ten fakt ogień uosabia właśnie gościnność. Nie zapominamy też, że obyczaj zapalania na grobach ogni w postaci zniczy, świec, lampek oliwnych, pierwotnie wynikał z chęci „ogrzania” zmarzniętej duszy.

Pocierając zapałkę o draskę (nie tylko jednak wtedy), można przywołać postać Prometeusza, który, sam będąc jednym z nieśmiertelnych, wykrał bogom ogień i nauczył ludzi posługiwać się nim. Naraził się przez to na gniew Zeusa. Za karę został przykuty do zbocza jednego ze szczytów Kaukazu. I codziennie przylatywał do niego orzeł, który wyrwywał z jego ciała wątrobę. Ta zaś każdorazowo odrastała. Od tej męki uwolnił Prometeusza dopiero Herakles, zabijając orła. Natomiast ludzie, za to, że posiedli ogień, zostali ukarani.

W literaturze przykładem wagi przywiązywanej do ognia są liczne fragmenty, uwielbianego przeze mnie *Klubu Pickwicka* Charlesa Dickensa. Wprawdzie jego główni bohaterowie, to znaczy dziewiętnastowieczni dżentelmeni, nie rąbali drzew, ale kominki (zresztą rzadko rozpalali w nich osobiscie) odgrywały ważną rolę w ich życiu. Mając na uwadze tematykę niniejszego szkicu, nie waham się sformułować poglądu, że podróże dylżansami, jakie odbywał pan Pickwick ze swymi przyjaciółmi, to jest panami: Tupmanem, Snodgrassem i Winklem, wiodły od kominka do kominka. Przy czym w tym samym stopniu chodziło o źródło ciepła, co o bardzo istotny element bezpośredniego otoczenia, który przyczyniał się do tego, że także poza własnymi mieszkaniami, na przykład w oberżach, czuli się dobrze. Ogień na kominku sprawia bowiem, iż świat staje się bardziej przyjazny. To dlatego w jego sąsiedztwie, gdy jeszcze dodatkowo w kieliszku jest jakiś znakomity trunek, tak dobrze się słucha opowieści. A te, opowiadane przede wszystkim przez

osoby przygodnie spotkane przez głównych bohaterów, odgrywają w *Klubie Pickwicka* tak dużą rolę. Przykładem może być „Opowieść komiwojażera” będąca częścią rozdziału XIV. Zawiera ona między innymi ustęp dotyczący tego, jak Tom Smart, pewnego zimowego wieczoru, kiedy wiał gwałtowny wiatr i padał zimny deszcz, jechał swą jednokonką zaprzęzoną w bułaną klacz. Aż w końcu, zmęczony, przemoczony i przemarznięty, dotarł do stojącej na pustkowiu oberży, która „miała przyjemny wygląd; z okna w sali wybiegało wesole światło, łyskające na drodze aż do przeciwległego płotu; i inne jeszcze światło, to drżące i słabe, to żywe i jasne, błyszczało spoza zasuniętych firanek okna tejże sali; miła wskazówka, że paliło się na kominie”.

Na marginesie wspomnę, że *Klub Pickwicka* stanowi doskonały przykład cechujących Charlesa Dickensa przyjaznych uczuć wobec bliźnich. Dawał im wyraz nie tylko jako twórcy, należał bowiem do niezbyt liczного grona pisarzy chcących, aby każdy z bohaterów (nie tylko pozytywnych) ich utworów, znalazł w końcu swoje miejsce przy kominku (albo piecu); zarówno w przenośni, jak i w sensie dosłownym.

* * *

Jednak ognia na kominku lub w piecu nie będzie bez polan. A tak się składa, że lubię rąbać drewno na opał. Także dlatego, że bez nich... nie będzie ognia. To, że ta czynność stanowi także ćwiczenie dla mego ciała, jest sprawą marginalną. Rzecz jasna, gdybym dzień w dzień miał do porąbania, przykładowo, pięć metrów sześciennych drewna, i tak przez wiele lat, o rąbaniu pisałbym zupełnie inaczej. W moim jednak przypadku, na szczęście, chodzi o porąbanie wspomnianych pięciu metrów sześciennych w ciągu... wielu, wielu dni. Potem mam spokój na rok. Mogę więc to robić nieśpiesznie, jakby od niechcenia.

Ze sterty kłoców pociętych piłą mechaniczną, na początek niezmiennie wybieram te, które mają najmniejszą średnicę bądź wyglądają na bezszeczne. Chodzi bowiem o to, abym jak najszybciej zobaczył,

* Tłum. Włodzimierz Górski.



spoczywającą obok pnia, przyzwoitej wielkości stertę drew. Gdy ona już jest, wtedy przychodzi pora na te trudniejsze przypadki – kłose grube i z wieloma sękami.

Najbardziej lubię rąbać świerczyne. I to pomimo tego, że właśnie w tym drewnie jest najwięcej sęków sprawiających problemy każdemu rąbiącemu. Rzecz jednak w tym, że to z drewna świerkowego wydobywa się najwięcej żywicznego zapachu. Lecz jeszcze większym plusem, przynajmniej dla mnie, jest to, że podczas spalania się świerkowych polan słychać głośnie i częste trzaski. Takie efekty dźwiękowe nie towarzyszą zamienianiu się w popiół drewna żadnego innego gatunku rodzimego drzewa. Sprawiają one szczególnie przyjemne wrażenie, gdy zmarznętym wróciło się do domu i zajęło miejsce przed kominkiem lub przy piecu.

W domu moich Dziadków częścią kuchennego pieca był tak zwany murek. Gdzie indziej nazywany leżanką. Była to, długa na około półtora metra a szeroka na pół, powierzchnia pokryta gładkimi jasnozielonymi kaflami. Na murku można było siedzieć, opierając się równocześnie o ścianę pieca. I każdą częścią ciała, także nogami, czuło się ciepło. Można też było położyć się na nim. Z tym że tylko dziecko mogło leżeć wyprostowane. Wszyscy inni, w zależności od wzrostu, mieli nogi mniej lub bardziej zgięte, gdy leżeli na wznak bądź podkurczone, kiedy spoczy-

wali na boku. Kontakt prawie całego ciała z ciepłymi albo bardzo ciepłymi kaflami był szczególnie pożądany, gdy bardzo się zmarzło. Szczególnie często z murka korzystała moja Babcia. Zwłaszcza kiedy przed udaniem się na spoczynek, ubrana w szlafrok, jeszcze brała udział w rozmowie, która niezmiennie kończyła dzień. I teraz, kiedy piszę te słowa, widzę ją siedzącą na murku. Z kolei Dziadek kładł się na murku jesienią i zimą, po wykonaniu jakichś prac w obejściu. Pod głową miał wtedy poduszkę. Niekiedy leżąc tak, zapalał papierosa. Za sprawą czasu oba te obrazy, jak zresztą wiele innych, są już trochę niewyraźne. Niestety, ich jakość będzie stopniowo pogarszała się w mojej pamięci.

Przed wielu laty, gdy przyjeżdżałem do moich Dziadków na wakacje, brałem zawsze udział w przygotowywaniu opału. I to nie tylko na zimę. Drewnem paliło się bowiem w piecu kuchennym także po to, aby przygotować posiłek (latem wykorzystywano do tego znajdującą się na zewnątrz tak zwaną kuchnię letnią). W mroźne dni dodatkowo rozpałało się ognie w zgrabnym piecu obudowanym białymi, ozdobnymi kaflami. Stał on w pokoju nazywanym: dużym. Z tym że palono w nim najczęściej drewnem brzoźowym. Było ono używane tylko wtedy. Dawało bowiem najwięcej ciepła, było jednak droższe od sośniny i świerczy.

Popiołu po spalonym drewnie pozostawało niewiele. Wystarczyło wybrać go z popielnika kilka razy w miesiącu (w okresie intensywnego palenia). Zimą posypywało się nim ścieżki wydeptane w śniegu i wszelkie miejsca oblodzone. A propos popiołu, w *Słowniku symboli* Władysława Kopalińskiego znajduje się następująca wzmianka na ten temat: „Popiół wg wierzeń ludowych wzmaga potencję (bo wynika z działania ognia), obdarza potomstwem, zapowiada urodzaj, zwłaszcza jeżeli wzięty z ognisk zapalonych w czasie świąt wspomagających moc Słońca, jak z ogni sobótkowych (w wigilię św. Jana, przesilenie letnie), w wigilię św. Piotra (28 VI), w wigilię Wszystkich Świętych czy na Boże Narodzenie (przesilenie zimowe) [...]”.

Sprawy związane z gromadzeniem opału zaczynały się od tego, że Dziadek mówił do Babci:

– Andzia, muszę wykupić asygnatę.

Słyszając to, Babcia najczęściej stwierdzała:

– Jak trzeba, to trzeba.

Ale niekiedy mówiła:

– Najwyższa pora, Ignacy.

Po otrzymaniu dokumentu potwierdzającego kupno drewna, czyli wspomnianej asygnaty, Dziadek sam, a niekiedy razem ze mną, przygotowywał w lesie drewno do wywózki: pnie oczyszczał z gałęzi i znosił je w jedno miejsce. Następnie, ale to już zawsze razem, wyruszaliśmy do lasu furmanką ciągniętą przez konia maści dereszowatej (preferowanej przez Dziadka). Szczególnie utkwiło mi w pamięci kilkanaście „wizyt” po opał w ostępie leśnym o nazwie Przewroć, położonym bardzo blisko Czarnej Hańczy.

Rósł tam wówczas, czyli w latach siedemdziesiątych XX wieku, dorodny starodrzew.

Składały się nań wysokie, smukłe świerki i sosny. Ich pnie pokryte były gęsto porostami. Ziemię zaś pokrywał jednolity i gruby dywan mchów. To właśnie tam widziałem po raz pierwszy, i jak dotąd jedyny, rysia. Dziadek pokazał mi go w chwili, gdy akurat przeskakiwał ponad drogą, z jednej gałęzi świerkowej na drugą. Poruszały się one jeszcze długo po tym, jak drapieżnik zniknął nam z oczu.

Pewnej zimy tamte drzewa legły pokotem pod ostrzami pił mechanicznych. I nie było tam już po co jeździć. Obecnie na Przewrociu rosną dwudziestokilkuletnie sosny i świerki, a także, nieco od nich młodsze, brzozy. Ale ja pamiętam tamten niezwykle stary las.

Kłody układaliśmy za stajnią, obok miejsca, gdzie stał drewniany kozioł. Potem kładliśmy na nim po jednym pniu, aby pociąć go na kłocce. Praca ta wymagała równoczesnego i równomiernego ciągnięcia za piłę. Umiejętności tej nabrałem dopiero po pewnym czasie.

Rąbiąc drwa, niejednokrotnie powracam do tamtych, coraz bardziej odległych czasów, gdy mojemu Dziadkowi pomagałem w gromadzeniu opału. Powracam do nich między innymi za sprawą dziadkowej siekiery o ciężkim ostrzu. Używam jej



czasami. To znaczy wtedy, kiedy mam do czynienia ze szczególnie opornymi kłocami. Wprawdzie od czasu, gdy ostatni raz użył jej Dziadek, trzonek był już kilkakrotnie wymieniany, ale samo ostrze jest tym, które On wielokrotnie miał w rękach.

To Babcia rozpałała ogień w kuchennym piecu. Najpierw otwierała szyber w przewodzie kominowym. I zaraz potem wkładała do pieca palący się smolniak, czyli niewielkie drewnienko nasyczone żywicą. A gdy cały zajął się ogniem, kładła na nim dwa, trzy niewielkie polana. Kiedy i one już płonęły, dokładała jeszcze kilka dodatkowych, większych.

Dom Dziadków od dziesięciu lat jest opuszczony. Najpierw Babcia otrzymała propozycję nie do odrzucenia, aby z rana rozpałała ogień w Kuchni Niebiańskiej. Dwa lata później Dziadek został wezwany, żeby przygotowywał opał w Lesie Edeńskim.

Odkąd w domu Ich nie ma, nie wchodzi do środka. Nic bowiem nie jest w nim takie, jakie było.

W moich wspomnieniach związanych z Dziadkami, często obecne są ogień i drwa.

Zupełnie mnie to nie dziwi.

Andrzej Buck

II edycja Kozzi Gangsta Film – retrospekcja

Wydawało się w ubiegłym roku, że do 20 czerwca 2013 jest dużo czasu.

Zaczęliśmy pracować... Burmistrz Kargowej, Lubuskie Stowarzyszenie Miłośników Działań Kulturalnych DEBIUT, Urząd Gminy, GOK – Kargowa, Biblioteka Norwida. Za tymi instytucjami stoją ludzie, wspaniali. No i mogliśmy znów zaprosić Państwa do Kargowej. Na drugą edycję...

Kargowski Festiwal stał się unikatowym, nowoczesnym wydarzeniem o zasięgu ogólnopolskim.

Kargowa Czekoladowa... Teraz Kargowa Filmowa i Teatralna... Zaprosiliśmy zatem wszystkich do Kargowej na drugą już edycję Festiwalu Filmu i Teatru Kozzi Gangsta Film. Co cechuje Kargową? Tu nie tylko można spotkać gwiazdy. Tu rozmawia się o kinie i teatrze. Warto dodać, dzięki twórczej współpracy z Łukaszem Maciejewskim, krytykiem filmowym i teatralnym. Także dzięki partnerstwu z Cottbus FilmFestiwal i Staatstheater Cottbus. Otrzymaliśmy ważne informacje od Andreasa Steina, menadżera FilmFestival Cottbus. Drugi co do wielkości (po berlińskim), niemiecki festiwal filmowy był już po raz drugi oficjalnym partnerem Kozzi Gangsta Film. Również w tym roku pasjonaci kina z Niemiec aktywnie włączyli się w organizację naszej imprezy:

Cieszymy się, że znów możemy być partnerem Kozzi Gangsta Film und Theaterfestival i z przyjemnością przyjmujemy Państwa zaproszenie. Roland Rust jest chory, ja przebywam we Włoszech. Dlatego też będziemy reprezentowani przez pana Eberharda Nahly. Należy on do generacji założycieli

Andrzej Buck

Kozzi Gangsta Film II im Rückblick

Im letzten Jahr dachten wir, dass es bis zum 20. Juni 2013 noch sehr viel Zeit gibt.

Und dann fingen wir mit den Vorbereitungen an: der Bürgermeister von Kargowa, Lubuser Kultur-Verein DEBIUT, der Gemeinderat, das Kommunale Kulturzentrum in Kargowa, die C.-Norwid-Bibliothek. Hinter diesen Institutionen stehen Menschen, wunderbare Menschen.

Und nun konnten wir Sie wieder nach Kargowa einladen. Zur zweiten Ausgabe. Das Festival in Kargowa wurde zu einem einzigartigen, modernen Event von landesweitem Wirkungsgrad.

Die Schokoladenseite von Kargowa (dt. Unruhstadt) kennen wir schon. Nun kamen noch die Film- und Theaterakzente dazu. So haben wir nach Kargowa zur zweiten Edition des Film- und Theater-Festivals „Kozzi Gangsta Film“ eingeladen. Was



Maria Sadowska i Łukasz Maciejewski

naszego Festiwalu i jako współpracownik zarządu miasta Cottbus w Biurze Nadburmistrza jest odpowiedzialny za kontakty międzynarodowe. Pan Nahly poprowadzi osobiście prezentacje nagrodzonych u nas w ubiegłym roku filmów np. zdobywcy Nagrody Głównej FilmFestival Cottbus 2012 film Marii Sadowskiej *Dzień Kobiet*. Powie też kilka słów o festiwalu w Cottbus i o naszym młodym partnerstwie (Andreas Stein Festival Manager).

Pokazaliśmy w tym roku szereg ciekawych, i co ważne, najnowszych filmów. Cykl „Kaskaderzy”, cykl bliżej sensacji i prowincji „Prowincja lubi sensację”, cykl Pokolenie Facebooka „Zalajkuj kino!”, cykl kryminalny „Z gangsterem nie dyskutuj! Oglądaj!” i inne.

W ramach spotkań z polskim młodym kinem w cyklu „Zalajkuj kino” gościliśmy reżyserów, m.in.: Marysię Sadowską, Kasię Roślaniec, Anię Wieczur-Bluszcz.

Udało się zaprosić dla Państwa kolejne festiwalowe gwiazdy. „Gangsterskie rozmowy na szczycie” w Cafe Film gościli m.in. Stanisława Mikulskiego, Zbigniewa Buczkowskiego, Michaela Beckera, Małgośię Pritulak, Piotra Machalicę.

Gwiazdą Festiwalu była niewątpliwie aktorka Grażyna Szapołowska. Także jej książka. Podobnie Piotr Machalica z koncertem *Moje chmury płyną nisko* i Lech Dyblik. Ten znakomity aktor przywiózł do Kargowej z Odessy Aleksieja Siemieniszczewa. Zagrali jako Rosyjski Kwartet Literacki. Romanse rosyjskie i rosyjską piosenkę poetycką lat sześćdzie-

macht aber Kargowa aus? Man kann hier nicht nur Filmstars begegnen, hier diskutiert man auch über das Kino und Theater; nicht zuletzt dank kreativer Zusammenarbeit mit dem Film- und Theaterkritiker Łukasz Maciejewski und der Partnerschaft mit FilmFestival Cottbus und Staatstheater Cottbus. Wichtige Hinweise haben wir auch von Andreas Stein, Manager des FilmFestivals Cottbus, erhalten. Dieses zweitgrößte deutsche Filmfestival (nach dem Berliner) war zum zweiten Mal offizieller Partner von „Kozzi Gangsta Film”. Auch in diesem Jahr beteiligten sich deutsche Cineasten aktiv an der Organisation unserer Veranstaltung:

„Wir freuen uns, dass wir wieder Partner von Kozzi Gangsta Film- und Theaterfestival sein dürfen, und mit Freude nehmen wir die Einladung an. Roland Rust ist krank, und ich bin in Italien, deswegen wird uns Eberhard Nahly vertreten. Er gehört zu der Gründergeneration unseres Festivals und als Mitarbeiter des Bürgermeisteramtes in der Cottbuser Stadtverwaltung ist er für internationale Kontakte zuständig. Herr Nahly wird persönlich die im letzten Jahr ausgezeichneten Filme vorstellen, wie z.B. den Gewinner des Hauptpreises auf dem FilmFestival Cottbus 2012, den Film von Maria Sadowska *Dzień Kobiet* (Frauentag). Auch stellt er das Cottbuser Festival und unsere neue Zusammenarbeit vor.” (Andreas Stein Festival-Manager).

In diesem Jahr stellten wir eine Reihe interessanter, und vor allem auch neuester Filme vor: der



Kasia Roślaniec



Ania Wieczur-Bluszcz

siątych. Program oparty na twórczości Aleksandra Galicza, Bułata Okudzhawy, Władimira Wysockiego. Wreszcie Arkadiusz Janiczek.

W Kargowej zagościły najciekawsze polskie teatry. Warszawska Rampa z gangsterskim spektaklem Witolda Mazurkiewicza (na klawiszach grał sam Wiesław Pieregórólka) czy legnicki Teatr Modrzejewskiej Jacka Głomba ze spektaklem Marcina Libera. Uczta dla koneserów.

Dla mieszkańców specjalne przedstawienie kabaretowe *Popijalnia czyli prawdziwa komedia* Roberta Górskiego z udziałem Mikołaja Cieślaka z Kabaretu Moralnego Niepokoju oraz Arkadiusza Janiczka i Jakuba Wieczorka.

Mieliśmy też własną premierę. W ramach projektu Przystanek Teatralny Stacja Agatha Christie w cyklu *A o północy w Kargowej...* odbyła się PREMIERA TEATRALNA FESTIWALU. Teatr – Czytelnia Dramatu.PI o godzinie 24.00 zaprezentował adaptację Witolda Gombrowicza *Iwona czyli te okropne godziny* (reż. Zdzisław Wardejn i Andrzej Buck, z udziałem Zdzisława Wardejna, Andrzeja Nowaka i Marty Bielewskiej).

Na Przystanku Teatralnym Stacja pokazały się teatry offowe (to nowość!): Hanoch Lewin, *Udręka życia* (reż. Roman Krzywotulski), Teatr Drewniana Kurtyna z Żar; *Bez wstydu* (reż. Dariusz Kamys), Teatr Wielki, Cigacice; Dorota Masłowska, *Między nami dobrze jest*, reż. Małgorzata Kazińska, Małgorzata Paszkier-Wojcieszonek, grupa teatralna PiiiP z Zielonogórskiego Ośrodka Kultury.

Zyklus „Kaskaderzy” rund um die Spannung und das Provinzleben „Prowincja lubi sensację” (Die Provinz mag Spannung) sowie Generation Facebook (Poko-
lenie Facebooka) in der Reihe „Wir liken Kino!” und die Krimireihe „Z gangsterem nie dyskutuj! Oglądaj!” (Diskutier nicht mit einem Gangster! Schau zu!) und andere.

In der Reihe des jungen polnischen Kinos „Zalaj-
kuj kino” hatten wir unter anderem Regisseurinnen wie Marysia Sadowska, Kasia Rosłaniec und Ania Wiczur-Bluszcz zu Gast. Es ist uns ebenso gelungen, weitere Kinostars für Sie einzuladen. Zum „Gipfel-
treffen der Gangster” im Café Film erschienen Stanisław Mikulski, Zbigniew Buczkowski, Michael Becker, Małgosia Pritulak und Piotr Machalica.

Doch die Top-Filmstars des Festivals waren Gra-
żyna Szapołowska mit ihrem Buch, Piotr Machalica mit seinem Konzert *Moje chmury płyną nisko* (Meine Wolken ziehen tief dahin) und Lech Dyblik. Dieser hervorragende Schauspieler brachte aus Odessa Aleksei Siemieniszczew mit. Sie traten als Russisches Literarisches Quartet auf, mit russischen Romanzen und Chansons aus den 60er Jahren von Aleksandr Galitsch, Bulat Okudzhava, Wladimir Wyssozki. Und schließlich Arkadiusz Janiczek.

In Kargowa traten die interessantesten polni-
schen Theater auf: die Warschauer „Rampe” mit dem Gangsterstück von Witold Mazurkiewicz (am Klavier Wiesław Pieregórólka) oder das Modrzejew-
ska-Theater aus Legnica (Liegnitz) von Jacek Głomb



Stanisław Mikulski



Zbigniew Buczkowski



Grażyna Szapołowska

Kargową odwiedzili autorzy sensacyjnych powieści: Mariusz Czuba, Zygmunt Miłoszewski, Joanna Jodełka i Krzysztof Koziołek. Pierwsza trójka to laureaci Nagrody Wielkiego Kalibru za najlepszą powieść kryminalną, Zygmunt Miłoszewski nominowany był też do Paszportu Polityki. To też nowość. Odbyło się dwudniowe Seminarium kryminalne „Kry-



www.wimbp.zgora.pl



Być jak Frank Sinatra, Teatr Rampa

mit dem Stück „Uczta dla koneserów” (Ein Mahl für Kenner) von Marcin Liber.

Für die Einwohner von Kargowa gab es eine spezielle Kabarett-Vorführung „Popijalnia czyli prawdziwa komedia” (Die Trinkhalle – eine echte Komödie) von Robert Górski mit Miłoj Cieslak vom „Kabaret Moralnego Niepokoju” (Das Kabarett der moralischen Unruhe) sowie mit Arkadiusz Janiczek und Jakub Wiczorek.

Wir hatten auch unsere eigene Premiere: Im Rahmen des Projektes „Theater-Haltestelle Agatha Christie” Reihe „Und um Mitternacht in Kargowa...” fand die Theaterpremiere des Festivals. Theater – Czytelnia Dramatu.pl (Leseraum Drama) zeigte um 24.00 Uhr das Stück von Wiktor Gombrowicz „Iwona



Udręka życia



Arkadiusz Janiczek, Mikołaj Cieślak i Jakub Wierczok

minaliści w Kargowej...". Dzień pierwszy – Główni świadkowie oskarżenia: Zygmunt Miłoszewski i Joanna Jodełka, przesłuchanie poprowadził Krzysztof Koziołek. Drugi – Dlaczego kryminał może nam się odbić potężną czkawką? W literackim ringu Mariusz Czuba i Krzysztof Koziołek. Odbły się „Kryminalne szranki”, czyli pisanie kryminałów na żywo z udziałem widzów.

Zaprosiliśmy Was do kilku uroczych miejsc w naszym festiwalowym mieście. Sami nieustannie odkrywamy te miejsca na nowo. Miejsca prezentacji: Dworzec PKP – *Przystanek Teatralny Stacja Agatha Christie*, Mediateka Światowid – *Kino Sherlock Holmes*, Gminny Ośrodek Kultury – *Kino Ojciec Chrzestny*, Ekran przy Ratuszu – *Kino Vabank*, Restauracja



Iwona czyli te okropne godziny

oder die furchtbaren Stunden" (Regie von Zdzisław Wardejn und Andrzej Buck mit Zdzisław Wardejn, Andrzej Nowak und Marta Bielewa).

An der Theater-Haltestelle stellten sich Off-Theater vor (das war neu!): Hanoch Lewin *Udręka życia* (Die Qual des Lebens, Regie von Roman Krzywotulski) vom Theater Drewniana Kurtyna (Hölzerner Vorhang) aus Żary; *Bez wstydu* (Schamlos, Regie von Dariusz Kamys) vom Teatr Wielki Cigacice (Das Große Theater in Cigacice); Dorota Masłowska *Między nami dobrze jest* (Zwischen uns ist alles in Ordnung, Regie von Małgorzata Kazińska und Małgorzata Paszkier-Wojcieszonek) von der Theatergruppe „Piipi” von Zielonogórski Ośrodek Kultury (Kulturzentrum Zielona Góra).



Między nami dobrze jest



„Kryminalne szranki”



Główna nagroda dla najlepszego filmu akcji – Maria Sadowska

Maraton – *Kino Déjà Vu*, Sala Sesyjna w Ratuszu – *Kino Gangsterzy i Filantropi*, Sala gimnastyczna w Gimnazjum – *Kino Utalentowany Pan Ripley*.

Szczególnie dumni jesteśmy z nowej szaty budynku dawnego kina Światowid, który dzięki pozyskanym przez Gminę środkom z Programu Instytutu Książki stał się nowoczesną biblioteką multimedialną Mediateka Światowid. Tu odbyły się dwa popołudnia z poezją: *Tuwim wstawiony*, scenariusz i przygotowanie Andrzej Buck, z udziałem

Nach Kargowa kamen Krimi-Autoren: Mariusz Czubaj, Zygmunt Miłoszewski, Joanna Jodełka und Krzysztof Koziółek. Alle vier wurden mit dem „Preis des Großen Kalibers“ für den besten Krimi-Roman ausgezeichnet, Zygmunt Miłoszewski war zum „Passport Polityki“ (Polityka-Passport) nominiert. Das war auch neu.

Es gab ein zweitägiges Krimi-Seminar „Kriminelle in Kargowa“. Tag 1 – Hauptzeugen der Anklage: Zygmunt Miłoszewski und Joanna Jodełka; die Vernehmung unter der Leitung von Krzysztof Koziółek. Tag 2 – „Warum kann ein Krimi einen riesigen Rülpsen verursachen?“, in literarischer Arena Mariusz Czubaj und Krzysztof Koziółek. Im Rahmen des „Kriminellen Wettbewerbs“ wurden live und zusammen mit Zuschauern Krimis um die Wette geschrieben.

Wir haben Sie zu einigen Orten in unserer Festivalstadt eingeladen. Wir entdecken diese Orte immer wieder und aufs Neue. Dazu gehören Dworzec PKP – *Przystanek Teatralny Stacja Agatha Christie* (Der Bahnhof – Theater-Haltestelle Agatha Christie), Mediateka Światowid – *Kino Sherlock Holmes*, Gminny Ośrodek Kultury (*Kommunales Kulturzentrum*) – *Kino Ojciec Chrzestny*, Ekran przy Ratuszu (Leinwand am Rathaus) – *Kino Vabank*, Restauracja Maraton – *Kino Déjà Vu*, Sala Sesyjna w Ratuszu (Sitzungssaal im Rathaus) – *Kino Gangsterzy i Filantropi*, Sala gimnastyczna (Sporthalle) im Gimnazjum – *Kino Utalentowany Pan Ripley*.



Kino Sherlock Holmes



Nagroda za najlepsze kreacje drugoplanowe – Lech Dyblik



tem Małgorzaty Pritulak, Zdzisława Wardejna i aktorów zielonogórskich oraz Różewicz, scenariusz i przygotowanie Andrzej Buck, z udziałem Zdzisława Wardejna, Andrzeja Nowaka oraz hardcore'owego zespołu Sophie Scholl.

Miło mi przypomnieć, że konkursowe jury II Festiwalu Filmu i Teatru Kozzi Gangsta Film pod przewodnictwem Zdzisława Wardejna zdecydowało o przyznaniu głównej nagrody dla najlepszego filmu akcji, obrazowi *Dzień Kobiet* w reżyserii Marii Sadowskiej. Nagrodę za najlepsze kreacje drugoplanowe postanowiono przyznać Lechowi Dyblikowi. Nagroda młodzieżowego jury za najlepszy film akcji dla *Pokłosia* w reżyserii Wiesława Pasikowskiego.

Przypomnijmy nazwiska: Buczkowski, Dyblik, Janiczek, Machalica, Mikulski, Pritulak, Pieregórka, Szapołowska, Wardejn, Sadowska, Dawid, Roślaniec, Wieczur-Bluszcz, Janiczek, Liber, Maciejewski, Siemieniszczew.

Autorem plakatu jest Aga Migdałek. Strony internetowej – red. Janusz Życzkowski. Spotkania z filmem i teatrem, muzyką, poezją i prozą kryminalną, cztery dni, sześć scen, dziesiątki spotkań, warsztaty – to istota Kozzi Gangsta Film. Festiwal Filmu i Teatru Kargowa 2013.

Besonders stolz sind wir auf den neuen Look des ehemaligen Kinos „Światowid“, welches mit finanziellen Mitteln des Programms des Buchinstituts (Instytut Książki), die die Gemeinde gewinnen konnte, zu einer modernen multimedialen Bibliothek (Mediateka Światowid) geworden ist. Hier fanden zwei Poesie-Nachmittage statt: *Tuwim wstawiony* (Beschwipster Tuwim), Drehbuch und Regie Andrzej Buck mit Małgorzata Pritulak, Zdzisław Wardejn und Schauspielern aus Zielona Góra, sowie *Różewicz*, Drehbuch und Regie Andrzej Buck mit Zdzisław Wardejn, Andrzej Nowak und der Hardcore-Gruppe Sophie Scholl.

Die Jury des Wettbewerbs des 2. Film- und Theater-Festivals „Kozzi Gangsta Film“ unter der Leitung von Zdzisław Wardejn zeichnete mit dem Hauptpreis den besten Actionfilm *Dzień Kobiet* von Maria Sadowska aus. Für die beste Nebenrolle wurde Lech Dyblik ausgezeichnet. Die Jugendjury vergab den ersten Preis für den Actionfilm an *Pokłosie* von Wiesław Pasikowski.

Hier noch einmal all die Namen: Buczkowski, Dyblik, Janiczek, Machalica, Mikulski, Pritulak, Pieregórka, Szapołowska, Wardejn, Sadowska, Dawid, Roślaniec, Wieczur-Bluszcz, Janiczek, Liber, Maciejewski, Siemieniszczew.

Das Plakat für das Festival gestaltete Aga Migdałek, die Internetseite erstellte Janusz Życzkowski. Begegnungen mit Film, Theater, Musik, Kriminal-Poesie und -Prosa, vier Tage, sechs Bühnen, Duzende von Treffen, Werkstätten – das machte „Kozzi Gangsta Film“ Film- und Theater-Festival Kargowa 2013 aus.

Übersetzung von Renata A. Thiele

RECENZJE I OMÓWIENIA

Poetyckie ukorzenianie doświadczeń

Ireneusz Szafranek, *Ukorzenieć ponadczasowe*, Urząd Gminy Pępowo, Pępowo 2013, 96 s.

Właśnie ukazał się najnowszy – czternasty tomik wierszy Ireneusza Szafranka zatytułowany *Ukorzenieć ponadczasowe*. Poeta pochodzi z Wielkopolski z powiatu gostyńskiego, jednak od dwóch lat związany jest z zielonogórskim oddziałem Związku Literatów Polskich.

Najnowszy zbiór poezji to wysublimowany przewodnik po krętych ścieżkach ludzkiego umysłu i duszy. Przewodnik w formie zapisków ulotnych stanów emocji, doznań, uczuć, a także wyobrażeń i refleksji autora. Wierszy Szafranka nie da się czytać tzw. jednym tchem. Mimo że każdy utwór stanowi raptem zapis kilku strof, nie można przejść nad nimi szybko, w biegu, bez zastanowienia. Świat racjonalnych i duchowych przeżyć i obserwacji poety każe czytelnikowi zatrzymać się, pochylić z pokorą nad przemyślanie ułożonym słowem i zastanowić.

Szafranek serwuje czytelnikowi swoisty autorski eskapizm, ucieka w światy dwuznaczne, umysłowe zawitości, labirynty duszy, próbuje godzić świat materialny z nadrealnym. I nie znajdziemy tu niezgody na życie, swoistego buntu, czy choćby cienia dezaprobaty. Wręcz przeciwnie, poeta patrzy na wszystko w sposób wyważony, pogodzony, bez słowa skargi. Z jednej strony przywdziewa kostium mędrca, patrzy na rzeczywistość przez szkielko, jest niczym poeta-doctus, z drugiej zaś „nic nie jest mu obce”, realność odbiera mentalnie i sensorycznie. Jego wrażliwość i pojmowanie świata sprawia, że

w oglądzie egzystencji jest niczym medium łączące dwa światy – materialny i nadrealny. Takie też wymowne, acz filozoficzne credo artysty nosi tytuł książki, bowiem życzenie „ukorzenia”, a więc za-trzymania niematerialnych bytów jest niemożliwe. Może być tylko prośbą, życzeniem, marzeniem... i świadomość niepokodzenia tych dwóch światów dominuje w wierszach Szafranka.

Zbiorek wierszy autora *Ukorzenieć ponadczasowe* podzielony jest na trzy rozdziały – *Zwołuję słowa*, *Dziewczyna z wiolonczelą* i *Wolni w pocatunkach*. W pierwszym zostały pomieszczone utwory dotykające „stwarzania” poezji. Owo „zwoływanie słów” ma rozpalić poezję, obudzić jaźń, otworzyć serce, sprawić, aby poprzez upływ czasu i sam akt twórczy nastał dla artysty „czasu wypłynięcia”:

zwołuję słowa
które zebrały we mnie
wszedłem na wzgórze i stoję
to mój czas wypłynięcia
tęskniłem by go przyjąć [...]

Kwestię czasu, a właściwie jego upływu i próbę pogodzenia się z nieuniknionym, porusza poeta także w lirycznym tekście *Już wiem*:

czas niczym walec
jak okiem sięgnąć

podcina żyły
mógłbym obdzielić
otwarcie i zamknięcie
już teraz jednak
chodzi spacerkiem
na smyczy nadziei
dotykając powoli
rozpaczy żalu i bezsilności
a zaczyna się i kończy
krzyżkami

Drugą część zbioru otwiera tytułowy wiersz *Dziewczyzna z wionolenczelą*, w którym poeta nie tylko wyraża tęsknotę za czasem minionym, ale prowadzi z tym czasem osobisty dyskurs, nieco filozoficzny, po trosze metafizyczny, niekiedy wręcz teologiczny. Wiersze znajdujące się w tej części mają charakter rozliczeniowy podmiotu z jego powoli przemijającym życiem, a zarazem są swoistą prekognicją, patrzą z pokorą w przyszłe pośmiertne bytowanie. W życiu wiecznym podmiot liryczny widzi nadzieję na kontynuację twórczości w „ogrodach niebieskich” Boga, a póki co – w życiu doczesnym musi mu wystarczyć radość czerpana z wiary. Taki pogląd wyraża poeta w utworze *Nie tak odległy punkt*:

wieczne odbicie Pana
gdzie okiem sięgniesz
i moja dusza
w nim się przegląda
warto było się urodzić
cierpieć zaprawdę warto było
by ujrzeć na tle falujących obłoków
w drodze ku śmierci
niedomkniętą furtkę
do ogrodów niebieskich
zamieszkać oczyszczony
tworząc kolejne wiersze
w nie tak odległym punkcie
znam radość
czerpaną z wiary

W innych lirykach na plan pierwszy wysuwa się wizja wędrówki, zmagania nie tylko z przestrzenią, ale właśnie z czasem i językiem. Owa peregrynacja

przez czasoprzestrzeń, zarówno minioną i teraźniejszą, stanowi w efekcie pochwałę życia, obserwowanego z ogromnym dystansem, w którym po-brzmiewa i szacunek, i akceptacja poety. Tak dzieje się w wierszach *Milion dróg*, *Utracone ogrody*, *Innym językiem*, *Kruczość wokół*, *Opuszczone krzesło*, *Chwilowe skrzydła*. Znaleźć tu można również poetyckie miniatury przypominające paremie, jak w wierszu *Udzielenie miłości*, które mogłoby stanowić liryczne credo artysty:

doświadczenie
tylko dlatego
rządzi światem
że obojętnie
i tylko przy okazji
udziela miłości

W ostatniej części tomiku Szafranka obok retrospektywnych podróży do źródeł czasu towarzyszą nam motywy miłosne. Ale oblubienicą jest nie tylko kobieta, może nią być kosmos, cud, kapliczka, polana, pałac, obraz, wiersz, a zatem wszystko, gdzie można dostąpić uczuć wyższych. Miłości wiernie towarzyszy też samotność i to zarówno ta fizyczna, jak i duchowa. W wierszu *Coś mnie ubiegło* podmiot wprost wyznaje swoje lęki:

gdy odejdę
w zakurzonym grobie
pozostanie lęk
że coś mnie ubiegło
kończy się dzień
nikt na mnie nie czeka
nie znajduję sobie miejsca [...]

Podobny trop odnaleźć można w wierszu *Tak blisko*, gdzie podmiot w kosmicznej otchłani poszukuje odpowiedzi na odwieczne sekrety wszechświata:

wiernie wpatrzona
kołyszająca się na gwiazdzie
tajemnica świata
kroczy w przepaść
na przekór lub według uznania

i choć mija następną stację
nie doganiam jej
słyszę pocałunek
odbity od ściany
tak blisko

Wiersze Ireneusza Szafranka choć czasami melancholijne, nieraz mogą wydać się nawet sentymentalne i kliwne, to nie są łatwe w odbiorze, mimo że autor nie stosuje jakichś wyszukanych metafor, nie gromadzi misternych epitetów i daleki jest od zbędnej ornamentyki. Nie stawia pytań, za to częściej stara się odpowiadać i to nie wcale na łatwe

pytania. Nie jest to poezja prosta, choć – to zabrzmiałoby dziwnie – jej urok tkwi w prostocie. Język poetycki nie jest skomplikowaną formą estetyczną, poeta nie szuka też wydumanych odniesień. Jej siłą jest symplistyczna forma, zrównoważona ekspresja i przede wszystkim autentyczność, zarówno w obrazowaniu świata, jego koncepcyjnym pojmowaniu, jak również w odczuwaniu, w opisie przeżyć, emocji i doświadczeń. Za każdym razem zmusza do refleksji, każe się zatrzymać, zastanowić i pewnie niejednokrotnie sięgnąć po nią raz jeszcze.

Robert Rudiak

Kryształ i otoczaki

Adam Boleśław Wierzbicki, *Po przejściach*, wyd. autorskie, Dłuzek 2013, 37 s.

Powiaდაł Andrzej K. Waśkiewicz, że jest coś magicznego w śledzeniu rozwoju poety, z wiersza na wiersz, z tomiku na tomik; wreszcie, jak „zyciopisanie” przepoczwarza się w liryczną wizję świata. Twórczość Adama Wierzbickiego znam od samego początku, kiedy to „konfesonatem” podmiotu mówiącego był wyjątkowo knajpiany szynkwas; później, gdy za jedyny życiowy horyzont „robiły” więzienne kraty, a psy miały wyjątkowo „niebieską sierść”. Teraz, gdy poeta okrzepł, dojrzał i zwyczajnie się... zestarzał, nie wstydi się nawet czułości i pozornego banału, choćby w przyglądaniu się „egzystencjalnej krzątaninie” własnych rodziców, których (oczywiście!) się kocha. Ale to tylko naskórkowa *quasi*-diagnoza, wysnuta z lektury pojedynczych tekstów, najczęściej... konkursowych. Bo o ile jeszcze nie tak dawno temu Wierzbicki „składał” swoje tomiki dość spontanicznie; raczej namiętnie, motywowany emocjami; bardziej tym, co wiersz „wysławia”, niż tym jak to się „wysławia” – to nagle w tych dwudziestukilku *Autoportretach* zaczął... „tropić”; co znaczy tyleż formalne „zużywanie” tropów poetyckich, co równie „śledzenie” własnych

rysów w ogólnym, jakby pointylistycznym zlepku tzw. układu społecznego.

Książka składa się więc z samych autoportretów, niemniej każdy jest dopowiedziany opisowo już w tytule. Można zapytać: po co więc ten monotony, powtarzany jak echolalia schizofrenika motyw „autoportretu”? Odpowiedź jest prosta, jak forma portretów trumiennych: taka konwencja. Wierzbicki dojrzał już do przewartościowania albo tylko „przekomarzania” się z konwencją. Wiersze pozornie wyglądają tak samo. Później podmiot mówi ciągle o tym samym: niby o sobie. Później wszystko jest dość komunikatywne (niby-proste). A jednak, gdzieś w „niedookreśleniach” językowych i formalnych czai się jakaś głębsza albo poetycko pogłębiona tajemnica. Mówiąc prościej: są to wiersze, które może czytać z satysfakcją zarówno ktoś, kto pierwszy raz w życiu czyta wiersze, jak i ktoś, kto „żyje” z interpretowania literatury.

Najważniejsze (jednak) pytanie brzmi: kim jest podmiot mówiący Wierzbickiego. To, że jest nim być może sam poeta, byłoby zbyt łatwe; chociaż w „lirycznej osobistej” jest to naturalne. Zbyt naturalne jak

na autora kilku (już) tomików. Otóż podmiot liryczny Adama Wierzbickiego to człowiek „zużyty”, trochę „przetracony” przez tzw. życie, człowiek „niezrealizowany” (w powszechnym mniemaniu), cokolwiek samotny (bo „jacyś” ludzie otaczają go na co dzień), jednak w egzystencjalnym bilansie zostaje zawsze sam naprzeciw bodaj... lustra (wewnętrznego), skoro nazywa tę poetycką petryfikację autoportretami. A jednak pomimo tego „zmarginalizowania” albo przewartościowania niby-negatywnego usytuowania w świecie, ocala wartości uznawane powszechnie za... pozytywne. Ot choćby dość koncepcyjnie „rozgrywając” zbanalizowaną opozycję „być-mieć” w wierszu otwierającym tomik („nie są/ tylko niekiedy bywają; tym, którzy/ mają a nie są”). W pierwszej części cytowanego wiersza mówiąc o ludziach, którzy „otaczają” poetę (podmiot liryczny); w drugiej części cytatu mówiąc o ludziach, których... nie akceptuje. Taką formułę „rozklepywania” – nomen omen – oklepanych figur poetyckich Wierzbicki chętnie powtarza, choćby w *Autoportrecie (impresjonizm)* („Byłem wszędzie/ i jednocześnie nie byłem nigdzie/ znałem wszystkich/ lecz naprawdę nikogo nie znałem”), a skoro „powtarza”, to znaczy, że jest to świadomy zabieg niejako pastiszowania obiegowych postrzeżeń, zlepsów językowych albo wręcz po prostu zwyczajnych frazesów, które tylko bardzo rzadko pobrzmiwają nieco szlachetniej jako frazeologizmy.

Powtórzenia to często stosowany przez Wierzbickiego chwyt literacki, czasami jest to klasyczna anafora; zdarza się, że powtórzenie anaforyczne staje się osobiwą „strofką”, choćby jednym słowem, jak w *Autoportrecie w knajpie*, gdzie jedno słowo *klin* powtarza się za każdym razem, kiedy wraca... kac – w tym wypadku... życiowy. I konsekwentnie, skoro poeta zastosował już nie pojedynczą metaforę, ale cały tekst jest alegorią, pojawia się „adekwatna” pointa (*Boże ja chyba nigdy nie wytrzeźwieję*). Zresztą Wierzbicki z zasady nie jest wierny kanonicznym formom tropów poetyckich. Jeśli więc pojawia się anafora, to osobiwa, niepodręcznikowa; metafory demaskują się wsobnie, jako zbanalizowane, oklepiane, zasłyszane; a jeśli pojawia się na przykład dystych (choćby w *Autoportrecie w tłumie*), to jest

to dystych złamany pojedynczą linijką na końcu wiersza. Więcej: Wierzbicki nie unika „niebezpiecznych” zestawień mianownikowo-dopełniaczowych („samochód życia”; „klepsydra przemijania”; „ziarnka dni”; „kalendarze lat”), ale nagromadzenie ich w jednym wierszu (*Autoportret na tle zegara*) daje do myślenia. Jest w tym jakaś celowość, głębsza intencja, może chęć sprowokowania tzw. wymagających czytelników (czytaj: krytyków), boć przecież to znowu... takie proste, wręcz banalne. Tak jak niezbyt wyszukane (można pomyśleć o internetowej wyszukiwarce) są postacie ze świata sztuki, filozofii i nauki antycznej „użyte” w wierszu *Autoportret antyk*, chociaż trzeba przyznać, że postacie, choć „oklepane”, to już „rozklepywanie” Wierzbickiego nacechowane jest, jeśli nie szyderstwem, to już na pewno ironią.

W ogóle można odnieść wrażenie, że w tych *Autoportretach* widzimy trochę wykrzywioną twarz autora, który daje czytelnikowi intelektualne fory, podpuszczając go niby-powierzchnową wiedzą o świecie, osobiwie szczątkową znajomością teorii wiersza, po to by na końcu tego „portretowania” wynieść jako naczelną ideę zwyczajną pokorę. *Autoportret z krzyżem na barkach* sublimuje właśnie tego rodzaju uкорozenie podmiotu mówiącego. On rozumie, dlaczego cierpi. Że to ma jakiś wielki sens; być może większy niż najlepsza poezja, najbardziej przemyślany tekst literacki; być może i być może. W ten sposób Wierzbicki, przyznając się w każdym miejscu życia i w każdym wierszu tego tomiku do słabości, niedoskonałości – wali nam między oczy prawdę, że na tym właśnie przesłaniu zasadza się urok... chrześcijaństwa. Tu nie ma żadnych wątpliwości. Krzyż nie jest bowiem metaforą, alegorią, czy tam jakimkolwiek innym „pomysłem literackim”. Krzyż jest znakiem. No i w tym miejscu, na końcu tomiku, czytelnik musi zacząć myśleć, na ile taka prawda jest jego prawdą, a na ile interesującą propozycją mierzenia się z absolutami.

I żeby użyć niby-poetyckiej parabolii: jest z poezją Wierzbickiego tak, jak w poszukiwaniu kamieni szlachetnych; chodzimy po strumieniach, nad brzegami mórz i trafiamy na zwykłe, ale bywa, że piękne,

otoczaki. I nagle w najmniej oczekiwanym miejscu, w najmniej spodziewanych okolicznościach trafia się prawdziwy kryształ. Nawet, jeśli nie zdajemy sobie z tego sprawy i traktujemy tenże kryształ jak kolej-

ny otoczek, tylko być może trochę bardziej okrągły, gładzi, nieco bardziej połyskliwy...

Czesław Markiewicz

Solilokwium

Adam Bolesław Wierzbicki, *Po przejściach*, wyd. autorskie, Dłuzek 2013, 37 s.

Ja jest tym, co nie istnieje dla świata zewnętrznego, a jednak najmocniej domaga się prawa do bycia. W dziwnym wysiłku trwania wiedzie nierozstrzygnięty spór jawy i snu. Ciało, przedmiot, rzecz nie potrzebują żadnego potwierdzenia, po prostu są, natomiast *ja* zmuszone jest do poszukiwania racji dla swej obecności. Jest duchowym rylcem, który z bólem porozumiewa się z tętnem ciała.

Staje się dzięki słowu; w przestrzeni tego, co ma i tego, co nie ma nazwy mości sobie miejsce. Jest aktem świadomości tak ekspansywnym, że nawet świat przestaje być niemy horyzontem. Tworzy z uporem własny rozmach, chce zdobyć tożsamość, przekraczając powłokę narodzenia się. Wyraża się dobitnie w wątpliwości co do rzeczywistego istnienia, skoro byt i myśl trwale się rozdziałają.

Ja potrzebuje doświadczenia siebie jako kogoś innego, aby móc otwierać, a nie zamykać własną podmiotowość. Wtedy uwrażliwia się na doczesną odmienność, a zarazem wieczną całość – jest aporetyczne, prowadząc nieustanny dialog indywidualności z uniwersalnością.

Wiersze Adama Bolesława Wierzbickiego z tomiku *Po przejściach* zespała podmiot w pierwszej osobie liczby pojedynczej, któremu towarzyszy pogłębiona świadomość współobecności własnego *ja* z domeną niedociecznej genezy.

Przebywanie w sobie „po przejściach” mianuje całą gamę autoportretów, jakie mocno ciąży na świadomości *ja*, od perypetii życiowych doświadczeń, wyznawanych wartościach, mniemań czy przekonań dotyczących świata, aż do zmiany, wyborów, analizy

przeżyć, postaw, relacji z otoczeniem, ról czy realnych związków z rzeczywistością. Są one poddane docieklivej penetracji, odkrywającej ciągle nową perspektywę istnienia.

Co znamienne refleksji letejskiej towarzyszy aura treściowo-myślowego dystansu podszytego ironią – nie jest ona wyrazem lekceważenia zdobytych doświadczeń, lecz przykładem dojrzałości. Ów autoironiczny ton pozwala czytelnikowi domyślać się, że podmiot eksteriorizuje się, aby móc spojrzeć na siebie z różnych punktów widzenia. Jest w tym coś z podpatrywania własnej tożsamości: postaci i lustra, rzeczy i cienia, milczenia i mowy, podobieństwa i różnicy – doznania obcości tego, co najbliższe. Permanentnej względności tego, kim się jest.

Autoportret

(impresjonizm)

Rozczłonkowałem się
na drobne kawałki
zostałem je w tysiącach miejsc
w które nawet myślami wracać mi się nie chce

Dałem każdemu po kawałku siebie
w zamian za nic
lub nadzieję mniejszą od główki szpilki wbitej
w klapę mojej przeterminowanej marynarki

Byłem wszędzie
i jednocześnie nie byłem nigdzie

znałem wszystkich
lecz naprawdę nikogo nie znałem

[...]

Tematem wielu wierszy jest również nieprzejrzysta i frustrująca sytuacja interpersonalna (*Autoportret w tłumie*, *Autoportret przy konfesjonale*), próba określenia swojej w niej obecności (*Autoportret na tle grup zawodowych*), nerwica wynikająca z niezachwianego pacierza (*Autoportret z cenzurką w dłoni*), groźba obłądzenia (*Autoportret na oddziale zamkniętym*) czy eskapizm nałogu rywalizujący z absurdem własnej egzystencji (*Autoportret w knajpie*).

W tym miejscu wokalizę przejmuje sarkazm, drwina, robienie kawałów ze swojego „rozcłonkowanego” *ja* (*Autoportret przy goleniu*). Podmiot wydaje pastwić się nad sobą samym, oglądając własną kruchość i znikomość egzystencji. Nędza obecności pomiędzy widzialną a niewidzialną dezorganizacją życia wewnętrznego jest rodowodem *ja* – tej fasady utkanej ze wspomnień, żalu i pyłu, a zarazem obietnicy ekspiacji (*Autoportret z krzyżem na barkach*).

Dopiero w unicestwieniu tego co ziemskie (chciwości, pychy, konsumpcji, hipokryzji, bezdusznosci) podmiot odnajduje przestrzeń i rację własnej kontemplacji. Odchodzą znajomi, znika dom, rozlatuje się krąg wartości wyznaczający granice świata, natomiast zdarzenia płowięją w ciemnej skrytce pamięci.

Marność inspirują jednak dialog z sobą samym; *ja* szuka miejsca dla tego, co normalne, terenu oswojonego, gdzie może zwinąć się w kłębek i przeczekać

istnienie. Gdyż nigdy nie ma się wystarczającej racji, aby być...

Stąd tyle pauz pustki pomiędzy wersami, ale jest to pustka znamienita, rozkładająca się, obumierająca świat robi miejsce dla „czegoś zupełnie innego” (*Autoportret na głodzie*): treść jest wszędzie i nigdzie, lecz na pewno poza opisem, poza wyrażeniem do którego niestrudzenie zmierza *ja* zbudowane ze słów.

Podmiot jako pełne urzeczywistnienie całości jest ideałem nieosiągalnym. *Autoportrety* nie łączą się ze sobą harmonijnie, każdy z nich wydaje się mieć własne przeznaczenie albo – mówiąc ściślej – jest próbą pozyskania indywidualnego poczucia przeznaczenia – *Bestimmung* – dzięki czemu *ja* mogłoby odnaleźć sens.

Jednak dotarcie do niego zostaje utrudnione przez samą strukturę autoportretu, w którym jest zawsze więcej deformacji niż autentyzmu, jakby jego „autor” obawiał się swojego własnego oblicza lub nie wierzył w możliwość wyrażenia siebie – dlatego czytelnik w trakcie lektury zdaje sobie sprawę z tego, że współuczestniczy w pewnego rodzaju grze o identyfikację, jaką podmiot toczy prywatnie, w przestrzeni autobiograficznej intencji oraz w relacjach z otoczeniem. Jest to monolog sceniczny, rozmowa z samym sobą. Stąd autoportret bardziej okazuje się maską niż odkryciem, otwarciem.

Czy daje on sposobność osiągnięcia pełni integralności osobowej? A może jest *descriptio gentum*, charakteryzującym tożsamościowe fiasko każdego z nas?...

Bogdan Nowicki

O najpiękniejszym okresie trwania

Jerzy Szewczyk, *Przeszłość karmi się pamięcią*, Majus, Zielona Góra – Łask 2013, 80 s.

Jerzy Szewczyk, zielonogórzanin dobrze znany z dużej aktywności twórczej i ciekawych inicjatyw społecznych, publicysta, poeta, podróżnik, fotografik przypominał się tym razem jako autor wspo-

nień poświęconych swojej macierzystej szkole średniej.

Do Zielonej Góry przybył ponad pół wieku temu, po ukończeniu Politechniki Łódzkiej. Z naszym mia-

stem związał się na stałe, tutaj założył rodzinę, zrobił karierę zawodową, aby po trzydziestu latach pracy i szefowania Okręgowej Inspekcji Pracy przejść na emeryturę. Nadal rozwijał społeczne zaangażowanie na kilku płaszczyznach, między innymi w spółdzielczości mieszkaniowej, w TKKF i NOT; za szczególnie ważną uważa działalność w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Greckiej, któremu od kilku lat przewodniczy. Od szkolnych lat nie rozstawał się z piórem, stale doskonaląc język i poszerzając obszary zainteresowań – od publicystyki i opracowań z problematyki zawodowej po literacką prozę i „podkochiwanie” się niemal we wszystkich muzach poezji. W swoim dorobku zgromadził kilkanaście tytułów, żeby wymienić tylko niektóre: *System socjalny Hiszpanii*, *Choć szron na głowie*, *Kraj obrazy*, *Między chmurą a kałużą*, *II-stacje albo karo seria*. Jego pasją stały się poznawcze podróże, także do krajów pozaeuropejskich. Ich owocem były wystawy (dotychczas 20) fotografii z Chin, Nepalu, Indii, RPA; oprócz Zielonej Góry autor prezentował je w innych miastach, także w rodzinnym Łasku.

Bołżcem do napisania ostatnio wydanej pozycji było zbliżające się 100-lecie liceum ogólnokształcącego w Łasku, w którym w roku 1954 uzyskał świadectwo dojrzałości. *Przeszłość karmi się pamięcią* to książka dotycząca głównie zdarzeń i ludzi z innych stron kraju, lecz warto się nad nią pochylić ze względu na autora, który wniósł dostrzegalny dorobek w lubuskie życie literackie i kulturalne – i czyni to nadal – oraz z uwagi na prezentowane w opracowaniu refleksje i reminiscencje o ogólniejszym znaczeniu. Opis życia w łaskim liceum w połowie ubiegłego wieku jest dość typowy, zawiera wiele podobieństw z innymi szkołami tamtej epoki. Sporo z tego, o czym w tej książce, można bez większych korekt wpleść w realia innych placówek z owego czasu, nawet różniących się profilem edukacyjnym, jak chociażby zestaw lektur, dzisiaj zapomnianych lub pomijanych jako „niesłusznych”, a wtedy pochłanianych z ogromną fascynacją; niektóre z nich wywarły niemały wpływ na kształtowanie ideowej tożsamości absolwentów. Podobnie jeśli idzie o przypomniane formy pozalekcyjnego udziału młodzieży w życiu środowiska, gdy obok „wymuszanych majówek” istniały zajęcia

w kółkach zainteresowań, pozwalające się rozwijać w wymarzonej kierunku.

Są też w tej książce ważne dla nas, lubuszan, wątki, które warto przytoczyć, bo zaświadczać – obok samego autora – personalne związki z naszym regionem. I tak, Janusz Kubicki, absolwent tej samej co J. Szewczyk klasy i jego przyjaciel ze studiów, jako znany w świecie specjalista maszyn papierniczych uczestniczył w projektowaniu i uruchomieniu na Ziemi Lubuskiej fabryk wełny mineralnej i płyt pilśniowych. Dr Józef Krasoń, dyrektor łaskiego liceum, historyk, malarz i filozof jest autorem prac na temat dziejów Zbąszynia i Obry.

Problematyka historyczna szkół wszelkiego typu dokumentowana jest między innymi w monografiach, najczęściej opracowanych przez osoby blisko ze szkołą związane. Można różnie odnosić się do przyjętej przez J. Szewczyka koncepcji autorskiej. Podstawową kwestią pozostaje zakres rzeczowy, ograniczony w tym wypadku do macierzystej klasy autora. Z tego powodu trudno recenzowanej książce przypisać walory typowej monografii szkolnej. Liceum ogólnokształcące w Łasku, którego powstanie i pierwsze lata rozwoju przypadły na burzliwy okres kształtowania się na ziemi łódzkiej zębów państwowości polskiej po I wojnie światowej, zapewne zasługuje na uwiecznienie jego stuletnich tradycji. Można żywić nadzieję, że znajdą się chętni autorzy, dla których praca J. Szewczyka mogłaby się stać istotnym dla tego celu przyczynkiem.

Nad książką, w której podjął udaną próbę zapisania najpiękniejszego okresu swojego jestestwa, Jerzy Szewczyk pracował od kilku lat. Tylko on wie, ile włożył w to wysiłku i ile czasu poświęcił na poszukiwania adresów, nawiązywanie kontaktów, wyjazdy i rozmowy, kwerendy w bibliotekach, odwiedzanie cmentarzy – wszak od opuszczenia szkoły upłynęło ponad pół wieku. I ciągle trafiał na nowe informacje, które pozwalały pogłębiać i aktualizować biografie profesorów i absolwentów aż po czas teraźniejszy. Rzetelne potraktowanie tego zadania miało i ten dodatkowy efekt, że sprzyjało odkryciu zatartych przez upływ czasu więzi międzyludzkich. Wielka to satysfakcja, gdy po dziesiątkach lat można przywołać szkolny żargon, posłużyć się „ksywką” kum-

pla z ławki, przypomnieć zabawne scenki, „psoty” i „wygłupy”, z nostalgią wspomnieć pierwsze młodościencze uniesienia, aby na koniec powrócić do... uskarżania się na stan zdrowia.

Pamięć swą, tę najczulszą, w pierwszej kolejności kieruje autor w stronę nauczycieli, od których kwalifikacji i zamiłowania do zawodu zależy co najmniej połowa życiowych sukcesów ich wychowanków. Obdarza ich ciepłem i wdzięcznością, bo byli to wspaniali ludzie, dawali z siebie wszystko – serce, wiedzę, bezinteresowną opiekuńczość, aby młodzież, zróżnicowaną wiekowo i majątnie, skrzywdzoną przez wojnę i okupację wyprowadzić na porządnym ludzi. Wychowawcom z łaskiego liceum to się udało, za czym przemawiają chociażby losy autora i wielu jego szkolnych rówieśników. Charakteryzując grono pedagogiczne, z sentymentem przywołuje zasługi tych profesorów, którym zawdzięcza więcej niż pozostałym. Ci od historii rozbudzili w nim zainteresowania starożytnością, łacinnicy językami, co skutkowało znakomitymi efektami w następnych latach.

Najwięcej czasu zajęły autorowi dociekania o losach koleżanek i kolegów, im poświęca przeważającą część tekstu. Udało mu się opracować ich biograficzne notki, wzorowany na dzienniku lekcyjnym „alfabet” zawiera w miarę wyczerpujące informacje o udanych życiowych karierach, ale też w wielu wypadkach niepowodzeniach, czy nawet przedwczesnych odejściach; uzupełnienia z życia prywatnego i rodzinnego dopełniają całość.

Szkoła, nauczyciele, absolwenci we wspomnieniach... Bardzo często skuteczne remedium na wszelkie troski i kłopoty, zwłaszcza gdy się osiąga wiek... jesienny, okraszany pięknem spadającego liścia. Doceniając owocny trud autora, zainteresowani czytelnicy, a zwłaszcza liczni przyjaciele, pedagodzy, jak i późniejsze pokolenia następców J. Szewczyka przyjmą z wdzięcznością rzetelnie przygotowany jubileuszowy upominek. Karmienie pamięci szkolną przeszłością przywraca duszy młodość, a ciało przydaje wigoru. Szkoła żyje wspomnieniami swoich wychowanków. A jeśli jeszcze któryś z nich odważył

się na opisanie choćby jakiejś części jej dziejów, trwać będzie znacznie dłużej.

Przywołaną książką J. Szewczyk oddaje hołd nie tylko swojej szkole. Kłania się ziemi rodzinnej, gdzie zostały jego korzenie, dzieli się wrażeniami z rozwoju bliskiego mu miasta, do którego wraca pamięcią i które często odwiedza. „Człowiek, któremu udało się zrealizować wiele marzeń z lat szkolnych, nie może zapomnieć skąd wyszedł” – podkreśla. Z szacunkiem pochylając czoła nad grobami rodziców, nawiązuje do ich wielkiej troski o jego edukację i wychowanie, dziękczynnie wyznaje, że to ich „miłowanie życiodajne soki przyniosło pamięci”.

Na zakończenie kilka zdań o języku, którym posługuje się J. Szewczyk. Ostatnią książką jeszcze raz potwierdza wysoki kunszt i wszechstronne umiejętności w wykorzystywaniu tego ważnego narzędzia nie tylko do celów epickich, lecz i prowokowania czytelnika do myślenia. Satyryczna metaforyka, dwuznaczność czy przekorna interpretacja pojęć, czego na co dzień przeważnie nie dostrzegamy – ileż jeszcze cech może zdefiniować przeciętny laik, zgłębiający jego „pistacje”, „karo serie”, „pre teksty”, czy inne „pre dyspozycje” do „zabawy ze słowem”... Poszukując indywidualnej formy wypowiedzi, zaskakuje odkrywaniem oryginalnych ciekawostek terminologicznych i fleksyjnych. Techniczne wykształcenie, humanistyczny talent – to sentencja jego intelektu. Casus J. Szewczyka zasługuje na częstsze przypomnienie, wręcz upowszechnianie. To jeszcze jeden przykład, że przedstawiciele kierunków ścisłych, absolwenci politechnik, również stają się wybornymi humanistami. Fascynacja językiem to trwały przymiot jego osobowości, co czytelnik sprawdza w publikowanych utworach, a on przez udział w konkursach na poprawność językową.

Opisową całość dopełniają „obrazy z przeszłości”, czyli kserokopie dokumentów, fotograficzny przegląd z życia szkoły oraz – dla koneserów języka – coś szczególnego: uarchaizowana propozycja toastu. „W górę szkła do dna”.

Czesław Strawa

Liryczno-fotograficzna opowieść o Płocku

Maciej Woźniak, Cezary Dzięcielski, *Ulica szczupacza. Wiślane pieśni o Płocku*, Płocki Ośrodek Kultury i Sztuki, Płock 2012, 50 s.

W przedmowie do książki poetyckiej Macieja Woźniaka Marek Grala napisał – „najdłuższą i najpiękniejszą ulicą w Płocku jest Wisła”. I to właśnie miasto i rzeka, jej plaże, mosty, promenady, zatoczki i nadbrzeża stały się przewodnim motywem wierszy Macieja Woźniaka i fotografii Cezarego Dziecielskiego.

W najnowszym tomiku *Ulica szczupacza. Wiślane pieśni o Płocku* wiersze Woźniaka zostały wkomponowane w fotografie Dzięcielskiego. Awangardowe techniki łączenia słowa pisanego z innymi dziedzinami sztuki były stosowane wielokrotnie, począwszy od XIX wieku i zabiegów różnorodnych form graficznego zapisu wierszy stosowanych przez Guillaume'a Apollinaire'a, czy później przez surrealistów, dadaistów i futurystów. W przypadku zbiorku wierszu i fotografii spółki artystycznej Woźniak & Dzięcielski ten zabieg nowatorski nie jest, ale nie jest też przypadkowy czy niezamierzony, zastosowany – jak zwykle bywało – w formie nic nie wnoszącej do dzieła, czyli sztuki dla sztuki.

W przypadku tegoż duetu, poeta–fotografik jest wręcz odwrotnie, bowiem zabieg połączenia wiersza z czarno-białym zdjęciem powiódł się na tyle skutecznie, iż czasami czytelnik i widz w jednej osobie potrafi się zgubić. Chwilami bowiem książka staje się zbiorem wierszy, innym razem albumem fotografii. To znaczy, że interdyscyplinarne połączenie tych dwóch dziedzin sztuki wyszło obu autorom nad wyraz pomyślnie, gdyż czasami zdjęcie stanowi uzupełnienie do wiersza, innym razem jest odwrotnie. Odnosi się wrażenie, jakby wiersz był pisany do konkretnej fotografii, stanowiąc jej dopowiedzenie, metafizyczne rozwinięcie jej przestrzeni i konturu, czy też metaforyczne pogłębienie samego obrazu, jego wyostrenie lub podkoloryzowanie.

O scenach fotograficznych Dzięcielskiego Halina Płuciennik napisała:

Obraz zredukowany do czerni, odcieni szarości i bieli z niespodziewaną mocą wyraża stany

emocjonalne. W fotografiach [...] wielka woda i przestrzeń dookoła niosą ukojenie, przywracają równowagę duszy i umysłu, mimo groźby ukrytej gdzieś pod gładką powierzchnią.

Jego fotografie, można rzec, bez retuszu ukazują czy to panoramę miasta widzianą znad brzegu, czy też stanowią statyczne obserwacje wędkarzy, dzieci bawiących się na plaży, spacerowiczów idących wzdłuż linii brzegowej, żagłówki, łódki, mewy nad falami lub w zaroślach bądź pierzastej chmury nad Wisłą... Często ukazane są o różnych porach roku i dnia. Stąd każdy obraz zatrzymany w kadrze posiada swój własny klimat. Podobnie jak wiersze, których tematyka jest różnorodna, ale zawsze oscylująca wokół *genus loci*, czyli ukochanego miejsca poety. A jest nim miasto nierozzerwalnie związane z rzeką. Płock – rodzinne miasto Władysława Broniewskiego, ukazane jest z różnych perspektyw – rodzinnej (*Wuj Krysiak, Stryjek Heniek, Wisetka*), sentymentalnej (*Piosenka grodzka, Ach, Darek*), historycznej (*Luty, spacer na Kępę, Urbi, non orbi, Piosenka wiślana, Piosenka żydowska*), przyrodniczej (*Wiatr od Wisły, Skarpą do Brwilna, Mroźna piosenka, Maj, główni w Wykowie, Kochankowie w bzie, Transmisja, Serendypia*) oraz w tekście pośrednio poświęconym Broniewskiemu, zatytułowanym „Bro”.

I taki właśnie poetycki pejzaż przeszłości i terażniejszości ukochanego miasta i rzeki, jak i forma przedstawienia ich obecności w pamięci i wspomnieniach, są często antidotum dla poety na szczęście. W wierszu *Mandala z liści na dnie* podmiot liryczny mówi:

Zółte liście na dnie. Chłód przez spodniobuty
i ciepły blask od dukatów wysypanych z kufra,
kiedy muł przeżarł drewno. Brodzę z wędką całe
popołudnie, jak czapla patrząc w dół. Jeśli to nie jest szczęście, to nie
ma szczęścia.

Znany awangardowy krytyk literacki i poeta Adam Wiedemann napisał:

U Macieja Woźniaka metaforyzowanie jest sposobem myślenia, przekształcającym każdą ewentualną „rzeczywistość” w byt możliwy do określenia jedynie na zasadzie zderzenia dwóch (lub więcej) różnorodnych „spojrzeń”. Dochodzi tu do głosu paradoks, by tak rzec, wizualny: jeśli te wiersze można nazwać opisowymi, to jednak są one wyrażeniem nieprzedstawieniowe, każdy „obraz” zaprzecza swojej obrazowości, udaje się w głąb siebie i tam znika z oczu.

I wiele racji ma Wiedemann w opisie wierszy Woźniaka, gdyż ten niemal w każdym wierszu stara się oddać w sposób namacalny to, co jest ulotne i czego już zatrzymać nie można, inaczej niż na fotografii. Tu migawką aparatu fotograficznego jest samo oko, pamięć i myśl, które za pośrednictwem pióra i słów mają oddać klimat minionych lat z dzieciństwa i młodości autora,

a nawet jego rodziców i dziadków z czasów wojny i powojennego okresu PRL. Jak napisał we wstępie do tomiku przywołany na początku Grała, wiersze Woźniaka mają nie tylko przywołać i zatrzymać upływający czas, ale pozwolić „uwierzyć w płocką duszę”. Sprawić, że poprzez barwne opisy miejsc, zdarzeń czy postaci, czytelnik poczuje się jak wędrowiec, który płynie rzeką czy spaceruje jej brzegiem wsłuchany „w wiślany mokry szept mgły i bicie rybich serc”.

I na koniec kilka słów o samym autorze pieśni wiślanych, urodzonym w 1969 r. i zamieszkałym w Płocku. Z zamiłowania jest poetą, krytykiem muzycznym i felietonistą. Debiutował w 1998 r. książką poetycką *Srebrny ołówek*. Autor ośmiu tomów wierszy. W 2009 r. nominowany był do Nagrody im. Józefa Czechowicza za zbiór poezji *Iluzjon* oraz do Nagrody Literackiej Gdyni za tom liryków *Ucieczka z Elei* w 2011 r. Prowadzi stronę autorską na portalu Literackie.pl.

Robert Rudiak

Tylko życie, więcej nic

Gerda Weissmann-Klein, *All But My Life. A Memoir*, Indigo, London 1997, 264 s. (cytaty z książki w tłumaczeniu własnym)

Urodzona w Bielsku Gerda Weissmann-Klein, przeżyła piekło II wojny światowej. We wspomnieniach pt. *All But My Life*, niewydanych jeszcze po polsku, opisała swoje dramatyczne losy. Straciła całą rodzinę, przeszła trzyletnią gehennę w hitlerowskich obozach pracy przymusowej. Jej wspomnienia są poruszającą lekturą oraz historycznym świadectwem czasów zagłady. Dla naszego miasta książka ta ma szczególnie cenną wartość dokumentalną, bowiem Gerda Weissmann-Klein opisuje tu m.in. swój pobyt w obozie *FAL Grünberg I*.

Autorka książki *All But My Life* w przyszłym roku będzie obchodzić dziewięćdziesiątą rocznicę urodzin. Jest ona najprawdopodobniej jedyną żyjącą do dziś

osobą, która przeszła obóz pracy w *Grünberg* oraz przetrwała morderczy marsz śmierci po jego likwidacji. *FAL Grünberg I*, filia obozu Gross-Rosen, zlokalizowana była w zabudowaniach fabryki Deutsche Wollwaren Manufaktur przy Breslauer Straße 33. Zielonogórzanie doskonale znają to miejsce przy ulicy Wrocławskiej. Niegdyś mieściła się tam fabryka Polskiej Wełny, dzisiaj zamieniona na galerię handlową.

Gdy wybuchła II wojna światowa, Gerda Weissmann miała piętnaście lat, kochających rodziców i brata, doskonale zapowiadającego się studenta chemii, z naukowymi ambicjami. Ich dotychczasowe życie upływało po znaku rodzinnej miłości i materialnej stabilizacji. Weissmannowie radzili sobie

nieźle – ojciec był współwłaścicielem fabryki futer w Bielsku. Rodzina mieszkała w domu na przedmieściach miasta, z ogrodem wznoszącym się na wzgórzu, wtapiającym się w malowniczy krajobraz u stóp Beskidów. W domu mówiono po niemiecku, ale Gerda uczyła się w szkole także języka polskiego.

Znikający ludzie

Pierwsze dni wojny przynoszą lęk i niedowierzanie na przemian z nadzieją, że to nie potrwa długo. Żydzi, m.in. także rodzina Weissmannów, doświadczają „specjalnego traktowania” – muszą zarejestrować się na policji i oddać wszystkie cenne przedmioty: „złoto, samochody, rowery, radia, a nawet wieczne pióra” (s. 12). Wychodząc do miasta, noszą na rękawie opaskę z sześcioramienną gwiazdą. Ich racje żywnościowe są o połowę niższe niż przydzielone dla innych osób. Charakterystyczne, że Gerda Weissmann-Klein początkowy okres okupacji niemieckiej opisuje niemal wyłącznie przez pryzmat tego, co działo się w domu, jakie panowały wśród jej bliskich i znajomych nastroje. Nie ma tutaj prawie żadnych obrazów i scen z okupowanego miasta.

Stopniowo z otoczenia Gerdy zaczęli znikać ludzie. Jej brat Artur został wywieziony w połowie października 1939 roku na wschód do pracy. Przez jakiś czas docierały do rodziny jego listy, co dawało cień utuchy i nadziei, że wojenny koszmar wkrótce się skończy. Wyjeżdżali też inni krewni i koleżanki Gerdy. Przychodziła od nich korespondencja, ale stopniowo kontakty coraz częściej się rwały, coraz więcej było niewiadomych, jeśli chodzi o ich dalsze losy. Rozpadały się rodzinne więzi, ubywało coraz więcej członków społeczności. Narastał strach i poczucie niepewności jutra.

W pierwszych rozdziałach wspomnień autorki znajdujemy wiele wspomnień z przed wojny, kojących i szczęśliwych obrazów normalnego życia. Jak się później okaże, to jedyne dziedzictwo, jakie Gerdzie udało się ocalić z rodzinnego domu. Najpierw, w kwietniu 1942 roku, pozostałe jeszcze na miejscu rodziny żydowskie (niecałe 300 osób) wykwaterowano do baraków przy kolejowej rampie. Utworzono tam getto. Stamtąd droga prowadziła do obozów pracy przymusowej lub prosto do Auschwitz. Okupowane przez Niemców miasto Bielitz,

jak wiele innych miast, musiało być Judenrein – wolne od Żydów. Przed wojną mieszkało ich tam osiem tysięcy. Zniknęli wszyscy.

„Bo wierzyliśmy w człowieka”

Ostatnim prezentem urodzinowym, który Gerda otrzymała od rodziców, była pomarańcza. Matka kupiła ją za złoty pierścionek. To były ostatnie wspólne chwile całej rodziny. Wkrótce potem, w maju 1942 roku, ojciec został przydzielony do obozu pracy w Suchej. Po wzruszającym pożegnaniu na stacji kolejowej Gerda nie zobaczyła go już nigdy więcej. Dzień później i ona z matką musiały wyruszyć w drogę do Wadowic bydlęcymi wagonami.

Dlaczego szliśmy jak pokorne owieczki na rzeź? Dlaczego nie walczyliśmy? Co mieliśmy do stracenia? Tylko życie, więcej nic. Dlaczego nie uciekaliśmy, nie chowaliśmy się? Być może mielibyśmy szansę przetrwać. Dlaczego świadomie i posłusznie wchodziliśmy w ich szpony? Ja wiem dlaczego. Bo wierzyliśmy w człowieka. Bo tak naprawdę nie przypuszczaliśmy, że ludzka istota jest zdolna do popełnienia takich zbrodni (s. 89).

Gerda była za młoda, by umrzeć, w przeciwieństwie do matki. Rozdzielono je. Ostatnie słowa, które od niej usłyszała, brzmiały: „bądź silna!”.

Od tej pory osiemnastoletnia Gerda była zdana tylko na siebie. Po ukochanych bliskich zostały jej tylko zdjęcia. Szczęście, że obok niej znalazła się chociaż serdeczna przyjaciółka jeszcze z Bielska, Ilse. Obie będą do końca wzajemnie dodawać sobie sił i wspierać, by stawić czoło kolejnym etapom nieludzkiej wędrówki przez wojenne i obozowe piekło, gdzie trudno było liczyć na najdrobniejszy okrucieństwo.

Bolkenhain i Merzdorf

Autorka przebywała najpierw ponad rok w obozie pracy Bolkenhain – Bolków. Wraz z innymi więźniarkami trafiła do pracy w tkalni. Trzeba było pracować jedenaście godzin dziennie, nogi puchły od ciągłego stania, od fruujących w powietrzu drobinek tkanin bolały oczy. Warunki były trudne, choć Gerda zauważa, iż dzięki obozowym funkcjo-

nariuszkom życie było tam i tak stosunkowo znośne, nie tak nieludzkie, jak w innych obozach. Więźniarki mogły cieszyć się niewielką namiastką normalności, organizując np. występy teatralne. Można było prowadzić korespondencję. Do Gerdy docierały (okradane w połowie) paczki od rodziny z Turcji. Jeszcze tam, w Bolkenhain otrzymywała listy od brata. Na listy od rodziców oczekiwała na próżno.

Etap kolejny: obóz w Merzdorf – Marciszów (autorka zapisuje nazwę obozu jako „Märzdorf”). Tam Gerda ciężko pracowała najpierw przy kładzeniu cegieł, następnie – ponownie w tkalni. Transport do Landeshut – Kamiennej Góry, gdzie – podobnie jak w dwóch poprzednich obozach – więźniowie pracowali przymusowo na rzecz firmy przędzalniczej Kramsta-Methner-Frahne. Na stronie internetowej Muzeum Gross Rosen wśród informacji o jego licznych filiach można przeczytać, że w Bolkenhain i Merzdorf przebywali wyłącznie więźniowie mężczyźni. Tymczasem według relacji Gerdy Weissmann-Klein w obu tych obozach przebywały i pracowały również kobiety.

Grünberg

Autorka podaje, że w maju 1944 roku wraz z innymi więźniarkami została przewieziona do obozu w Grünberg, natomiast z informacji znajdujących się na stronie internetowej Muzeum Gross Rosen wynika, że obóz został utworzony miesiąc później. Przeżycia zapisują się czasem inaczej w subiektywnej pamięci, co w żaden sposób nie umniejsza walorów pamiętnikarskich tej książki. Wspomnienia z *Grünberg* są dla Gerdy szczególnie smutne.

To było miejsce, gdzie w pięknej scenerii rozgrywało się okrucieństwo. Pokryte winoroślą pagórki, których sylwetki rysowały się na tle błękitnego nieba, wydawały się z nas naigrywać. Rozległy obóz został wybudowany jako część przędzalni niedługo przed wojną. Słońce świeciło przez szklany dach. Obóz był nowoczesny, wysprzątany, czysty – i przepełniony cierpieniem (s. 167).

W chwili przyjazdu Gerdy obóz liczył około tysiąca kobiet. Wszystkie były skazane na bezduszny sadyzm Betriebsleiters. Bił zwiniętą w pięść dłońią,

na której nosił duży sygnet. Zadawane przez niego ciosy bolały i goiły się długo.

Z przodu mieścił się budynek obozowego biura z mnóstwem błyszczących okien, wychodzących na wielkie rabaty kwiatowe w kształcie gwiazd, a wokół fabrycznych murów rosły setki różnych krzewów. Wzdłuż ścieżek były grządki kwitnących tulipanów (s. 170).

Gdy Gerda maszerowała każdego ranka z obozu do fabryki, z trudem powstrzymywała się, by nie wybiec z szeregu i nie dotknąć tych pięknych, pachnących kwiatów, o tej porze zwykle pokrytych rosą.

Co dwa miesiące więźniarki były prześwietlane. Gdy pojawiały się objawy gruźlicy – wysyłano je do obozu w Auschwitz. Gerda zastanawiała się z lękiem: ile jeszcze prześwietleń pozostało? Czy kolejne będzie oznaczało wyjazd ku śmierci, czy może jednak uda się dotrzeć do wyzwolenia?

Grünberg-Volary

29 stycznia 1945 roku rozpoczęła się ewakuacja obozu w Grünberg. Podzielone na dwie grupy kobiety wyruszyły w jeden z najdłuższych i najtragiczniejszych marszów śmierci II wojny światowej. Gerda Weissmann-Klein znalazła się wśród tych kobiet, które szły przez Drezno i Saksonię do Bawarii, a następnie dotarły do miejscowości Volary w Czechach. Tam 5 maja 1945 wyzwolił je amerykańscy żołnierze. Przetrwała zaledwie jedna trzecia z tych, którym ponad trzy miesiące wcześniej kazano wyjść z obozu w Grünberg. Wśród nich – Gerda. Wraz z nią ocalały zdjęcia jej rodziny, ukryte w butach narciarskich, które dziewczyna założyła jeszcze w dniu opuszczenia rodzinnego domu. Wtedy było lato, ale jej ojciec nalegał, by koniecznie zabrała te buty. Przeszła w nich wszystkie obozy, marsz śmierci i doczekała wolności. Jej przyjaciółce Ilse do ocalenia zabrakło kilku dni. Zmarła na rękach Gerdy.

Zapiski Gerdy Weissmann-Klein na temat realiów obozowego życia mają bezcenny walor dokumentalny. Gdy wojenne piekło przeżywają tylko nieliczni, liczy się każdy głos, każde świadectwo i wspomnienie tych tragicznych czasów, w których

działo się tyle potwornych rzeczy, przekraczających ludzką wyobraźnię. Dzięki pamiętnikom Gerdy Weissmann-Klein nigdy nie odejdzie w zapomnienie praca ponad siły więźniarek obozowych – przymusowych robotnic, ich głód, samotność, strach i choroby, których doświadczały. Nie zostanie przemilczane okrucieństwo obozowych katów i oprawców.

Truskawki ze śmietaną

Autorka nie epatuje jednak drastycznymi opisaniami obozowych realiów. W zamian mamy tu wiele epizodów, które świadczą o wielkiej wewnętrznej sile Gerdy i jej współtowarzyszek oraz ich usilnym dążeniu do ocalenia człowieczeństwa. Znajdziemy tu liczne pokrzepiające opisy, gdy więźniarki wspierały się wzajemnie i nie przestawały snuć planów na powojenne czasy. Kiedy wojna się skończy? Gerda zakłada się o to z inną dziewczyną, o wielki puchar świeżych truskawek ze śmietaną. Dług do uregulowania – zaraz po wyzwoleniu.

Fragmentami szczególnie poruszającymi są przytaczane przez Gerdę Weissmann-Klein sylwetki więźniarek z jej otoczenia i historie ich życia. Autorka jest świadoma tego, że prawdopodobnie jest jedyną osobą na świecie, która może o nich opowiedzieć i nakreślić ich portrety, z których każdy nosi rys niepowtarzalnej osobowości i indywidualności. Tylko tak można uchronić pojedynczego człowieka od zapomnienia i zniknięcia bez śladu. Tylko tak można go na zawsze ocalić, wydobywając go spod stosu bezdusznych statystycznych danych dotyczących liczby wojennych ofiar.

Oskar

Tuż po wyzwoleniu szczęście błyskawicznie upomniało się o Gerdę Weissmann. Poznała ame-

rykańskiego żołnierza niemieckiego pochodzenia, Kurta Kleina, który cierpliwie pomagał wrócić jej do zdrowia po wyczerpujących obozowych doświadczeniach. Rok po wojnie, w wieku 22 lat, była już jego szczęśliwą żoną. Państwo Klein zamieszkali w USA. Doczekali się trojga dzieci i ośmiorga wnuków. Gerda Weissmann-Klein ma wielki wkład w edukację młodych ludzi. Do 2012 roku prowadziła swoją działalność w ramach fundacji Gerdy i Kurta Kleinów, dzieląc się swoimi doświadczeniami i przeżyciami – by nie zaginęła pamięć o Holokauście i by nie powtórzyły się okrucieństwa wojny. Ze swoimi wykładami dla szkół odwiedziła wszystkie amerykańskie stany. W 2011 roku została odznaczona przez prezydenta USA Baracka Obamę Prezydenckim Medalem Wolności. Na podstawie wspomnień Gerdy Weissmann-Klein nakręcono film dokumentalny pt. *One Survivor Remembers* (Ocalona pamięta), który w 1995 roku otrzymał Oscara, nagrodę amerykańskiej Akademii Filmowej w kategorii filmów dokumentalnych. Film ten został oficjalnie zatwierdzony jako materiał edukacyjny dla amerykańskich szkół średnich do realizacji tematów związanych z promowaniem wiedzy o historii Holokaustu, prawach człowieka oraz z kształtowaniem postaw otwartości i tolerancji.

Ukazanie się polskiego tłumaczenia książki Gerdy Weissmann-Klein *All But My Life* byłoby wypełnieniem istotnej luki – m.in. także w wiedzy o przeszłości naszego miasta.

Strona internetowa Muzeum Gross-Rosen:

<http://www.gross-roten.eu/> [dostęp 17 lipca 2013]

Joanna Kapica-Curzytek



Nur das Leben, sonst nichts

Gerda Weissmann-Klein, *All But My Life. A Memoir*, Indigo, London 1997, 264 S. Übersetzung der Zitate aus dem Buch von Kritikautorin

Gerda Weissmann-Klein, geboren in Bielsko, überlebte die Hölle des Zweiten Weltkrieges. In ihren Erinnerungen *All but my Life* (in Polnisch noch nicht erschienen) beschrieb sie ihr tragisches Schicksal. Sie hatte ihre Familie verloren und überlebte drei Jahre in den Nazi-Zwangsarbeitslagern. Ihre Erinnerungen sind eine bewegte Lektüre und gleichzeitig ein Dokument der Vernichtung. Für unsere Stadt stellt das Buch einen besonderen Wert dar, weil Gerda Weissmann-Klein darin unter anderem ihren Aufenthalt im Lager FAL Grünberg I beschreibt.

Die Autorin von *All But My Life* feiert im kommenden Jahr ihren neunzigsten Geburtstag. Sie ist wahrscheinlich die einzige heute noch lebende Zeugin, die das Arbeitslager Grünberg sowie den Todesmarsch nach dessen Auflösung überlebte. FAL Grünberg I, eine Filiale des Lagers von Gross-Rosen, befand sich auf dem Gelände der Deutschen Wollwaren Manufaktur an der Breslauer Straße 33. Die Grünberger kennen diesen Ort an der Wrocławska-Straße sehr gut. Früher befand sich dort die Fabrik Polska Wełna, die heute zu einer Einkaufsgalerie umgebaut ist.

Als der Zweite Weltkrieg ausbrach, war Gerda Weissmann fünfzehn Jahre alt, hatte liebende Eltern und einen Bruder, einen viel versprechenden Chemiestudenten mit wissenschaftlichen Ambitionen. Sie lebte wohlbehütet und materiell abgesichert. Weissmanns lebten gut – der Vater war Miteigentümer der Pelzfabrik in Bielsko. Die Familie bewohnte ein Haus am Stadtrand mit einem Garten auf einem Hügel, der sich malerisch am Fuße von Beskidy erhob. Zu Hause wurde Deutsch gesprochen, aber Gerda lernte in der Schule auch Polnisch.

Menschen, die verschwanden

Die ersten Tage des Krieges bedeuten Angst gepaart mit Unglauben, die sich stets mit Hoffnung auf ein baldiges Ende des Krieges abwechseln. Juden, unter anderen auch die Familie Weissmann, erfahren

eine „besondere Behandlung“ – sie müssen sich bei der Polizei registrieren lassen und alle wertvollen Gegenstände abliefern: „Gold, Autos, Fahrräder, Rundfunkempfänger, sogar Füllfederhalter“ (S. 12). Beim Verlassen ihrer Häuser müssen sie ein Armband mit dem Davidstern tragen. Ihre Lebensmittelrationen sind um die Hälfte kleiner als die der anderen. Typisch für Gerda Weissmann-Klein ist, dass sie den Anfang des Krieges durch das Prisma dessen beschreibt, was in ihrer Familie geschah und was für eine Stimmung unter ihren Verwandten und Bekannten herrschte. Es gibt weder Beschreibungen noch Bilder der besetzten Stadt.

Nach und nach verschwinden Menschen aus ihrer nächsten Umgebung. Ihr Bruder Artur wurde Mitte Oktober 1939 in den Osten zur Zwangsarbeit deportiert. Eine Zeit lang erreichten sie die Briefe ihres Bruders, sie brachten Zuversicht und Hoffnung, dass der Alptraum des Krieges bald vorbei sein würde. Auch Gerdas andere Verwandte und Freundinnen verreisten. Ihre Briefe kamen noch einige Zeit an, doch nach und nach brachen die Kontakte ab, immer weniger erfuhr man über ihre Schicksale. Familienbande zerbrachen, immer mehr Mitglieder der Gemeinde verschwanden. Angst und Unsicherheit machten sich breit.

In den ersten Kapiteln der Erinnerungen finden wir viele Informationen aus der Zeit vor dem Zweiten Weltkrieg, beruhigende Bilder des Glücks eines normalen Lebens. Wir erfahren später, dass es die einzigen Momente waren, die Gerda aus ihrem Familienleben gerettet hatte. Zunächst im April 1942 wurden die letzten jüdischen Familien (ca. 300 Personen) aus ihren Häusern ausquartiert und in Baracken an der Eisenbahnrampe einquartiert. Dort wurde ein Ghetto eingerichtet und von dort führte der Weg in die Zwangsarbeitslager oder direkt nach Auschwitz. Die von den Deutschen besetzte Stadt Bielitz musste wie viele andere Städte judenfrei sein. Vor dem Krieg lebten dort acht tausend Juden. Alle sind sie verschwunden.

„Denn wir glaubten an den Menschen“

Als letztes Geburtstagsgeschenk von ihren Eltern bekam Gerda eine Orange. Ihre Mutter tauschte sie gegen einen goldenen Ring. Das waren die letzten gemeinsamen Stunden für die ganze Familie. Bald, im Mai 1942 wurde der Vater dem Arbeitslager in Sucha zugeteilt. Nach einem bewegenden Abschied sah ihn Gerda nie wieder. Einen Tag später brachen sie und ihre Mutter in einem Viehwaggon nach Wadowice auf.

Warum sind wir wie willenlose Lämmer zum Schlachthof gegangen? Warum haben wir nicht gekämpft? Was hatten wir zu verlieren? Nur unser Leben, sonst nichts. Warum sind wir nicht geflohen, haben uns nicht versteckt? Vielleicht hätten wir dann eine Chance zu überleben. Warum sind wir bewusst in ihre Falle gegangen? Ich weiß warum. Weil wir an den Menschen glaubten. Weil wir wirklich nicht geglaubt haben, dass ein menschliches Wesen zu einem solchen Verbrechen fähig ist (S. 89).

Gerda war zu jung, um wie ihre Mutter zu sterben. Man hat sie getrennt. Die letzten Worte, die sie von ihr hörte, waren: „Sei stark!“

Seit dieser Zeit war die achtzehnjährige Gerda auf sich allein gestellt. Von ihrer Familie blieben nur Fotos übrig. Sie hatte Glück, dass ihr noch ihre gut Freundin Ilse aus der Zeit in Bielsko übrig geblieben war. Sie werden einander unterstützen, um die weiteren Etappen in der Hölle des Krieges und der Lager zu überleben, wo die Suche nach kleinster menschlicher Regung vergeblich war.

Bolkenhain und Merzdorf

Die Autorin war zunächst über ein Jahr lang in dem Arbeitslager Bolkenhain (Bolków). Zusammen mit anderen gefangenen Frauen arbeitete sie einer Weberei. Nach elf Stunden Arbeit täglich schwellen ihnen die Beine an, von dem Stoffstaub schmerzten ihnen die Augen. Die Arbeitsbedingungen waren schwierig, obwohl Gerda bemerkt, dass ihr Leben dank Lagerwächterinnen trotzdem relativ erträglich war, und nicht so unmenschlich wie in anderen Lagern. Die

Gefangenen freuten sich über jedes kleinste Zeichen der Normalität, wie zum Beispiel Theatervorführungen. Sie durften auch Briefe schreiben. Gerda erhielt (teilweise geplünderte) Pakete von ihrer Familie aus der Türkei. Dort erhielt sie noch Briefe von ihrem Bruder. Auf Briefe von ihren Eltern wartete sie vergeblich.

Nächste Etappe: das Lager in Merzdorf (Marciszów, die Autorin verwendet „Märzdorf“ als Namen des Lagers). Dort arbeitete sie schwer beim Verlegen von Ziegeln und später wieder in einer Weberei. Dann der Transport nach Landeshut (Kamienna Góra), wo ähnlich wie in den anderen zwei Lagern Gefangene für eine Weberei in Kramsta-Methner-Frahne arbeiteten. Auf der Internetseite des Museums Gross-Rosen findet man unter Angaben zu dessen vielen Filialen die Information, dass in Bolkenhain und Merzdorf ausschließlich Männer gefangen gehalten waren. Allerdings laut dem Bericht von Gerda Weissmann-Klein lebten und arbeiteten in diesen Lagern auch Frauen.

Grünberg

Die Autorin berichtet, dass sie im Mai 1944 zusammen mit anderen gefangenen Frauen ins Lager in Grünberg verlegt wurde. Die Erinnerungen aus Grünberg sind für Gerda besonders traurig.

Das war ein Ort, an dem sich in einer schönen Szenerie Grausamkeit abgespielt hatte. Weinberge vor dem Hintergrund des blauen Himmels schienen über uns zu spotten. Das große Lager wurde als Teil der Weberei bereits kurz vor dem Krieg gebaut. Die Sonne schien durch das Glasdach. Das Lager war modern, aufgeräumt, sauber – und voller Leiden (S. 167).

Zum Zeitpunkt Gerdas Ankunft zählte das Lager etwa ein tausend Frauen. Alle waren dem Sadismus des Betriebsleiters ausgesetzt. Er schlug sie mit geballter Faust, an der er einen großen Siegelring trug. Die von ihm versetzten Schläge taten weh und Wunden heilten langsam.

Vorne befand sich das Gebäude des Lagerbüros mit vielen glänzenden Fenstern, die auf große

sternförmige Blumenbeten hinausgingen, und an den Fabrikmauern wuchsen hunderte von Rosensträuchern. Entlang der Wege blühten Tulpen in Reihen (S. 170).

Wenn Gerda morgens in die Fabrik marschierte, konnte sie sich nur mühsam beherrschen, um die Reihe nicht zu verlassen und diese wunderschönen, duftenden Blumen zu berühren, die um diese Tageszeit noch mit Tau bedeckt waren.

Alle zwei Monate wurden die Gefangenen geröntgt. Bei Symptomen von Tuberkulose wurden sie ins Lager nach Auschwitz geschickt. Gerda zählte voller Angst, wie viele Röntgenaufnahmen sie noch überstehen würde. Ob die nächste Untersuchung ein Todesurteil bedeuten würde, oder würde sie es doch bis zur Befreiung schaffen.

Grünberg-Volary

Am 29. Januar 1945 began die Evakuierung des Lagers Grünberg. In zwei Gruppen aufgeteilt brachen die Frauen zu einem der längsten und tragischsten Todesmärsche des Zweiten Weltkrieges auf. Gerda Weissmann-Klein befand sich unter den Frauen, die über Dresden und Sachsen nach Bayern gingen, um schließlich den Ort Volary in Tschechien zu erreichen. Am 5. Mai 1945 wurden sie dort von den amerikanischen Soldaten befreit. Von denen, die drei Monate zuvor das Lager in Grünberg verlassen haben, überlebte nur ein Drittel. Darunter auch Gerda. Sie rettete Fotos ihrer Familie, die sie in den Skischuhen versteckte, die sie noch an diesem Tag angezogen hatte, an dem sie ihr Familienhaus verließ. Es war Sommer, doch ihr Vater bestand darauf, dass sie diese Schuhe anzieht. In diesen Schuhen überlebte sie alle Lager, den Todesmarsch und die Befreiung. Ihre Freundin Ilse hatte es nicht geschafft. Sie starb einige Tage davor in Gerdas Armen.

Die Notizen von Gerda Weissman-Klein über den Alltag im Lager haben einen großen dokumentarischen Wert. Da nur wenige die Hölle des Krieges überlebten, zählt jede Stimme, jedes Zeugnis und jede Erinnerung an diese tragische Zeit, in der so viel Furchtbares passierte, das die menschliche Vorstellungskraft überschreitet. Dank Tagebücher von Gerda Weissman-Klein werden

die schwerste Arbeit der gefangenen Frauen – Zwangsarbeiterinnen –, ihr Hunger, Einsamkeit, Angst und Krankheiten, die sie erlitten, nie in Vergessenheit geraten. Nicht vergessen wird die Grausamkeit der Henker und Verbrecher in den Lagern.

Erdbeeren mit Schlagsahne

Die Autorin versucht nicht mit drastischen Schilderungen des Alltags im Lager zu beeindrucken. Dafür gibt es viele Episoden, die von der inneren Kraft Gerdas und ihrer Mitgefangenen zeugen sowie von ihrem starken Willen, die Menschlichkeit zu bewahren. In dem Buch finden wir zahlreiche Beschreibungen von gegenseitiger Unterstützung der Frauen, von ihren Zukunftsplänen für die Zeit nach dem Krieg. Wann geht der Krieg zu Ende? Gerda wettet mit einer Frau um einen großen Becher frischer Erdbeeren mit Schlagsahne. Die Wette soll direkt nach der Befreiung eingelöst werden.

Die besonders bewegenden Passagen sind Beschreibungen der Mitgefangenen und ihre Geschichten. Die Autorin ist sich dessen bewusst, dass sie wahrscheinlich die einzige in der Welt ist, die über sie berichten und ihre Porträts zeichnen kann, von denen jede eine eigene Persönlichkeit und Einzigartigkeit besitzt. Nur so kann ein einzelner Mensch vor Vergessenheit und spurlosem Verschwinden bewahrt werden. Nur so kann er für immer gerettet werden, indem man ihn unter dem Stapel statistischer Daten über Kriegsoffer ans Tageslicht bringt.

Oscar

Direkt nach der Befreiung meldete sich das Glück bei Gerda Weissmann wieder: Sie lernte einen amerikanischen Soldaten deutscher Herkunft Kurt Klein kennen, der sie fürsorglich pflegte, bis sie nach ihrem Lageraufenthalt wieder zu Kräften kam. Ein Jahr nach dem Krieg im Alter von 22 Jahren war sie bereits seine Ehefrau. Das Ehepaar Klein zog in die USA. Sie bekamen drei Kinder und acht Enkelkinder. Gerda Weissmann-Klein engagierte sich stark für die Bildung junger Menschen. Bis 2012 war sie für die Gerda-und-Kurt-Klein-Stiftung tätig, indem sie über ihre Erfahrungen und Erlebnisse berichtete – damit die

Erinnerung an den Holocaust nicht in Vergessenheit gerät und damit sich die Grausamkeiten des Krieges nicht noch einmal wiederholen. Mit ihren Vorträgen besuchte sie Schulen in allen Bundesstaaten der USA. 2011 wurde sie von dem US-Präsidenten Barack Obama mit der Freiheitsmedaille ausgezeichnet. Ihre Erinnerungen dienten als Vorlage für den Dokumentarfilm *One Survivor Remembers* (Eine Gerettete erinnert sich), der 1995 mit einem Oscar in der Kategorie Dokumentarfilme prämiert wurde. Dieser Film wurde zum offiziellen Schulmaterial in den amerikanischen Schulen zur Veranschaulichung der Themen Geschichte

des Holocaust, Menschenrechte und Bildung offener, toleranter Weltanschauung.

Eine polnische Übersetzung des Buches von Gerda Weissmann-Klein *All But My Life* würde eine große Wissenslücke schließen – unter anderem auch über die Vergangenheit unserer Stadt.

Internetseite des Museum Gross-Rosen:

<http://www.Gross-Rosen.eu/> [Ansicht vom 17. Juli 2013]

Joanna Kapica-Curzytek
Übersetzung von Renata A. Thiele

Deklaracja niezgody

Beata Patrycja Klary, *De-klaracje*, Biblioteka „Toposu”, Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2012, 48 s.

Na zbiór wierszy *De-klaracje* Beaty Patrycji Klary składają się trzy części (*Geny. Początek i koniec; Anty-geny. Lalki reborn; Memy. Otwarcie*). Na pierwszy rzut oka świat przedstawiony w wersach jawi się niczym spełnienie świata postapokaliptycznego, wersja antyutopii. Zarazem motyw dziecka w pewnym zakresie pozwala szukać analogii do poezji Romana Honety. Poezja Beaty Patrycji Klary jest jednak w pełni autonomiczna. W pierwszej części obrazy liryczne często są przerywane suchymi adnotacjami lekarskimi, które skutecznie nie pozwalają na jednostajny wydźwięk treści. Długość frazy i gęstość znaczeniowa, wielość odniesień intertekstualnych pozwalałaby na skojarzenie tej poezji z prozą poetycką. Mamy jednak do czynienia z poezją złożoną, pozbawioną prostych opowiadań, w której podmiot liryczny stara się być możliwie daleko od akcji, niejako na uboczu.

W części pierwszej jest tylko jeden tekst podzielony na dziesięć podrozdziałów. U podstawy mamy gen, czyli coś, co nas określa, kształtuje, a zarazem determinuje, scheda pokoleniowa. Dziecko – bohater ma wadę genetyczną, wskutek której jest

opóźnione względem rówieśników, co prawdopodobnie uniemożliwi realizację określonych marzeń. Dziecko będące numerkiem, przedmiotem, traktowane instrumentalnie („numer hodowli 6770”), bez krztyny namaszczenia. Chłód i konkretny opis lekarski odbiera znamiona człowieczeństwa, beznamiętnie determinując przyszłe życie. Noworodek jest przedstawiony jako: „Potomek kuglarzy. Brat iluzjonistów. Jarmarki i uliczne teatry zastępują mu piaskownicę [...]”, co może także nasunąć skojarzenia z nieodpowiedzialnymi eksperymentami genetycznymi, zabawą w Boga. Możliwości interpretacyjne zarówno w sferze formy, jak i treści można sprowadzić do wspólnego mianownika: dehumanizacji i mechanizacji życia i języka. W tej części zbioru, jak i w kolejnej autorka stosuje styl, który można nazwać reporterskim (albo lepiej *quasi*-reporterskim). Patrzy, dokonuje oględzin i przedstawia, nie unikając przy tym drastycznych scen: „Na łóżkach leżą pocięte krocza. Mleczne piersi obłożone liśćmi/ kapustyzymanej specjalnie w łódówce. Dopasowane laktatory [...]”, jakby specjalnie naśladowując (przedrzeźniając) styl opisu lekarskiego, co ociera się wręcz o ukrytą

ironię. Klary nie komentuje i nie odnosi się szczególnie do obrazów, ale czytelnik wyczuwa jest stanowisko, nawet pomimo tego, iż na końcu obu pierwszych części pozostawia znamieny zapis – *no comment*.

W drugiej części bohater wierszy nieco się zmienia. Tym razem są to „lalki – reborn” niepokojąco podobne do prawdziwych niemowląt. Na myśl przychodzą tutaj surogatki, które za określoną zapłatą są gotowe urodzić odpowiednie dziecko, dokładnie według zamówienia: „Możliwe zachowanie wady genetycznej [...] Wykonam wszystkie mankamenty urody według zdjęcia, również braki ciała”. Zarazem czytelnik nie może być pewny, czym są tytułowe lalki reborn i czy ich stwórca (była policjantka) nie jest jakimś wykonawcą androidów, produkującym „plastikowe dzieci”. Taka wieloznaczność odnosząca się do wiedzy, ale i lęków czytelnika pozwala spojrzeć wprost na problem postępującego rozpadu więzi społecznych. Kupowanie dzieci przez aukcje internetowe czy degradacja wcześniaków, które nie mają szans na przeżycie do miana „wyskrobin” czy „materiału”, który się „nie udał”. Wszystko to brzmi jak złowieszcza wizja futurologów, która nadchodzi z wszelkimi konsekwencjami. Lalki reborn są namiastkami dzieci, ich protezami, które zarazem (jak roboty) pozbawione zostają pewnych uciążliwych właściwości: „Pampersy ma pełne moczu, równo co sześć godzin [...] Nie trzeba przewijać na zapas. Wmontowano specjalny mechanizm”. Wszystko dla wygody i wolności kobiet, aby nie musiały tracić cennego czasu (kobiety biznesu) lub specjalnie szukać partnera (singielki). Mały człowiek staje się tutaj usługą tak zwykłą jak zamówienie kebaba. Jedyne, co pozostaje, to instynkt macierzyństwa, którego – jak przypomina autorka – „zaspokoić nie jest łatwo”.

Na myśl przychodzi mi tutaj także film *Gattaca* – *szok przyszłości*, w którym dochodzi do faktycznej segregacji rasowej, a dzieci są programowane jeszcze przed aktem poczęcia – te najlepsze i najwzrostniejszego będą stanowić elitę ludzkości, dla reszty przeznaczone są prace pośledniejsze. Faktem staje się powrót do podziału kastowego, z którego bardzo trudno jest się wydostać.

W odróżnieniu od dwóch pierwszych części, trzecia przybiera klasyczną formę podziału na

wiersze. Tematyka jest nieco bardziej zróżnicowana, choć klimat pozostaje niezmienny. Autorka odchodzi czasem od reporterskiego stylu, a zarazem zdradza garść szczegółów o podmiocie lirycznym m.in. „manekin, którego nazywają Beata”. Ciężar gatunkowy tekstów nie jest jednak mniejszy – kobieta wydająca po latach skamieniałe niemowlę, dziewczyny podchodzące lekkomyślnie do życia i tematu seksu, wyrzutek społeczny żyjący na śmietniku i produkcja mydła z ludzkich szczątków (*MOM Mięso Oddzielone Mechanicznie*). Czytelnik nie ma więc chwili wytchnienia, a szczypta nadziei pojawi się dopiero w podsumowaniu zbioru.

Cechą wspólną tych tekstów zdaje się być głos o prawo do godnego i odpowiedzialnego życia od narodzin do śmierci, o pewnej doniosłości i ciągłości następujących pokoleń. Mem oznacza bowiem naśladowanie i jest nośnikiem informacji kulturowej, która ulega zarazem nieuchronnemu doborowi naturalnemu. Gen jest trwały, a mem się zmienia, tak jak zmieniają się mody i filozofie życia. W ponowoczesnym świecie mem staje się ważniejszy i wypiera gen. Ważniejsza jest zmienna wspólnota kulturowa niż trwała wspólnota krwi, o której zdaje się przypominać poeta.

W zamykającym całość wierszu „funeral house”
można odnaleźć smutną refleksję:
Ciało ma słodki zapach gliny, a woń spermy jest
zapachem lasu.
Stary garncarz wypala ostatni dzban. [...] i poczeka
na resztę umarłych.
[...] Ale tym razem będzie tylko piach. A piach
nigdy nie rośnie.

Zarazem Klary daje też nadzieję, jakby prawo do alternatywnej wizji przyszłości, gdy garncarz wychodzi i:

Podcienia drzew dają wypocząć dziecku, które
ssie pierś.
[...] Mężczyzna przytula kobietę [...] Pył wysusza
im zmarszczki
i przyprósza włosy. [...] a każda ciemność to
zapowiedź światła.

Podsumowując, autorka wydaje się być zaniepokojona słabnącą kondycją moralną ludzi. Przypomina, że żyjąc bez wartości, skazujemy się na egzystencjalizm i nihilizm, na czas, w którym zło przybierze postać obojętności i braku współczucia. Przekaz jest spójny i jasny, a poetka nie stawia czytelnika pod ścianą, po prostu pokazuje, bez nadmiernych wyjaśnień i przestróg, zdaje się ufać w inteligencję i wrażliwość odbiorcy. Pokazany świat jest niezwykle sensualny – zmysłowy i cielesny, aż kapie od zapachów, obrazów i szczegółów, które pozostają

w pamięci. Zamiast starać się wnikać w filozoficzną istotę zła i cierpienia przedstawia konkret, który nie wymaga komentarza. Autorka nie wdaje się w polemikę, tylko wystawia cenzurkę i zamyka dziennik. Nie jest to krzyk niezgody, który mógłby przywołać na myśl romantyczne konotacje, ale przemyślana deklaracja, którą niełatwo podważyć, racjonalna a czasem chłodna, wskutek czego silniej odwołująca się do wrażliwości.

Patryk Chrzan

Metafizyczne i religijne wiersze Marka Czuku

Marek Czuku, *Nietrwała kompozycja. Wiersze metafizyczne i religijne*, seria „Biblioteka świętego Grzegorza z Nazjanzu. Polska współczesna poezja religijna”, wyb. i oprac. Małgorzata Juda-Miełoch, Republika Ostrowska, Ostrów Wielkopolski 2013, 111 s.

Mogłoby się wydawać, że niemal niemożliwym jest połączenie metafizyki, mistyki i wędrówki, a tym bardziej stworzenie z nich kompozycji. Nietrwałej co prawda, ale jednak. Znalazł się ktoś, komu takie połączenie się udało, i to w całkiem przystępny sposób.

W kwietniu 2013 roku nakładem wydawnictwa Republika Ostrowska ukazała się książka autorstwa Marka Czuku, nosząca tytuł *Nietrwała kompozycja. Wiersze metafizyczne i religijne*. Jest to tomik inauguracyjny serii wydawniczej „Biblioteka świętego Grzegorza z Nazjanzu. Polska współczesna poezja religijna”, a zawiera wiersze wybrane tematycznie spośród całego dorobku twórczego Marka Czuku.

Autor zbioru urodził się 19 czerwca 1960 roku w Łodzi, debiutował w 1985 roku, a dotychczas wydał dziesięć tomów poetyckich. Z wykształcenia jest fizykiem i polonistą (oba kierunki na Uniwersytecie Łódzkim), należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i do Academia Europaea Sarbieviana, ponadto jest stypendystą Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Zaledwie ta garstka informacji o autorze *Nietrwałej kompozycji* może zadziwiać. Fizyk, poloni-

sta, poeta (również metafizyczny), ponadto eseista, recenzent... Z jego dorobku artystycznego powstał całkiem ciekawy tomik wierszy, który z powodzeniem może się wpisać w nurt polskiej poezji religijnej, choć *stricte* religijny nie jest. Nie bez kozery przecież druga część tytułu brzmi: „wiersze metafizyczne i religijne”. Utwory, które weszły w skład rzeczonoego tomiku, to zarówno liryki już wcześniej publikowane we wcześniejszych tomikach Marka Czuku, jak i takie, które do druku trafiły dopiero w *Nietrwałej kompozycji*. W skład książki wchodzi dziewięćdziesiąt pięć wierszy, podzielonych na pięć części, jednak nierównomiernie, mamy zatem prolog, część I: pragnienie, część II: horror vacui, część III: zawsze jest światło, zbiór kończy się epilogiem. Nie wiem do końca, czy to zasługa wyboru wierszy z całego okresu twórczości, czy też świadectwo wielkiej sprawności pióra Marka Czuku (a może jednego i drugiego), ale na stu jedenastu stronach książki można odnaleźć najróżniejsze formy liryczne. Zdarzają się zarówno miniatury (jak choćby jedyny wiersz prologu: *Rozbitek*), jak też, co niezwykle ciekawe, zbiory krótkich form zebranych pod wspólnym

tytułem (*Nie mów wiele; Wiersz*), są także wiersze z dłuższą frazą, niekiedy rytmizowane (*Nie-możliwe*), w tomiku znalazło się nawet miejsce dla dwóch pięknych, klasycznych sonetów włoskich (*Sonet III, Sonet IV*). Ogólnie cała *Nietrwała kompozycja* jest wędrówką poety poszukującego Boga i jego śladów, być może nawet wędrówką po boskich śladach. Pojawiają się wszakże utwory skierowane do samego Stwórcy, ale też wiersz poświęcony Duchowi Świętemu, Aniołowi Stróżowi czy Papieżowi. Nie schodząc z tła filozoficznych rozważań, Marek Czuku prowadzi rozmyślne kalambury językowe i nie ucieka od paradoksów wiary.

Jak już wspomniałam wcześniej, *Nietrwała kompozycja* jest wyborem liryków, które powstały przez niemal trzydzieści lat. Umieszczony na końcu książki spis utworów z odsyłaczami do poszczególnych, wcześniejszych tomików pozwala prześledzić rozwój pewnych wątków w twórczości tego poety, ale także spojrzeć na jego wiersze z nieco innej perspektywy – wszak wielu ludzi pióra próbowało swoich sił w utworach religijnych czy metafizycznych, z różnym jednakże skutkiem. Nie można jednak nie zauważyć, że powstanie *Nietrwałej kompozycji* jest dowodem na to, że Marek Czuku potrafi pisać również o tym. Ten zbiór to nie tylko próba porozmawiania o Bogu, ale także próba przybliżenia go czytelnikowi za pomocą prostych słów i jasnych obrazów. Z jednej strony można uznać, że wiersze tego poety reprezentują typ liryki refleksyjnej, ale z drugiej – stanowią zapis poszukiwania Boga przez człowieka. Każdy utwór w *Nietrwałej kompozycji* traktuje o wierze, choć niemal każdy

ujmuje ją z nieco innej perspektywy. Stąd choćby wiersz poświęcony Papieżowi (*Nie lekajcie się!*), który, choć był człowiekiem jak każdy z nas, właśnie dzięki wierze tak wiele dokonał. Marek Czuku porusza w swoich wierszach najróżniejsze tematy, każdemu nadaje inne tło, jednak tym, co je spaja, jest owa metafizyka i wiara właśnie. Każdy człowiek podświadomie szuka Absolutu, Marek Czuku zaś potrafił te poszukiwania ująć w karby słów. I choć może się wydawać, że żyjemy w świecie, w którym Boga nie ma, to poeta w jednym z wierszy wskazuje: „Im nas mniej, / tym nas więcej. / Im nas mniej, / tym więcej Boga” (***) . Bóg zatem jest, a zadaniem każdego człowieka jest jego poszukiwanie, jeśli nie w sobie, to w otaczającym świecie. W tomiku znalazło się też stwierdzenie, które można traktować jako wskazówkę w odbieraniu świata i rzeczywistości: „Mój opis świata jest niedoskonały. Nie znam siebie do końca [...]” (*Opis świata*). Nasze opisy nigdy nie będą doskonałe, ale to nie znaczy, że mamy przestać szukać i wierzyć. Równie istotną informację zawarł poeta w epilogu, który zatytułował *Prawo Archimedes’a*: „im bardziej uelastyczniam stanowisko / tym bardziej stałe mam poglądy / im bardziej tracę wiarę / tym bardziej wierzę”.

Myślę, że decyzja o wyborze wierszy Marka Czuku do książki inaugurującej serię „Biblioteka świętego Grzegorza z Nazjanzu. Polska współczesna poezja religijna” była jak najbardziej słuszna. Pokazuje bowiem, że nawet umysł tak ścisły, jak umysł fizyka, może podjąć trud rozmyślań nad metafizyką i Bogiem.

Kinga Mazur

Słowem i obrazem

Maciej Woźniak, Cezary Dzięcielski, *Ulica szczupacza. Wiślane pieśni o Płocku, Płocki Ośrodek Kultury i Sztuki, Płock 2012, 45 s.*

W czasach, kiedy każdy z nas dąży do bycia świadczącym i kosmopolitą, niejednokrotnie zapominamy,

skąd tak naprawdę pochodzimy. Tymczasem dwóch artystów z Płocka postanowiło nam o tym przypomnieć.

Płocki Ośrodek Kultury i Sztuki wydał w zeszłym roku niezwykle ciekawą publikację, zatytułowaną *Ulica szczupacza: wiślane pieśni o Płocku*. Jej autorzy to poeta – Maciej Woźniak, i fotograf – Cezary Dzięcielski. Stworzyli oni swoistą opowieść, łącząc teksty poetyckie i zdjęcia. Fotografie pozostają w odcieniach czerni, bieli i szarości, jednak kolory zostały tak skomponowane, że nie nużą odbiorcy, a wręcz przeciwnie – każdą kolejną stronę odkrywa się z przyjemnością. Nie przypadkiem napisałam „odkrywa”, bo tę książkę można czytać, oglądać, a nawet słuchać tak, jak słucha się baśni. Autorem udało się doskonale zgrać fotografię z tekstem. A sam tekst? Długa fraza, jednak poprowadzona w taki sposób, że również nie sposób się nią znudzić. Zawarte w książce opowieści sprawiają, że *Ulica szczupacza* staje się ulicą każdego z nas. Za pomocą prostych słów i obrazów odkrywamy piękno codziennie otaczającego nas świata. Trzydzieści osiem „pieśni” zabiera nas nad Wisłę taką, jaką widzą ją autorzy *Wiślanych pieśni o Płocku*. A jest to Wisła pełna życia, wszak kto poza duetem poeta i fotograf zwróciłby uwagę, że „Rzeka wchodzi tu w zakręt/ z ostrym piskiem rybitw, nabiera w usta/ żwiru, jakby ćwiczyła dykcję [...]”. „Wisła w zziąjanym niesie pysku/ dzwony z Radziwia/ most jak nietoperz rozpiął nisko/ żelazne skrzydła [...]”. To opowieści, które są bliskie zarówno osobom z tamtych okolic, jak też postronnym obserwatorom, którzy nad Wisłą nie mieli okazji mieszkać. Można tę książkę traktować jak swoisty przewodnik turystyczny, który jednak jest inny niż wszystkie – nie mówi o zabytkach czy miejscach wartych odwiedzenia, ale wskazuje na miejsca, mogłoby się zdawać, zwyczajne, a jednak godne

uwagi. Piękne i dobrze dobrane zdjęcia dopełniają dzieła.

Teksty zawarte w *Ulicy szczupacz* opisują krajobrazy (*Zakręt Wisły*), ale też osobiste przeżycia autora. Mam tu na myśli choćby *Elegię na odejście sklepu muzycznego Harfa*, w którym opisano, jak w budynku, w którym kiedyś był sklep muzyczny, powstał bank. Zdarzają się też utwory poświęcone konkretnym osobom (*Wuj Krysiak*; *Stryj Heniek*; *Waldek Ciarka*; *Darek*), którym pisarz poświęcił wspomnienie, ponieważ byli to ludzie w jakiś sposób związani z Wisłą, a także bliscy autorowi czy autorom. Twórcy skupili swoje wysiłki na opisanie tego, co znane, powszednie, zrobili to jednak w taki sposób, że codzienność i powszedniość nie razi, ale wręcz zachwyca. Zwracają uwagę na piękno, które otacza nas na co dzień, a którego się wyrzekamy na rzecz głośnych miast i krzyczących billboardów. Zachęcają, by się zatrzymać i popatrzeć przez chwilę choćby na rzekę, która, choć towarzyszy nam, mogłoby się zdawać, od zawsze, to jednak każdego dnia jest inna i codziennie zapisuje w swoim nurcie nowe chwile i przysparza nowych wspomnień.

Inicjatywa Płockiego Ośrodka Kultury i Sztuki pokazuje, że warto stawiać na małe ojczyzny. W każdym regionie można znaleźć kogoś, kto się tym fascynuje i skupia się na krajobrazach lokalnych, a nie globalnych. Wszędzie można znaleźć poetę, który wraz z fotografem chętnie przyczyni się do powstania książki na wzór *Ulicy szczupacz*. Tymczasem pozostaje nam ta właśnie publikacja, ucztą dla oczu i duszy. Pozostaje tylko życzyć sobie, by powstawało więcej tak udanych połączeń słowa i obrazu.

Kinga Mazur



KSIAŻKI NADESŁANE

42 Lubuskie Lato Filmowe 30.06. – 07.07. Łagów 2013, MKCOLORS Studio Reklamy, Iłowa 2013, 290 s.

Tadeusz Bogacki, *Jezioro Stawskie, perła Ziemi Lubuskiej*, wyd. autorskie, Zaniemyśl 2014, 88 s.

Edward Derylak, Tomasz Lipowski, *Czołgiści, czołgiści...*, Wrocław – Żagań 2012, Eurosystem, 352 s.

Elżbieta Dybalska, *Ślady miłości*, Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, Zielona Góra 2008, 24 s.

Krzysztof Garbacz, *Przewodnik po zabytkach województwa lubuskiego*, t. 3, Agencja Wydawnicza „PDN”, Zielona Góra 2013, 344 s.

Kazimierz Furman (20.05.1949 – 14.10.2009) *zestaw bibliograficzny*, WiMBP im. Z. Herberta w Gorzowie Wlkp, Gorzów Wlkp. 2013, 130 s.

Jan J. Krajniak, *Pojezierze Międzyrzeckie – mały atlas jezior – wydanie drugie*, SPF, Międzyrzecz 2013, 126 s.

Jarosław Kuczer, *Baronowie, hrabiowie, książęta. Nowe elity Śląska (1629-1740)*, Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2013, 320 s.

Robert Romuald Kufel, *Cmentarze wyznaniowe do 1945 roku w granicach województwa lubuskiego*, t. 2, Agencja Wydawnicza „PDN”, Zielona Góra 2013, 224 s.

Maria i Andrzej Perlakowie, *Nowosolska „Solidarność”. Relacje, wspomnienia, dokumenty (wrzesień 1980 – czerwiec 1990)*, Oddział Instytutu Pamięci Narodowej, Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Poznaniu, Poznań 2013, 496 s.

Małgorzata Stachowiak-Schreyner, *Jestem, która Jesteś*, Organon, Zielona Góra 2013, 52 s.

Marian Ryszard Świątek, *Powiat Żagański na dawnej karcie pocztowej / Kreis Sagan auf alten Postkarten*, Agencja Fotograficzna Studio-F, Żagań 2013, 152 s.

Tradycje winiarskie na przedwojennej pocztówce Zielonej Góry ze zbiorów Sławomira i Jacka Ronowiczów, Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra 2013, 96 s.

Adam Bolesław Wierzbicki, *Po przejściach*, wyd. autorskie, Dłużek 2013, 38 s.

Z dziejów Nowego Kramska. Źródła i szkice historyczne, pod. red. Joachima Benyskiewicza, Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2013, 248 s.

AUTORZY NUMERU

Agata Buchalik-Drzyzga

Absolwentka wrocławskiej PWSSP/ASP (dyplom w Pracowni Grafiki u prof. S. Dawskiego). Jej twórczość obejmuje: grafikę warsztatową i użytkową, tkaninę artystyczną, malarstwo sztalugowe, sztukę papieru oraz ekslibris. Autorka kilkudziesięciu wystaw indywidualnych i zbiorowych. Laureatka szeregu prestiżowych nagród, wyróżnień, odznaczeń i medali. Także pedagog, w latach 90. dyrektor zielonogórskiego BWA. Całe życie zawodowe związana z Zieloną Górą.

Andrzej Buck

Literaturoznawca, teatrolog, edytor, dziennikarz, bibliotekoznawca, autor książek i artykułów naukowych oraz prac dokumentacyjnych dotyczących teatru, autor adaptacji teatralnych i scenariuszy, twórca przeglądów, spotkań i festiwali teatralnych, redaktor czasopism, nauczyciel akademicki, doktor nauk humanistycznych. Dyrektor WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze, prezes Lubuskiego Stowarzyszenia Miłośników Działań Kulturalnych „Debiut”, dyrektor Kozzi Gangsta Film/Teatr Festiwal w Kargowej.

Patryk Chrzan

Ur. w 1977 r. w Sosnowcu, zamieszkały w Dąbrowie Górniczej. Absolwent politologii i nauk społecznych oraz podyplomowych studiów dziennikarskich. Kilka nagród i wyróżnień w konkursach poetyckich i TJW. Publikacje m.in. w „Akancie”, „Nowym Zagłębiu”, „Śląsku”, „SOSNarcie”, internetowym wydaniu „Odry”, „sZaFa”, „Kofeina Art Zine”. Jego recenzje ukazały się w „Akancie”, „Nowym Zagłębiu”, „Metaforze”, „Migotaniach” oraz „Inter-”. Autor arkusza *Postrzyżyny* (Tarnogórska Fundacja Kultury i Sztuki). Finalista VIII Połowu – projektu Biura Literackiego we Wrocławiu. Członek Dąbrowskiej Brygady Poetyckiej, współorganizator Poligonu Poetyckiego.

Roman Garbowski

Ur. w 1935 r. Aktor, reżyser teatralny. Karierę rozpoczynał jako lalkarz w Teatrze Lalek „Pleciuga” w Szczecinie. W latach 70. występował na scenie lalkowej Lubuskiego Teatru w Zielonej Górze, w latach 80. w Teatrze im. Osterwy w Gorzowie Wlkp. W połowie lat 80. powrócił do Lubuskiego Teatru. Od r. 1997 prowadzi Studio Teatralne „Komedianci”.

Karol Graczyk

Ur. w 1984 r. w Gorzowie Wlkp. Uprawia poezję, prozę, zajmuje się dziennikarstwem. Recenzent w dziedzinie literatury, filmu oraz muzyki. Laureat i zwycięzca kilkudziesięciu konkursów literackich, redaktor stworzonego przez siebie internetowego miesięcznika sztuki – Polskie Kulturalne Podziemie (www.pkpzin.pl). Dwukrotny stypendysta Prezydenta Gorzowa Wlkp.

Przemysław Grzesiński

Absolwent filologii polskiej i filozofii. Pracuje w Dziale Literackim Lubuskiego Teatru. Autor opowiadań, twórca komediodramtu *Po prostu Leon po postu* (premiera w 2011 w LT). Autor sztuk: *Studnia*, *To jest wojna*, *Według Michała*, *Żużel forever*.

Joanna Kapica-Curzytek

Filolog angielski i glottodydaktyk, adiunkt w Instytucie Neofilologii na Uniwersytecie Zielonogórskim. Autorka recenzji książek („Twój Styl” i „Twoja Muza”), recenzji teatralnych i wywiadów (wortal teatralny www.e-teatr.pl). Współautorka i tłumaczka reportażu radiowego, który otrzymał Nagrodę Specjalną Studia reportażu i Dokumentu Polskiego Radia na krajowym konkursie reportażu radiowego „Polska i Świat 2000”. Obecnie jest stałą recenzentką magazynu kultury popularnej www.esensja.pl. Oprócz literatury jej pasją są języki obce i muzyka klasyczna.

Beata Patrycja Klary

Rocznik 1976. Poetka i eseistka, filolog. Swoje prace krytycznoliterackie publikowała w „Edukacji i Dialogu”, w „Akancie”, „Kwartalniku Opolskim”, „Edukacji Czytelniczo-Medialnej” i „Pegazie Lubuskim”. Jako poetka debiutowała w antologii Klubu Literackiego GDK *Niedzielni poeci*, jej wiersze weszły także do antologii *Poeci Okrągłego Stołu* i *Zapisani w wierszach*. Za pierwszy tom wierszy *Witraże* dostała dyplom honorowy Lubuskiego Wawrzynu Literackiego za najciekawszy debiut 2004 roku. W serii Biblioteka Literacka „Pegaza Lubuskiego” wydała dwujęzyczny tomik wierszy *Imaginacje – Imagination* (Gorzów Wlkp. 2006). W 2006 r. była stypendystką Prezydenta Miasta Gorzowa. Należy do Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury oraz do Stowarzyszenia Twórczego „Wena”. Jest kandydatem Związku Literatów Polskich. Laureatka Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2011.

Janusz Koniusz

Ur. w 1934 r. w Sosnowcu-Niwce w rodzinie górniczej. Poeta, dziennikarz, redaktor antologii wierszy, opowiadań, reportaży, baśni i legend lubuskich, pamiętników mieszkańców Środkowego Nadodrza oraz osób niepełnosprawnych. Opublikował kilkanaście zbiorów wierszy, opowiadań oraz esejów historyczno-wspomnieniowych. Autor słuchowisk radiowych i widowiska telewizyjnego. Laureat konkursów literackich, członek ZLP.

Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk

Ur. w 1973 r. w Zielonej Górze. Studiowała w zielonogórskiej WSP, następnie w Zespole Kolegiów Nauczycielskich w Gorzowie Wlkp. Jest autorką tomików poetyckich (*Ze światłem w kieszeni*, *Codziennicze*). Od 1998 r. należy do ZLP. Dziennikarka i wydawca. Mieszka w Deszcznie koło Gorzowa.

Paulina Krzyżaniak

Poetka, prozatkorka. Wywodzi się z Nowej Soli. Od trzech lat mieszka w Szkocji. Publikowała m.in. w „The Polish Observer”, „Poezji Dzisiaj”, „Polskim Podziemiu Literackim”. Uczestniczka festiwali poetyckich (Poezja Ocala w Londynie, Festiwal Poezji Słowiańskiej).

Agnieszka Kurgan

Kurator sztuki, znawczyni nowych trendów w modzie i designie. Niegdyś szefowa Galerii Szkl'a i Ceramiki BWA we Wrocławiu.

Janusz Łastowiecki

Absolwent polonistyki Uniwersytetu Zielonogórskiego, obecnie doktorant prof. UZ Małgorzaty Mikołajczak. Znamca problematyki reportaży i słuchowisk radiowych. Publikuje w lokalnej prasie kulturalnej.

Czesław Markiewicz

Ur. w 1954 r. w Zielonej Górze. Poeta, prozaik, krytyk literacki, eseista, dziennikarz Radia Zachód. Laureat wielu nagród literackich. Mieszka i pracuje w Zielonej Górze.

Kinga Mazur

Ur. w 1989 roku, absolwentka polonistyki Uniwersytetu Zielonogórskiego. Stały współpracownik gozrowskiego pisma literackiego „Pegaz Lubuski”; jej wiersze były drukowane w antologii młodych poetów ziemi sułcińskiej *Smak na wiersz*. Autorka tomiku poetyckiego *Już wiem*. Obecnie mieszka i pracuje w Bydgoszczy.

Bogdan Nowicki

Doktor nauk humanistycznych, poeta i krytyk literacki. Mieszka i pracuje w Świętochłowicach.

Dariusz Pawlicki

Ur. w 1961 r. Autor esejów, nowel, szkiców, wierszy (wydał kilka zbiorów). Píše także książki dla dzieci, publikuje teksty w czasopismach społeczno-kulturalnych i literackich (m.in. „Gazeta Kulturalna, „Rita Baum”, „Twórczość”); autor 100 haseł w *Encyklopedii Wrocławia*; prowadzi warsztaty literackie, wygłasza prelekcje poświęcone kulturze. Mieszka we Wrocławiu, ale w swej twórczości wiele miejsca poświęca Suwalszczyźnie. Należy do ZLP.

Marcin Radwański

Ur. w 1978 w Zielonej Górze. Absolwent Zespołu Szkół Budowlanych i Centrum Kształcenia Ustawicznego. Zajmuje się sprzedażą sprzętu komputerowego. Publikuje opowiadania na łamach „Parnasika” i „Akantu” i na stronach internetowych „sZaFa”, „Mroczna Środkowo-Wschodnia Europa”.

Jakub Rawski

Ur. w 1988 r. Absolwent filologii polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, obecnie doktorant prof. dra hab. Leszka Libery. Autor książki poetyckiej *Pasaże* (2010) oraz referatów wygłaszanych na ogólnopolskich i międzynarodowych konferencjach naukowych (Uniwersytet Jagielloński w Krakowie, Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie, Uniwersytet Śląski w Katowicach, Uniwersytet Zielonogórski w Zielonej Górze). Trzykrotny stypendysta Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego, sekretarz zielonogórskiego oddziału Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza.

Robert Rudiak

Ur. w 1966 r., poeta, krytyk, historyk literatury, regionalista. Doktor nauk humanistycznych. Autor kilkunastu książek poetyckich, współautor antologii poezji i szkiców nt. historii literatury lubuskiej. Członek Zarządu Oddziału Związku Literatów Polskich i Lubuskiego Stowarzyszenia Miłośników Działań Kulturalnych „Debiut”. Otrzymał Nagrodę Kulturalną Prezydenta Miasta Zielona Góra i Lubuską Nagrodę Literacką ZLP. Pracownik WiMBP w Zielonej Górze.

Marika Sobczak

Ukończyła filologię polską na UZ. Jej badania koncentrują się wokół zagadnień związanych z literaturą mniejszości narodowych, etnicznych i religijnych oraz z kategorią inności i obcości. Publikowała m.in. w czasopiśmie „Pro Libris” i „Odra”. Doktorantka w Zakładzie Teorii i Antropologii Literatury. Prowadzi badania w ramach Pracowni Badań nad Literaturą Regionalną.

Czesław Sobkowiak

Ur. w 1950 r. w Jaromierzu; absolwent polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim poeta, autor 16 tomików poetyckich; krytyk literacki, współpracownik regionalnych i ogólnopolskich pism literackich. Mieszka w Zawadzie koło Zielonej Góry.

Małgorzata Stachowiak-Schreyner

Ur. w 1975 r. w Sulechowie. Absolwentka Akademii Ekonomicznej w Poznaniu. Poetka, prozatorka, eseistka, instruktor teatralny. Laureatka ponad 150 nagród ogólnopolskich konkursów literackich, publikacje w kilkudziesięciu antologiach i prasie literackiej. Jej tomik (*O czymś*) został wyróżniony przez jury Lubuskiego Wawrzynu Literackiego jako najlepszy debiut.

Czesław Strawa

Prawnik, obecnie na emeryturze. Badacz historii szkolnictwa rolniczego Ziemi Lubuskiej. Autor publikacji książkowych i czasopiśmienniczych. Mieszka w Zielonej Górze.

Mirosława Szott

Ur. w 1987 r., doktorantka na Uniwersytecie Zielonogórskim, członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów w Zielonej Górze.

Renata A. Thiele

Zielonogórzanka, od ponad 25 lat mieszka i pracuje w Akwizgranie. Jest tłumaczem, redaktorem czasopisma polsko-niemieckiego „polregio”. Pracuje jako lektor języka niemieckiego i polskiego oraz jako przewodnik. Píše powieści, opowiadania i artykuły prasowe w obu językach.

Mieczysław Jan Warszawski

Ur. w 1950 r. w Laskach Odrzańskich k. Zielonej Góry, poeta, prozaik. Laureat Lubuskiego Wawrzynu Literackiego w 1995 r.

Joanna Wawryk

Doktor nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa; dysertację poświęconą twórczości Bolesława Leśmiana obroniła na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Pracuje w WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze.

Monika Widła

Studentka filologii polskiej i dziennikarstwa, mieszka w Krakowie.

Jacek Żeromski

Ur. w 1973 r. w Zielonej Górze. Poeta, prozaik, autor tomików wierszy. Absolwent wrocławskiej Akademii Rolniczej.

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida w Zielonej Górze
Dyskusyjne Kluby Książki
Stowarzyszenie Miłośników Działań Kulturalnych DEBIUT

III Festiwal Literacki

im. Anny Tokarskiej

PROZA POETÓW

Angelika Kuźniak

Grażyna Szapołowska

Łukasz Maciejewski

Zbigniew Waleryś

ks. dr hab. Andrzej Draguła

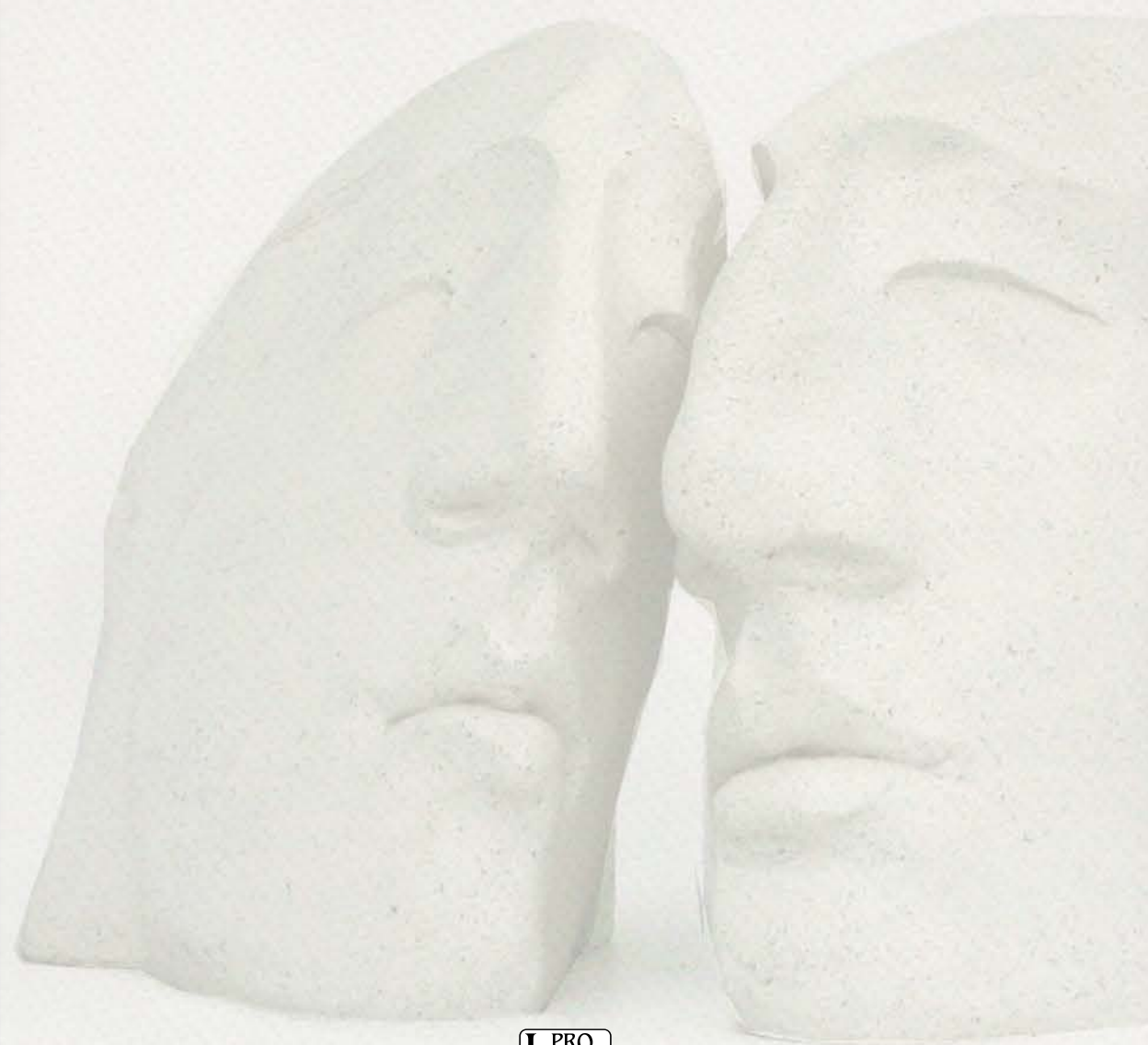
listopad - grudzień 2013



Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna
im. C. Norwida w Zielonej Górze, Sala Dębowa

DKK





Cena 10,50 zł
(w tym 5% VAT)

ISSN 1642-5995

09



9 771642 599108

PRO
LIBRIS